

FRANCES HODGSON BURNETT

TAJEMNICZY OGRÓD

Przełożyła: Jadwiga Włodarkiewiczowa

ROZDZIAŁ I

NIKT NIE ZOSTAŁ PRZY ŻYCIU

Kiedy Mary Lennox została wysłana do Misselthwaite Manor, gdzie miała zamieszkać w domu wuja, twierdzono ogólnie, że jest to najbardziej niesympatyczne dziecko, jakie kiedykolwiek widziano. I była to szczerą prawdą. Wiecznie skwaszona, mała i chuda, z jasnożółtymi rzadkimi włosami i drobną, szczupłą twarzą o lekko żółtawej cerze. Mary urodziła się w Indiach i nieustannie zapadała na zdrowiu. Ojciec jej był urzędnikiem administracji kolonialnej, wiecznie zapracowany i ciągle chory; matka zaś, słynna piękność, dbała jedynie o siebie, lubiła przyjęcia i zabawy, stale otaczała się młodym, wesołym towarzystwem. Nie pragnęła zupełnie dziecka, toteż gdy Mary przyszła na świat, matka oddała ją pod opiekę niańki, Hinduski, zwanej w języku tamtejszym Ayah, której dano do zrozumienia, że jeśli jej zależy na wzglądach pani, to powinna dziecko trzymać jak najdalej od niej. Kiedy zatem Mary była chorowitym, niezdolnym, brzydkim niemowlęciem, usuwano ją matce sprzed oczu, a gdy stała się chorowitym, niezdolnym, zaczynającym chodzić dzieckiem, również usuwano ją matce z drogi.

Mary nie pamiętała, by z bliska widziała kogokolwiek innego oprócz swojej ciemnolicej Ayah i służby hinduskiej, a ponieważ byli oni jej we wszystkim posłuszni ze względu na to, że swymi wrzaskami mogła rozgniewać ich białą panią, przeto Mary w szóstym roku życia była najbardziej despotycznym i samolubnym stworzeniem, jakie kiedykolwiek żyło na kuli ziemskiej. Młoda nauczycielka, Angielka, która miała ją nauczyć czytać i pisać, tak jej nie lubiła, że po trzech miesiącach porzuciła posadę, a jej następczynię uciekały po krótszym jeszcze czasie. Toteż gdyby Mary nie przyszła po prostu fantazja i chęć, by nauczyć się czytać książki, chyba nigdy nie poznałaby alfabetu.

Pewnego wyjątkowo upalnego ranka Mary, która miała już około dziewięciu lat, zbudziła się bardzo zła, a humor jej jeszcze się pogorszył, gdy spostrzegła, że stojąca przy jej łóżku służąca to nie Ayah.

- Po coś przyszła? - rzekła do obcej. - Nie chcę cię! Przyślij mi moją Ayah!

Kobieta, patrząc na Mary wystraszonego wzrokiem, wyjąkała, że Ayah przyjść nie może, a kiedy Mary wpadła w pasję i zaczęła ją bić i szczypać, Hinduska, patrząc na nią coraz bardziej wystraszona, powtarzała, że Ayah w żaden sposób do panienki przyjść nie może.

Owego ranka czuło się w powietrzu coś niesamowitego. Wszystko działo się inaczej niż zwykle, kilku hinduskich służących było nieobecnych, ci zaś, których Mary widziała,

skradali się lub uciekali z przerażonymi twarzami. Lecz nikt nic jej nie powiedział. Ayah zaś nie przychodziła. Mary, pozostawiona samej sobie, wyszła wreszcie do ogrodu i zaczęła bawić się pod drzewami w pobliżu werandy. Udawała, że robi klomby, i wtykała wielkie, szkarłatne kwiaty hibiskusa w małe kupki ziemi. Jej złość narastała, w miarę jak mruczała pod nosem obelgi, które rzuci niani, gdy ta się wreszcie pojawi.

- Świnia! Świnia! Córka świni! - mamrotała, wiedząc, że to określenie jest dla Hindusa najstraszniejszą obelgą.

Zgrzytała zębami ze złości, gdy wtém usłyszała, że matka jej rozmawia przyciszonym głosem z kimś na werandzie. Mary знаła młodego blondyna o chłopięcym wyglądzie. Słyszała, iż ten bardzo młody oficer przybył niedawno z Anglii. Mary patrzyła na niego, ale jeszcze uważniej na matkę. Obserwowała ją zawsze, ilekroć tylko udało jej się zobaczyć ją, ponieważ „biała pani” - matkę Mary najczęściej nazywano w ten sposób - była wysoką, smukłą, śliczną osobką ubierającą się w piękne suknie. Włosy matki przypominały falistą przędzę jedwabną: nosek miała mały, delikatny i wielkie roześmiane oczy. Jej suknie były cienkie i powłóczyste, wedle Mary było na nich „pełno koronek”. Dzisiaj wydawało się, że na „białej pani” koronek jest więcej niż zazwyczaj, lecz jej oczy nie śmiały się - szeroko rozwarte, były błagalnie wzniesione ku twarzy młodego oficera.

Mary usłyszała jej słowa:

- Czy jest aż tak źle? Tak bardzo źle?

- Strasznie - odrzekł młody człowiek drżącym głosem. Strasznie, pani Lennox. Powinna pani była wyjechać w góry przed dwoma tygodniami.

„Biała pani” załamała ręce.

- Och! Wiem, że powinnam była wyjechać! - zaszlochała. - Wszak zostałam jedynie dla tego głupiego pikniku. Jakaż byłam szalona!

W tejże chwili z pomieszczeń dla służby doszedł taki rozpaczliwy lament, że pani Lennox gorączkowo chwyciła za ramię młodego oficera, Mary zaś poczęła drżeć na całym ciele. Lament i jęki stawały się coraz głośniejsze.

- Co to? Co to jest? - szepnęła przerażona pani Lennox.

- Znów ktoś umarł - odpowiedział młodzieńcy oficer. - Nic mi pani nie mówiła, że zaraza wybuchła między służbą.

- Bo nic o tym nie wiedziałam! - zawołała. - Niech pan pójdzie ze mną! - i wbiegła do wnętrza domu.

To, co potem się działo, było okropne i niesamowite, i Mary w końcu zrozumiała, że wybuchła epidemia cholery w najgroźniejszej postaci i ludzie padają jak muchy. Ayah

zabrano w nocy, a ów lament w pawilonach służby rozległ się właśnie w chwili jej śmierci. W nocy zmarło jeszcze troje służby, reszta w trwodze i popłochu uciekła. Marli też ludzie w okolicznych domach, paniczny strach ogarnął wszystkich.

W panującym zamęcie i przerażeniu Mary - zapomniana przez wszystkich - ukryła się w dzieciennym pokoju, gdzie na przemian to płakała, to spała. Nikt o niej nie pomyślał, nikt jej nie szukał, a tymczasem nastąpiły wydarzenia, o których nie miał jej kto powiedzieć. Wiedziała tylko, że ludzie chorują, słyszała też jakieś tajemnicze, przerażające odgłosy.

Po jakimś czasie dziewczynka wśliznęła się do jadalni. Było tu pusto, ale częściowo opróżnione półmiski stały jeszcze na stole, a krzesła wyglądały na poodsuwane w pośpiechu. Mary zjadła owoce i biszkopty, a dla ugасzenia pragnienia wypila szklankę wina. Wino było słodkie, Mary nie знаła jego mocy, toteż po krótkiej chwili odurzyło ją. Wróciła do swego pokoju i znów się zamknęła, przestraszona krzykami i tupotem uciekających ludzi. Czując ogarniającą ją nieprzewyciężoną senność, położyła się do łóżka i na długo straciła świadomość tego, co się wokół działo.

Tymczasem działo się wiele, ale Mary spała snem tak twardym, że nie zbudziły ją ani głosy ludzi, ani rumor czyniony przy wynoszeniu przedmiotów.

Po przebudzeniu Mary leżała jeszcze przez pewien czas, patrząc w sufit. W domu panowała zupełna cisza. Takiej ciszy nie знаła nigdy przedtem... Nie słyszała żadnych głosów ani kroków, pomyślała, że widocznie już wszyscy wyzdrowieli i wszelkie obawy minęły. Ciekawa też była, kto zaopiekuje się nią teraz, po śmierci Ayah. Zjawi się zapewne nowa Ayah, może nawet będzie znać nowe bajki. Mary była już, prawdę mówiąc, trochę znudzona tymi dawnymi. Nie płakała też wcale z powodu śmierci swojej niani, nie była bowiem dzieckiem uczuciowym i nigdy się nikim nie przejmowała. Hałasy, bегanina, jęki i lamenty spowodowane epidemią przestraszyły ją, lecz teraz była już tylko zła, że nikt zdawał się nie pamiętać o jej istnieniu. Wszyscy byli zbyt przerażeni, by myśleć o nie lubianym dziecku. Kiedy wybuchła cholera, każdy myślał tylko o sobie. Ale teraz, gdy już wszystko minęło, ktoś przyjdzie zapewne zobaczyć, co się dzieje z Mary.

Lecz nikt się nie zjawiał, a kiedy dziewczynka leżała wyczekując, dom cały zdawał się zapadać w coraz głębszą ciszę.

Nagle Mary usłyszała, że coś się czołga po matach na podłodze. Wychyliwszy się z łóżka, ujrzała małego węża, posuwającego się wzdłuż ściany i patrzącego na nią oczkami jak brylanty. Nie zlekła się wcale, gdyż wiedziała, że to stworzonko nikomu nie czyni krzywdy, a tymczasem wąż się spieszył, jakby chciał najprędzej wydostać się z pokoju. W końcu wysliznął się przez szparę pod drzwiami.

- Jak tu cicho i spokojnie - rzekła Mary do siebie. - Można by pomyśleć, że prócz mnie i tego węża nikogo nie ma w całym domu.

W tej samej chwili usłyszała jednak kroki w ogrodzie, a następnie na werandzie: kroki mężczyzn wchodzących do domu i rozmawiających przyciszonymi głosami. Nikt nie wyszedł im na spotkanie i nikt ich nie powitał, oni zaś, sądząc z odgłosów, otwierali jedne drzwi po drugich i zaglądali do wszystkich pokoi.

- Co za pustka! - usłyszała Mary. - Taka śliczna, urocza kobieta! Myślę, że i dziecko... Słyszałem, że miała córeczkę, choć nikt jej nigdy nie widział...

Mary stała pośrodku swego pokoju, gdy kilka minut później otworzyły się drzwi. Wyglądała na dziewczynkę brzydką i niesympatyczną, a przy tym drżała z głodu i oburzenia, że tak niegodziwie o niej zapomniano. Pierwszy wszedł starszy oficer, którego Mary widziała kiedyś rozmawiającego z ojcem. Wyglądał na zmęczonego i wstrząśniętego, ale gdy spostrzegł Mary, gwałtownie cofnął się z przerażenia.

- Barney! - wykrzyknął. - Tutaj jest dziecko. Opuszczone dziecko. I to w takim miejscu! Na miłość boską, kim jest ta mała?

- Jestem Mary Lennox - rzekła dziewczynka prostując się dumnie. Pomyślała przy tym, iż ten pan jest bardzo niegrzeczny, nazywając dom jej ojca „takim miejscem”. - Zasnąłam, gdy wszyscy chorowali na cholera, i właśnie teraz się obudziłam. Czemu nikt do mnie nie przychodzi?

- To jest to dziecko, którego nikt nigdy nie widział! - zawołał oficer, zwracając się do swego towarzysza. - Zapomnieli o niej wszyscy!

- Dlaczego o mnie zapomnieli? - zapytała Mary tupiąc nogą. - Czemu nikt nie przychodzi?

Młody człowiek, którego nazwano Barneyem, spojrzał na nią z ogromnym smutkiem. Mary zdawało się nawet, że mu powieki zadrżały, jakby od łez.

- Biedne maleństwo! - rzekł. - Nikt nie może przyjść, bo nikt nie został przy życiu.

I w ten oto dziwny i nieoczekiwany sposób Mary dowiedziała się, że nie ma już ojca ani matki, gdyż oboje umarli, i że pochowano ich nocą, a nieliczni służący, którzy uniknęli śmierci, opuścili dom, jak mogli najspieszej, zapominając o istnieniu „panienki”. A więc to była przyczyna tej głuchej ciszy. W całym domu pozostali przy życiu tylko ona i mały wąż.

ROZDZIAŁ II

PANNA MARY KAPRYŚNICA

Mary lubiła z dala obserwować swą matkę: wydawała się jej istotą uroczą, ale nie znała jej prawie wcale, nic też dziwnego, że ani ją kochała, ani tęskniła po jej stracie, a ponieważ była dzieckiem nader samolubnym, wszystkie swe myśli skierowała ku sobie, jak zresztą i przedtem zwykła była czynić. Gdyby była starsza, może przeraziłaby ją myśl, że została całkiem sama na świecie, ale ponieważ dotąd zawsze troszczyli się o nią inni, sądziła, że tak musi być zawsze. Ciekawa była tylko, czy znajdzie się teraz między ludźmi miłymi, którzy będą dla niej grzeczni i pozwolą jej na wszystkie wybryki, jak to czyniła Ayah i reszta hinduskiej służby.

Wiedziała, że nie pozostanie długo w domu pastora, gdzie ją na razie umieszczono, lecz gdzie nie chciała pozostać. Pastor był biedny, miał pięcioro dzieci, wszystkie prawie w jednym wieku. Ich ubranka były brudne, a one same kłóciły się ciągle i wydzierały sobie zabawki. Mary znienawidziła zaniedbany dom pastora i była taka niezdolna dla wszystkich, że po dwóch dniach żadne z dzieci nie chciało się z nią bawić. Już drugiego dnia dały jej przezwisko, które wprawiło ją w szaloną złość.

Pierwszy wpadł na ten pomysł Basil, chłopczyk o bładoniebieskich oczach i zadartym nosku. Mary go nie cierpiała. Bawiła się sama pod drzewem, tak jak tamtego fatalnego dnia, robiąc klombiki z ziemi i zaznaczając ścieżki. Basil stał w pobliżu i przyglądał się. Zabawa zainteresowała go i chłopczyk podał projekt:

- Czemu nie ustawisz kopca z kamyczków, niby że to skały? - powiedział. - O, tutaj, w środku! - i pochylił się, by wskazać miejsce.

- Wynoś się! Nie cierpię chłopców, wynoś się! - wrzasnęła Mary.

Przez chwilę Basil był zły, potem zaczął się droczyć, tak jak droczył się zawsze z siostrami, tańczyć koło niej i podskakiwać, śmiać się i śpiewać:

Panno Mary, kapryśnico,
Odwróć zagniewane lico!
W twym ogródku rosną kwiatki,
Róże, dzwonki i bławatki.

Śpiewał dopóty, dopóki reszta dzieci nie usłyszała i nie zaczęła śmiać się razem z nim. A im bardziej Mary się złościła, tym częściej śpiewali: „Panno Mary, kapryśnico”, nazywając ją tak później między sobą, a nawet wtedy, gdy do niej się zwracali.

- W końcu tego tygodnia pojedziesz do domu - rzekł do niej Basil. - A my się strasznie z tego cieszymy.

- Ja też strasznie się cieszę - odparła Mary. - Ale co to znaczy dom?

- Ona nie wie, co to znaczy dom! - rzekł Basil z oburzeniem. - Dom to jest, oczywiście, Anglia. Nasza babunia tam mieszka, a nasza siostra, Mabel, pojechała do niej w zeszłym roku. Ale ty nie masz babuni, ty pojedziesz do wuja, który się nazywa Archibald Craven.

- Nic o nim nie wiem - wyjąkała Mary.

- Wiem, że nic nie wiesz - odparł Basil. - Dziewczęta w ogóle nic nie wiedzą. Słyszałem, jak rodzice o nim mówili. Otóż twój wuj mieszka w ogromnym, opuszczonym domu na wsi i nikt u niego nie bywa. Jest nieznosny i nikogo nie chce przyjmować, a gdyby nawet chciał, to i tak nikt by do niego nie pojechał. Jest w dodatku garbaty i okropny.

- Nie wierzę ci - rzekła Mary, odwróciła się i zatkała uszy palcami, bo nie chciała już nic więcej słyszeć.

Jednakże później długo myślała o wszystkim, co usłyszała, a gdy pani Crawford powiedziała jej tego wieczora, że za kilka dni pojedzie do Anglii, do wuja, pana Archibalda Cravena mieszkającego w Misselthwaite Manor, Mary wydawała się tak kamiennie i uparcie obojętna, że nie wiedziano, co o niej sądzić. Starano się ją traktować serdecznie, lecz dziewczynka odwracała twarz, ilekroć pani Crawford chciała ją pocałować, a gdy pan Crawford klepał ją po ramieniu, stała sztywno, jakby połknęła kij.

- Dziwne dziecko - rzekła później pani Crawford ze współczuciem. - Matka jej była taka urocza i miła, a Mary to najbardziej niesympatyczne stworzenie, jakie w życiu widziałam. Dzieci nazywają ją „panną Mary kapryśnicą”, a choć to niepoczciwie z ich strony, wcale im się nie dziwię.

- Gdyby jej matka częściej zaglądała do dziecinnego pokoju, Mary nabrałaby może miłego obejścia. Przykro o tym mówić teraz, gdy ta urocza kobieta już nie żyje, ale większość jej towarzystwa nie wiedziała nawet o istnieniu małej.

- Sądzę, że po prostu nie zajmowała się córką - z westchnieniem odparła pani Crawford. - Wszak gdy umarła Ayah, nikt nie pomyślał o tym biedactwie. Wszyscy rozbiegli się, zostawiając tę małą samą w opustoszałym domu. Kapitan Mac Grew mówił mi, że po prostu osłupiał, gdy znalazł ją w którymś pokoju.

Długą podróż do Anglii odbyła Mary pod opieką żony pewnego oficera, która odwoziła do szkół swoje dzieci. Jej własne potomstwo tak ją absorbowało, że była niezmiernie rada, mogąc w Londynie przekazać Mary jejmości, którą pan Archibald Craven

wysłał po siostrzenicę. Jejmość nazywała się pani Medlock i była gospodynią w Misselthwaite Manor. Była to kobieta tęga, o mocno czerwonych policzkach i przenikliwych czarnych oczach. Miała na sobie jaskrawą czerwoną suknię, czarną jedwabną mantylkę z frędzlami i czarny kapelusz przybrany kwiatami z czerwonego aksamitu, które przy każdym poruszeniu głową chwiały się na wszystkie strony i trzęsły. Mary nie poczuła do niej sympatii, ale nie było w tym nic dziwnego, ponieważ nigdy do nikogo sympatii nie czuła. Zresztą od razu było widać, że pani Medlock niewiele sobie robi z Mary.

- Podobno jej matka była piękna - zwróciła się nowa opiekunka Mary do żony oficera.
- Ale córka nie odziedziczyła po niej urody, prawda?

- Może wyładnieje, gdy będzie starsza - odparła dobrotliwie tamta. - Gdyby tylko nie była taka niegrzeczna i miała trochę miłszy wyraz twarzy, bo rysy jej są raczej ładne. Zresztą dzieci tak się zmieniają...

- No, będzie się musiała bardzo zmienić! - odparła pani Medlock. - A nie mogę powiedzieć, by Misselthwaite wywierało dobry wpływ na dzieci.

Obie panie sądziły, że Mary ich nie słyszy, gdyż dziewczynka stała trochę z dala. Z okna hotelu, w którym się zatrzymali, przyglądała się ruchowi ulicznemu, lecz słyszała każde słowo i strasznie była ciekawa, jaki jest ten wuj i dom, w którym mieszka. Co to znaczy „garbaty”? Nie widziała nigdy garbatego. Może w Indiach nie ma garbatych?

Mary zaczęła czuć się samotna i myśleć o dziwnych rzeczach, całkiem dla niej nowych, odkąd zamieszkała między obcymi. Zaczęła się mianowicie zastanawiać, dlaczego zawsze była niczyja, nawet wtedy, gdy jej rodzice jeszcze żyli. Inne dzieci należały do swego taty i swej mamy, tylko ona była niczyja. Miała służbę, jedzenie i sukienki. Ale nikt na nią nie zwracał uwagi. Mary nie wiedziała, że wszyscy uważali ją za niemłą. Przeciwnie - sądziła, że to inni są nieprzyjemni, o sobie nie myślała tak nigdy.

Pani Medlock wydawała się jej okropna - raziła ją swoimi czerwonymi policzkami i niegustownym, pretensjonalnym kapeluszem. Gdy następnego dnia wyjeżdżały w dalszą drogę do Yorkshire, Mary szła przez stację do pociągu odwróciwszy głowę i trzymając się jak najdalej od pani Medlock, bo nie chciała, żeby widziano, że jadą razem. Była zła na samą myśl, że ludzie mogliby ją wziąć za córeczkę pani Medlock.

Ale pani Medlock nie przejmowała się ani Mary, ani tym, co Mary o niej myśli. Była osobą, która „nie zawraca sobie głowy dziećmi”. W każdym razie tak by odpowiedziała, gdyby ją zapytano. Do Londynu nie chciała jechać nawet wtedy, gdy siostra jej, Maria, wydawała za mąż córkę, lecz zbyt ceniła sobie wygodne, dobrze płatne miejsce gospodyni w Misselthwaite Manor, które mogłaby stracić, gdyby nie wykonała rozkazu pana Archibalda

Cravena. Nie wyraziła przeto najlżejszego sprzeciwu, kiedy jej chlebowodawca rzekł w swój zwykły oschły sposób:

- Kapitan Lennox i jego żona zmarli na cholerę. Kapitan Lennox był bratem mojej żony, jestem więc opiekunem jego córki. Dziecko winno być przywiezione tutaj. Pojedźcie pani do Londynu i przywiezie je.

Pani Medlock spakowała więc manatki i udała się w podróż.

Mary wtuliła się w kąt wagonu z miną kwaśną i złą. Nie miała co czytać, nie miała na co patrzeć. Chude, obciążone w czarne rękawiczki ręczki złożyła na kolanach i siedziała cicho. Czarna sukienka uwydatniała żółtość jej cery, a sztywne, jasne włosy wymykały się kosmykami spod krepowego kapelusika.

W życiu swoim nie widziałam takiego niemiłego dziecka - myślała pani Medlock. Nie pojmując, jak dziecko może siedzieć tak długo w zupełnym bezruchu, znużona przyglądaniem się dziewczynce, zaczęła rozmowę ostrym, twardym głosem:

- Opowiem panience coś niecoś o miejscu, do którego jedziemy - rzekła. - Czy wie panienka coś o swoim wuju?

- Nie - odparła Mary.

- Nie słyszała panienka nigdy, jak rodzice o nim mówili?

- Nie - odrzekła Mary i drgnęła, przypomniawszy sobie, że ojciec i matka w ogóle z nią nie rozmawiali, nigdy jej niczego nie opowiadali.

- Hm! - mruknęła pani Medlock, patrząc na jej zamkniętą, zaciętą twarzyczkę. Zamilkła na jakiś czas, po czym ciągnęła dalej: - Sądzę, że trzeba panienkę jakoś przygotować. Jedziemy do dziwnego miejsca.

Mary nic na to nie rzekła, a pani Medlock, rozczarowana jej obojętnością, zaczerpnęła powietrza i dopiero po chwili powiedziała:

- Prawdę mówiąc, dom jest ogromny, lecz ponury. Pan Craven chlubi się nim na swój sposób, to znaczy on sam też jest ponury. Dom ten stoi na krańcu rozległego wrzosowiska, ma już sześćset lat i prawie sto pokoi, chociaż większość z nich jest zamknięta na klucz i od lat nie używana. Wiszą tam tylko obrazy, stoją piękne stare meble i wszędzie pełno antyków. Wokoło jest ogromny park, drzewa z gałęziami sięgającymi do ziemi. - Przerwała na chwilę, zaczerpnęła oddechu. Tyle ci chciałam powiedzieć - zakończyła nagle.

Mary mimo woli poczuła zainteresowanie. Wszystko, o czym usłyszała, było inne niż w Indiach, a każda nowość ma urok. Nie chciała jednak dać po sobie poznać, że ją cokolwiek zaciekawia - był to jeden z jej drażniących nawyków - siedziała zatem cicho.

- No i cóż - rzekła pani Medlock. - Co panienka o tym myśli?

- Nic - odparła. - Nie znam takich miejsc.

Odpowiedź ta wywołała krótki, urywany śmiech pani Medlock.

- Ech! Panienka jest zupełnie jak staruszka - powiedziała. - Czy to wszystko panienkę nic nie obchodzi?

- Co za różnica, czy mnie obchodzi, czy nie - odparła Mary.

- Co to, to racja - potwierdziła pani Medlock. - Dlaczego panienkę biorą do Misselthwaite Manor, tego naprawdę nie wiem. Może to po prostu najłatwiejszy sposób opiekuństwa. Bo że on się nie będzie o panienkę troszczył, to więcej niż pewne. On się nigdy o nikogo nie troszczy.

Zatrzymała się, jak gdyby coś sobie w porę przypominając.

- On ma krzywe plecy - rzekła - dlatego jest taki zły. Zawsze był zgryźliwy, w młodości też, i mimo swej fortuny szczęścia nie zaznał, dopóki się nie ożenił.

Mary zwróciła oczy na mówiącą, mimo że usiłowała udawać obojętność. Nie sądziła, że garbus może się ożenić, była więc nieco zdziwiona. Pani Medlock spostrzegła to, a jako niewiasta bardzo gadatliwa ciągnęła dalej z tym większym zapalem. Był to zresztą jedyny sposób zabicia nudy podczas długiej podróży.

- Ona była słodkim, ślicznym stworzeniem, a on by dla niej na koniec świata poszedł po źdźbło trawy, gdyby tego zapragnęła. Nikt nie przypuszczał, że się zgodzi zostać jego żoną, a jednak to uczyniła. Ludzie mówili, że tylko dla pieniędzy, ale to nieprawda, nieprawda - dodała z przeświadczeniem. - Gdy umarła...

Mary mimo woli poruszyła się.

- Ach, więc umarła! - wykrzyknęła odruchowo.

Przypominała sobie bajkę francuską, którą niegdyś czytała, *Riquet à la Houpe*. Bajka mówiła o biednym garbusku i pięknej księżniczce - i naraz zrobiło się jej żal pana Archibalda Cravena.

- Tak, umarła - powiedziała pani Medlock - i odtąd pan zdziczał jeszcze bardziej. Nie dba już o nikogo, nie chce widzieć ludzi. Przeważnie podróżuje, a gdy jest w Misselthwaite Manor, zamyka się w zachodnim skrzydle domu i dopuszcza do siebie tylko Pitchera. Ten Pitcher to już dziadyga, ale opiekował się niegdyś panem, gdy ten był jeszcze dzieckiem, i zna dobrze jego usposobienie.

Wszystko to było dziwne jak w bajce i nie usposobiło Mary wesoło. Dom o stu pokojach, wszystkich prawie zamkniętych na siedem spustów, stojący na krańcu wrzosowiska, zapomniany przez Boga i ludzi! Mary wyglądała oknem, zacisnąwszy wargi. Zdawało się jej rzeczą całkiem naturalną, że w tej chwili deszcz począł sieć ukośnymi

strugami i bić o szyby wagonu. Gdyby żyła jeszcze tamta śliczna kobieta, ożywiałyby otoczenie jak mama Mary - rozgwarem, wesołością, chodzeniem na zabawy w pięknych, ozdobionych koronkami sukniach. Ale obie już nie żyły.

- Niech się panienka nie spodziewa ujrzeć pana, daję głowę, że go panienka w ogóle nie zobaczy - rzekła pani Medlock. - I nie trzeba się spodziewać, żeby ktokolwiek zechciał z panienką rozmawiać. Trzeba będzie samej bawić się i myśleć o sobie. Powiedzą panience, do których pokoi wolno jej wchodzić, a które należy omijać. Ogrodów tam pod dostatkiem. Ale nie można kręcić się po domu i wścibiać nosa tam, gdzie nie wolno. Pan Craven nie życzy sobie tego.

- Wcale nie pragnę wścibiać wszędzie nosa - odparła Mary i jak nagle zrobiło się jej przedtem żal pana Archibalda, tak teraz nagle przestała go żałować, myśląc, że na pewno jest zły i zasłużył na to wszystko, co go spotkało.

Zwróciła twarzyczkę ku oknu, patrząc na strugi ściekającego po szybach deszczu, który padał nieprzerwanie, jakby nigdy nie miał ustać. Patrzyła tak długo i uparcie, aż wszystko zaczęło jej przed oczyma szarzeć, coraz bardziej szarzeć, i Mary znużona zasnęła.

ROZDZIAŁ III

PRZEZ WRZOSOWISKO

Mary spała długo. Kiedy się przebudziła, pani Medlock kupiła na jakiejś stacji koszyczek ze śniadaniem, w którym były: pieczony kurczak i wołowina na zimno, chleb z masłem i gorąca herbata. Deszcz padał gęściej niż przedtem, a widziani na stacjach ludzie poubierani byli w gumowe płaszcze, lśniące i ociekające wodą. Konduktor zapalił lampy w wagonie, a pani Medlock rozkoszowała się herbatą, kurczakiem i wołowiną. Podjadłszy sobie zasnęła, Mary zaś siedziała przyglądając się jej i jej kapeluszowi, który smętnie zsunął się na prawe ucho właścicielki. W końcu Mary zasnęła ponownie, wtulona w kąt przedziału i ukołyszana jednostajnym biciem deszczu o szyby. Było już zupełnie ciemno, gdy się zbudziła. Pociąg zatrzymał się na stacji, a pani Medlock zaczęła potrząsać dziewczynką.

- No, ale panienka spała! - wykrzyknęła. - Czas otworzyć oczy! Jesteśmy już w Thwaite, a jeszcze szmat drogi przed nami.

Mary wstała, walcząc ze snem, gdy tymczasem pani Medlock zbierała pakunki. Dziewczynce na myśl nie przyszło pomóc jej, ponieważ w Indiach zawsze wszystko robiła tubylcza służba, i Mary zdawało się czymś zupełnie naturalnym, że jej usługują.

Stacyjka była mała i nikt oprócz nich tu nie wysiadł. Zawiadowca stacji zaczął rozmawiać z panią Medlock w szorstki, ale życzliwy sposób, wymawiając wyrazy dziwnie rozwlekłe; Mary przekonała się później, że tak właśnie mówiono w Yorkshire.

- Co to, już pani wróciła? I przywiozła pani tę małą?

- Owszem, to ona - odparła pani Medlock, wpadając również w jorkszyrską wymowę i wskazując ruchem głowy na Mary. - Jakże się ma pańska żona?

- Nieźle, dziękuję. Powóz czeka po drugiej stronie.

Istotnie, przed podjazdem stacji stał wykwintny powóz. Mary spostrzegła, że służący, który pomógł jej wsiąść, również prezentował się dobrze. Jego długi gumowy płaszcz i ogromny pokrowiec na cylindrze lśniły i ociekały od deszczu jak zresztą wszystko wokół, nie wyłączając grubego zawiadowcy stacji.

Gdy służący zatrzasnął drzwiczki i usiadł obok stangreta na koźle, dziewczynka usadowiła się wygodnie w miękkim kącie, lecz senność całkiem ją odeszła. Wyglądała oknem, pragnąc coś zobaczyć na drodze wiodącej do tego dziwnego domu, o którym naopowiadała jej pani Medlock. Nie należała do dzieci lękliwych, nie była też wystraszona, lecz czuła, że Bóg wie co może ją spotkać w domu, w którym jest sto zamkniętych pokoi i

który stoi na krańcu wielkiego wrzosowiska.

- Co to jest wrzosowisko? - spytała nagle panią Medlock.

- Niech panienka wygląda wciąż oknem, a za jakie dziesięć mil sama zobaczy - odparła kobieta. - Musimy pięć mil jechać wrzosowiskiem, zanim dojedziemy do domu. Wiele panienka nie zobaczy, bo noc jest ciemna, ale coś niecoś będzie można dostrzec.

Mary nie zadawała już więcej pytań, lecz tylko wpatrywała się uparcie w okno. Latarnie rzucały przed powozem smugi światła i w nich Mary dostrzegła zarysy mijanej okolicy. Po opuszczeniu stacji, gdy przejeżdżali przez małą wioskę, dojrzała białe domki i światła w oberży. Potem minęli kościół, probostwo i coś w rodzaju kiosku z oświetloną witryną z zabawkami, słodyczami i innymi towarami. Później wyjechali na trakt i Mary dostrzegła żywopłoty i drzewa. Potem długo nie było nic godnego uwagi, aż czas począł się Mary dłużyć.

Wreszcie konie zwolniły biegu, jak gdyby wjeżdżały na wzgórek. Zdawało się, że wokół nie ma już ani żywopłotów, ani drzew. Mary nie widziała nic prócz nieprzeniknionej ciemności po obu stronach drogi. Pochyliła się naprzód i przytknęła twarz do szyby, kiedy naraz powóz podskoczył.

- No, teraz to już na pewno jesteśmy na wrzosowisku - powiedziała pani Medlock.

Latarnie rzucały trochę światła na nierówną, złą drogę, która była jakby przecinką w gąszczu krzaków i czegoś nisko rosnącego, co się kończyło dopiero gdzieś na horyzoncie. Zerwał się wiatr, który wydawał dziwne poświsty, przeciągłe i dzikie.

- Czy to... czy to jest morze? - spytała Mary swą towarzyszkę.

- Nie, to nie morze - odparła pani Medlock - ale też nie pola ani góry, tylko nie kończące się dzikie pastwiska, gdzie nic nie rośnie prócz janowców i wrzosów i gdzie nic nie żyje, prócz dzikich kucyków i owiec.

- A mnie się wydaje, że to brzmi jak morze, gdyby tutaj było - powiedziała Mary. - Szumi zupełnie tak samo.

- To wiatr jęczy w zaroślach. Na mój gust to dosyć dzikie i pustynne miejsce, choć mnóstwo ludzi je lubi, zwłaszcza gdy kwitną wrzosy.

Jechały tak coraz dalej w ciemność. Deszcz ustał, ale zerwał się silny wiatr, który świszczął i wydawał niemiłe odgłosy. Droga prowadziła to w górę, to w dół, kilka razy powóz przejeżdżał przez mostki, pod którymi szumiały spienione wody strumieni. Mary miała uczucie, że jazda ta nigdy się nie skończy i że te bezkresne, zimne przestrzenie to ciemny ocean, przez który jedzie się wąskim pasmem lądu.

„Nie podoba mi się to pustkowienie” - powiedziała sobie w duchu i silniej zacisnęła

cienkie wargi.

Konie piły się pod górę, gdy Mary pierwsza dostrzegła światelko. Pani Medlock zobaczyła je również i odetchnęła z uczuciem wielkiej ulgi.

- Cieszę się - zawołała - to świeci się u portiera! No, za chwilę napijemy się gorącej herbaty.

Owo „za chwilę” było względne, bo powóz, wjechawszy przez bramę parku, musiał przebyć jeszcze dwie dobre mile aleją, nad którą stare drzewa, niemal stykające się konarami, tworzyły coś w rodzaju długiego, ciemnego sklepienia.

W końcu jednak wyjechali z alei, zrobiło się jaśniej i wtedy zatrzymali się przed bardzo długim, niskim, nieregularnie zbudowanym z kamienia dworem. Mary zdawało się, że cały dom jest ciemny, dopiero gdy wysiadła, dostrzegła słabe światelko w jednym z okien na piętrze.

Olbrzymie, ciężkie drzwi wejściowe, zbite z masywnych, wspaniale rzeźbionych desek dębowych, nabijane wielkimi, żelaznymi gwoździami, wzmocnione były żelaznymi sztabami. Przez nie wchodziło się do olbrzymiego hallu, który był tak słabo oświetlony, że Mary odeszła ochota przyglądać się starym portretom pań oraz postaciom panów w zbrojach. Gdy tak stała na kamiennej posadzce olbrzymiego hallu, wydawała się drobną, zagubioną tu czarną figurką i czuła się też dziwnie mała i opuszczona.

Ubrany bez zarzutu, chudy, stary człowiek stał obok lokaja, który im otwierał drzwi.

- Ma ją pani wziąć zaraz do jej pokoju - rzekł ochrypłym głosem. - Pan nie życzy sobie jej widzieć. Rano wyjeżdża do Londynu.

- Doskonale, panie Pitcher - odparła pani Medlock. - Jeśli wiem, czego ode mnie oczekują, niezawodnie to wykonam.

- Oczekują jedynie - rzekł Pitcher - że pan będzie miał zupełny spokój i że nie będzie musiał widywać nikogo, kogo widzieć nie pragnie.

Potem pani Medlock poprowadziła Mary przez szerokie schody i długi korytarz i znów w górę po kilku stopniach, potem znów przez inny korytarz i jeszcze przez jeden, póki nie dotarły do drzwi jej pokoju, gdzie Mary zastała ogień na kominku i kolację na stole.

Pani Medlock odezwała się bez ceremonii:

- No, jesteśmy na miejscu. Ten pokój i jeszcze sąsiedni przeznaczone są dla panienki - i to musi panience wystarczyć. Proszę o tym nie zapominać.

W taki to sposób panna Mary Lennox znalazła się w Misselthwaite Manor i chyba nigdy w życiu nie czuła się tak zbuntowana, jak w owej chwili.

ROZDZIAŁ IV

MARTHA

Nazajutrz z rana Mary otworzyła oczy, kiedy do jej pokoju weszła młoda służąca, aby rozniecić ogień. Klęcząc przed kominkiem, dziewczyna hałaśliwie wygarniała nie wypalone węgle. Mary przypatrywała się jej chwilę, po czym zaczęła rozglądać się po pokoju. Wydał się jej i dziwny, i ponury, nigdy jeszcze nie widziała podobnego. Ściany pokryte były tkaniną, na której wyhaftowano sceny myśliwskie: byli tam dziwacznie ubrani ludzie wśród drzew, myśliwi, konie i psy oraz piękne panie, a w dali widniały wierzchołki jakichś wież zamkowych. Mary miała uczucie, że się znajduje wraz z nimi w lesie. Przez okno dostrzegła wielką pofalowaną przestrzeń całkiem pozbawioną drzew, wyglądającą jak bezbrzeżne, smutne, purpurowe morze.

- Co to takiego? - spytała wskazując przez okno.

Młoda służąca, Martha, która właśnie stanęła w nogach jej łóżka, zwróciła się również w tym kierunku.

- To tam?

- Tak.

- To wrzosowisko - rzekła Martha z uśmiechem. - Czy panienka lubi wrzosowiska?

- Nie cierpię - odparła Mary.

- Bo panienka jeszcze nie przywykła - rzekła Martha wracając do kominka. - Panience wydaje się ono teraz takie wielkie i puste. Ale ja wiem, że panienka z czasem strasznie je polubi.

- A ty je lubisz? - zagadnęła Mary.

- Ojoj! I jak jeszcze - odparła Martha, czyszcząc zawzięcie ruszt kominka. - Ja nasze wrzosowisko po prostu kocham i nie jest ono wcale puste. Pełno tam cudownych roślin, a jak pachną! Ślicznie jest tu na wiosnę i latem, kiedy wszystko kwitnie i wrzosa są różowe. A pachnie, jakby kto miód rozlał! Tyle tam tych zapachów, że upić się można. Niebo het - het wysoko, a pszczoły i skowronki tak miło brzęczą i dzwonią. Za nic bym nie chciała żyć z dala od naszych wrzosowisk!

Mary słuchała słów Marthy z uwagą i zdumieniem. Tubylcza służba w Indiach nic a nic nie była do niej podobna. Tamci, uniżeni i służalczy, nigdy nie ośmieliliby się odezwać do państwa jak do równych sobie. Bili pokłony nazywając ich „opiekunami biednych” i nadając im jeszcze inne nazwy. Indyjskiej służbie rozkazywano, a nie proszono o zrobienie czegoś.

Nie było zwyczaju mówić do nich „proszę” i „dziękuję”, a Mary, gdy się rozzłościła, biła swą Ayah po twarzy. Teraz pomyślała, co by się stało, gdyby uderzyła tę tutaj dziewczynę. Było to rumiane, pulchne i miłe stworzenie, ale zachowywała się tak śmiało, że panna Mary zastanawiała się, czy po prostu nie oddano by jej uderzenia, chociaż była przecież dzieckiem.

- Jesteś dziwna jak na służącą - rzekła wyniośle.

Martha kucnęła na piętach, trzymając w ręce szczotkę i roześmiała się bez gniewu.

- Dobrze to wiem - odparła wesoło. - Gdyby jaśnie pani żyła, tobym pewnie i pomocnicą pokojowej nie mogła być. Może by mi pozwolili pracować w kuchni, ale nie na pokojach. Jestem prosta i umiem mówić tylko po jorkszyrsku. Ale ten dom jest jakiś dziwny. Taki wielki, a rzekłby kto, że nie ma tu ani dziedzica, ani dziedziczki, jeno pan Pitcher i pani Medlock. Jak jaśnie pan jest w domu, to o niczym nie chce słuchać. Tylko że on i tak ciągle podróżuje. A pani Medlock dała mi to miejsce z dobroci. Ale mi powiedziała, że gdyby w Misselthwaite było tak jak w innych dworach, nigdy nie mogłaby dopuścić mnie na pokoje.

- Czy ty masz być moją służącą? - spytała Mary ciągle tym samym wyniosłym, nabytym w Indiach tonem.

Martha znów zabrała się do czyszczenia kominka.

- Ja, proszę panienki, jestem służącą pani Medlock - odparła z godnością - ona zaś służy u jaśnie pana. Ja niby mam spełniać robotę pokojowej i panience w tym i owym usłużyć. Ale panienka pewnie nie potrzebuje znów tak dużo obsługi.

- A kto mnie będzie ubierał? - zagadnęła Mary.

Martha znów przysiadła na piętach i przyglądała się Mary, jakby nie rozumiejąc, o co jej chodzi, wreszcie ze zdumieniem spytała:

- To panienka sama nie potrafi?

- Co to znaczy? Nie rozumiem cię.

- Chciałam powiedzieć, że panienka chyba umie sama się ubrać.

- Nie umiem - rzuciła Mary z pogardą. - Nigdy w życiu nie ubierałam się sama. Zawsze ubierała mnie Ayah.

- W takim razie wielki czas, żeby się panienka nauczyła sama to robić - rzekła Martha, widocznie nie zdając sobie sprawy ze swego zuchwalstwa. - Trzeba było już wcześniej zacząć. To panience dobrze robi, gdy sama koło swoich rzeczy pochodzi. Moja matka zawsze się dziwuje, jak dzieci bogatych państwa nie głupieją do cna od tego, że od maleńkości niańki je myją, ubierają i na spacer prowadzą jak te lalki!

- W Indiach są zupełnie inne zwyczaje - rzekła Mary pogardliwie.

Gadanina służącej już ją denerwowała, lecz Marthę niełatwo było speszzyć.

- Hm, ja zaraz spostrzegłam, że tam musi być całkiem inaczej - odrzekła szczerze. - A ja myślę, że to wszystko przez to, że tam tyle czarnych ludzi zamiast białych. Jakem usłyszała, że panienka z Indyj przyjeżdża, tom myślała, że i panienka jest czarna.

Mary, wściekła, usiadła na łóżku.

- Co?! - zawołała. - Co?! Myślałaś, że jestem Hinduską! Ty, ty, córko świni!

Martha spojrzała z lękiem na Mary i spłoszowała.

- Do kogo panienka tak mówi? - rzekła. - Nie wolno panience tak się złościć i nie powinna panienka tak brzydko mówić. A przeciw tym czarnym to ja właściwie nic nie mam. Księża mówią i piszą, że oni są nawet bardzo pobożni. I mówią, że taki czarny to zawsze człowiek i bliźni. Jeszcze nigdy w życiu nie widziałam czarnego człowieka, więc okrutnie się cieszyłam, że nareszcie zobaczę z bliska choć jednego. Jakem tu rano weszła zapalić na kominku, tom się do panienki łóżka przysunęła na palcach i kołderki cichutko uchyliła, żeby na panienkę spojrzeć. A tu panienka biała! - rzekła z rozczarowaniem. - Nie czarniejsza niż ja, choć może trochę żółciejsza.

- Myślałaś, że jestem Hinduską?! Jak śmiałaś! Nie masz żadnego pojęcia o Hindusach! To nie są ludzie, to służący, którzy muszą nam się kłaniać. Nic nie wiesz o Indiach i w ogóle o niczym nie masz pojęcia.

Wpadła w taką pasję i czuła się taka bezbronna wobec szczerego spojrzenia Marthy, a przy tym tak strasznie samotna i oddalona od wszystkiego, co było jej bliskie, że schowała twarz w poduszkę i wybuchnęła niepowstrzymanym szlochem. Płakała tak rozpaczliwie, że pocziwej Marcie zrobiło się jej żal. Podeszła do łóżka i, pochyliwszy się nad dziewczynką, prosiła:

- Panienko! Nie trzeba tak płakać, doprawdy nie trzeba! Nie wiedziałam, że taką przykrość panience sprawię. W ogóle jestem głupia i nic nie rozumiem, jak panienka słusznie powiedziała. Bardzo panienkę przepraszam, proszę przestać płakać.

Było coś dodającego otuchy, coś rzeczywistego przyjacielskiego w jej prostej, szczerzej mowie, coś, co wywarło dodatni wpływ na Mary. Przestała płakać i z wolna uspokoiła się. Martha była uradowana.

- No, a teraz, panienko, czas wstawać! Pani Medlock kazała mi podać panience śniadanie, a potem herbatę i obiad do przyległego pokoju. Tam jest urządzony dziecinny pokój dla panienki. Pomogę się panience ubrać. Jeśli sukienki są zapinane na plecach, to naturalnie sama panienka poradzić sobie nie może.

Kiedy Mary zdecydowała się nareszcie wstać z łóżka, Martha wyjęła z szafy sukienkę, ale nie tę, w której Mary przyjechała.

- To nie moja sukienka. Moja jest czarna - rzuciła Mary. Przyjrzała się z chłodnym uznaniem ładnej sukience z grubej, miękkiej, białej wełny. - Ale jest ładniejsza od mojej - dodała.

- Panienska musi się w nią ubrać - odrzekła Martha. - Pan Craven kazał ją kupić w Londynie. Powiedział przy tym: „Nie chcę, by mi po domu chodziło czarno ubrane dziecko jak dusza potępiona - tak powiedział. - To by ten dom czyniło jeszcze smutniejszym, niż jest. Ubierajcie ją w jasne kolory!” Moja matka mówi, że wie, o co mu chodziło. Mama zawsze wie, o co komu chodzi. Ona też nie lubi czarnego koloru.

- I ja nie cierpię czarnych rzeczy! - zawołała Mary.

W czasie ubierania się obie nauczyły się wiele nowego. Martha ubierała wprawdzie nieraz swoje rodzeństwo, ale nie widziała jeszcze takiego dziecka, które by stało jak pień i pozwalało robić za siebie wszystko, jakby nie miało własnych rąk i nóg.

- Czemu panienska sama się nie obuje? - spytała, gdy Mary spokojnie wystawiła nogę.

- Ayah zawsze nakładała mi buciki - odparła Mary ze zdziwieniem. - Taki był zwyczaj.

Mary często powtarzała: „Taki był zwyczaj”. Służba hinduska zwykła była tak mówić. Gdy im kazano zrobić coś, czego ich przodkowie nie robili od tysiąca lat, spoglądali ze słodkim uśmiechem, mówiąc: „Tego nie było w zwyczaju”, i wszyscy wiedzieli, że sprawa skończona.

Nie było też w zwyczaju, by Mary sama robiła cokolwiek; umiała tylko stać, pozwalając łaskawie, by ją ubierano jak lalkę. Dziś jednak, zanim gotowa była do śniadania, zaczęła domyślać się, że życie w Misselthwaite Manor nauczy ją wielu rzeczy, całkiem dla niej nowych, jak wkładanie bucików i pończoch, zbieranie porozrzucanych rzeczy i tak dalej. Gdyby Martha była dobrze ułożoną panną służącą jakiejś wielkiej pani, wiedziałaby, że do niej należy wyszczotkowanie włosów panience, zapięcie bucików, pozbieranie i poskładanie rzeczy. Będąc wszakże tylko prostą, wiejską dziewczyną, wychowaną w chacie wśród wrzosowisk wraz z gromadką rodzeństwa, poczuwała się jedynie do pomagania maleństwom, które były jeszcze w powijakach lub zaczynały dopiero stawiać pierwsze kroki.

Gdyby Mary miała w sobie więcej wesołości, z pewnością ubawiłaby ją gadanina Marthy. Ale Mary traktowała ją wyniośle, dziwiąc się tylko jej śmiałości. Zrazu nie zwracała wcale uwagi na dziewczynę, ale gdy ta gadała i gadała bez końca, zaczęła z wolna przysłuchiwać się jej paplaninie.

- Oj, żeby panienska wiedziała! - trajkotała Martha. - Jest nas w domu dwanaścioro, a ojciec zarabia tylko szesnaście szylingów na tydzień. Mówię panience, że matka to nie wie

czasem, skąd wziąć na chleb dla nich. Cały dzień biegają po wrzosowisku, a matka mówi, że ich tuczy tutejsze powietrze i pewna jest, iż wszystkie bębny jedzą trawę jak dzikie kuce. A nasz Dick to ma już dwanaście lat, oswoił sobie takiego małego kucyka i mówi, że to jego.

- Gdzie sobie oswoił? - spytała Mary.

- Ano, na wrzosowisku spotkał małego źrebaczka przy matce i jak Dick zaczął mu dawać kawałki chleba i zieloną świeżuchną trawkę, to się ze sobą zaprzyjaźnili. Tak się źrebiątko do niego przyzwyczaiło, że za nim chodzi i pozwala Dickowi na grzbiet sobie siadać. Dick to bardzo dobry chłopak i zwierzęta strasznie go lubią.

Mary nie miała nigdy na własność żadnego ulubionego zwierzątka, choć zawsze tego pragnęła. Zaczęła więc interesować się Dickiem, a ponieważ dotychczas zajmowała ją jedynie własna osoba, było to zatem coś jakby jutrzienka nowego, lepszego uczucia.

Gdy weszła do przeznaczonego dla siebie drugiego pokoju, zauważyła, że jest on zupełnie podobny do tego, w którym spała. Był to raczej pokój dorosłej osoby niż dziecka, z ponurymi, starymi portretami i ciężkimi, dębowymi sprzętami. Stół na środku zastawiony był pożywnym śniadaniem. Mary nigdy nie grzeszyła zbytnim apetytem i teraz patrzyła więcej niż obojętnie na postawione przed nią potrawy.

- Nie lubię tego - rzekła.

- Co? Panienska nie lubi owsianki? - wykrzyknęła Martha niedowierzająco.

- Nie lubię.

- Panienska nie wie, jakie to dobre. Trzeba posypać trochę cukrem.

- Nie lubię - powtórzyła Mary.

- A ja okropnie nie lubię, jak się takie dobre jedzenie marnuje - rzekła Martha. - Żeby tu nasze dzieci siedziały, toby w mig miska była pusta.

- Dlaczego? - spytała Mary chłodno.

- Dlaczego? - jak echo powtórzyła Martha. - Ano, bo one nigdy nie mają żołądków pełnych, jak się patrzy. Głodne to, a jadła chciwe jak młode jastrzębie albo lisy.

- Ja nie wiem, co to znaczy być głodną - rzekła Mary z obojętnością prawdziwej nieświadomości.

Martha była oburzona.

- Dobrze by panience zrobiło trochę się przegłodzić, ja to znam - powiedziała szczerze. - Cierpliwości mi braknie, jak tak kto siedzi i tylko się gapi na chleb i mięso, a nie je. Mój Boże! Żeby tak naszym dzieciakom dać to wszystko, co tu jest na stole, byłaby uciecha, oj, była!

- Czemuż więc im tego nie dasz? - spytała Mary.

- Bo to nie moje - odparła Martha z godnością. - A przy tym dzisiaj nie moje wychodne. Mam wychodne raz na miesiąc, jak reszta służby. Wtedy idę do domu, porządkuję tam porobię za matkę, a matczyńsko kochane odpocznie sobie chociaż przez jeden dzień.

Mary wypila herbatę i zjadła sucharek z odrobiną marmolady.

- A teraz niech się panienska ciepło otuli i idzie pobiegać, pobawić się na dworze - rzekła Martha. - Dobrze panience zrobi trochę spaceru i apetyt będzie lepszy na obiad.

Mary podeszła do okna. Widać było przez nie park, ścieżki i wielkie drzewa, ale wszystko wyglądało jakoś smutno i zimowo.

- Wyjść? Po co? Tak szkaradnie na dworze.

- Jak panienska nie wyjdzie, to będzie musiała siedzieć tu w pokoju, a co by tu panienska robiła?

Mary rozejrzała się dokoła. Prawda, że nie miała tu co robić. Pani Medlock nie pomyślała o zabawkach, przygotowując pokój dla dziewczynki. Może rzeczywiście lepiej będzie pójść obejrzeć ogród?

- A kto mnie zaprowadzi? - spytała.

Martha spojrzała zdziwiona.

- Sama panienska pójdzie - odparła. - Musi się panienska nauczyć sama bawić jak inne dzieci, które nie mają braciszków i siostrzyczek. Nasz Dick jak wybiegnie na pole, to godzinami całymi tam się bawi. Dlatego tak się zaprzyjaźnił z kucykiem. Ma on na wrzosowisku i owieczki znajome, i ptaszki, co mu do rąk po jedzenie przychodzą. W chacie u nas głodno, ale on zawsze zbiera okruszyny chleba dla swoich ulubieńców.

Właśnie wzmianka o Dicku skłoniła Mary do wyjścia, choć dziewczynka nie zdawała sobie z tego sprawy. Jeżeli na dworze nie będzie koników czy baranków, to zobaczy choćby ptaszki. Tutejsze ptaki są zapewne inne niż w Indiach, a to przecież bardzo interesujące.

Martha podała jej płaszcz, kapelusz i parę mocnych ciepłych bucików, a potem pokazała, którędy się schodzi na dół.

- Jak panienska pójdzie tą drogą, to trafi panienska do ogrodów - rzekła, wskazując furtkę w żywopłocie. - Latem to tam kwiatów co niemiara, ale teraz pusto.

Zawahała się chwilę, po czym dodała:

- Jeden ogród jest całkiem zamknięty na klucz. Od dziesięciu lat nikt w nim nie był.

- Dlaczego? - spytała Mary mimo woli.

A więc jeszcze jedno zamknięte drzwi, oprócz owych stu, w tym dziwnym domu.

- Pan Craven zamknął go, kiedy jego żona tak nagle umarła. Nie chce, żeby tam ktokolwiek chodził. To był jej ogród. Pan zamknął furtkę, kazał wykopać dół i zagrzebał

klucz. Ojoj! Pani Medlock dzwoni, muszę się spieszyć.

Gdy Martha odeszła, Mary ruszyła w kierunku furtki w żywopłocie. Wciąż myślała o ogrodzie, w którym nikt nie był od dziesięciu lat. Ciekawa była, jak wygląda i czy tam jeszcze kwitną kwiaty. Przeszedłszy furtkę, znalazła się w wielkich ogrodach o rozległych, strzyżonych trawnikach i wijących się, dobrze utrzymanych ścieżkach. Były tam drzewa i klomby, i kunsztownie strzyżone bukszpany, i staw z fontanną z szarego kamienia pośrodku. Ale klomby były po zimowemu puste, a z fontanny nie tryskała woda. To widocznie nie był jeszcze ów zamknięty ogród. Jakże zresztą można ogród zamknąć? Przecież do każdego ogrodu zawsze można wejść.

Myślała właśnie o tym, gdy na końcu dróżki, którą szła, dostrzegła wysoki mur, obrośnięty bluszczem. Nie знаła Anglii i nie domyśliła się, że wchodzi do ogrodów warzywnych i sadów zaopatrujących dworską kuchnię. Podeszła do muru i spostrzegła wśród bluszczu zieloną, otwartą furtkę. A więc ten ogród nie był zamknięty. Można było do niego wejść.

Mary przekroczyła furtkę i zobaczyła, że ogród stanowi jeden z kilku łączących się ze sobą i okolonych murem ogrodów. Znowu dostrzegła furtkę, a za nią krzewy i ścieżki między inspektami z zimowymi warzywami. Gałęzie owocowych drzew pięły się po murach, inspekty były pod szkłem. „Pusto i brzydko - myślała Mary stojąc i rozglądając się dokoła. - Może w lecie jest tu ładniej, gdy wszystko się zazieleni, ale teraz naprawdę nie ma nic godnego oglądania”.

W tejże chwili w furtce sąsiedniego ogrodu pojawił się starszy mężczyzna z łopatą na ramieniu. W pierwszej chwili zdumiał się na widok Mary, potem dotknął czapki. Miał starą, pomarszczoną twarz i wydawał się bardzo niekontent, gdy zobaczył dziewczynkę. Ale i jej nie podobał się jego ogród, więc przybrała wyraz twarzy „panny Mary kapryśnicy” niezadowolonej ze spotkania.

- Co to za ogród? - spytała.

- Jeden z warzywnych - odparł.

- A tamten? - spytała wskazując drugą furtkę.

- Inny ogród warzywny. Po tamtej stronie muru jest jeszcze jeden, a z przeciwnej strony sad.

- Mogę tam iść? - spytała Mary.

- Jak panienka uważa. Ale nie ma tam nic ciekawego.

Mary nie odpowiedziała. Doszła do końca ścieżki przez drugą zieloną furtkę. I znowu warzywa w inspektach, a w kolejnym murze znowu zielona furtka, tym razem zamknięta.

Może tam jest ów ogród, do którego od dziesięciu lat nikt nie zaglądał? Mary nie była dzieckiem trwożliwym, robiła zawsze, co chciała, więc podeszła do furtki i nacisnęła klamkę. Spodziewała się, że drzwiczki zamknięte są na klucz, chciała się tylko upewnić, że odkryła tajemniczy ogród - lecz furtka otworzyła się z łatwością i Mary znalazła się w dużym sadzie. Wokoło ciągnął się mur, na którym rozpięte były krzewy, a w środku rosły drzewa owocowe, nagie wśród pożółkłej trawy. Ale następnej zielonej furtki już nie było. Mary szukała jej rozglądając się wokoło. Już wchodząc do ogrodu zauważyła, że mur nie kończy się tam, gdzie sad, lecz ciągnie się dalej, jakby oddzielał jeszcze jakiś inny ogród po drugiej stronie. Ujrzała zresztą wierzchołki drzew ponad murem, a na najwyższym z nich zauważyła ptaszka o jasnoczerwonym upierzeniu na piersi. Ptaszek zaczął w tej chwili śpiewać zupełnie jak gdyby ją dostrzegł i chciał zwabić do siebie.

Stała i zaczęła słuchać. Miły, przyjacielski świergot rozbudził w niej jakieś dziwne uczucia: nawet taka zgryźliwa dziewczynka, jaką była Mary, nie lubi samotności, a ów wielki, zamknięty dom, wielkie, bezludne wrzosowiska, wielkie, puste ogrody przejęły ją uczuciem całkowitego osamotnienia na tym wielkim świecie. Gdyby była dzieckiem czułym i tkliwym, serce ścisnęłoby się jej z żalu, ale że była tylko „panną Mary kapryśnicą”, uczuła jedynie smutek, kiedy ptaszek patrzył na jej skwaszoną twarzyczkę, jakby się do niej uśmiechając. Mary słuchała go dopóty, dopóki nie odfrunął. Nie przypominał on indyjskich ptaszków, lecz spodobał się dziewczynce. Ciekawiło ją, czy też go jeszcze kiedyś zobaczy. A może ptaszek mieszka w tajemniczym ogrodzie i wie o nim wszystko?

Mary myślała tak dużo o opuszczonym ogrodzie chyba dlatego, że nie miała nic do roboty. Była ciekawa, jak wygląda. Dlaczego pan Archibald Craven zagrzebał klucz? Jeśli tak bardzo kochał żonę, to dlaczego nienawidzi jej ogrodu? Ciekawa też była, kiedy zobaczy wuja, przekonana, że kiedy go zobaczy, na pewno go nie polubi i on też nie polubi jej. Mary stanęła i spojrzała na niego nie odzywając się ani słówkiem, choć będzie ją wprost korciło zapytać go, dlaczego tak dziwnie postąpił.

„Mnie nikt nie lubi i ja nikogo nie lubię - myślała - bo nie umiem tak paplać jak dzieci Crawfordów, które wiecznie gadały, śmiały się i hałasowały”.

Myślała o ptaszku i o tym, że zaśpiewał jakby umyślnie dla niej, a kiedy uprzytomniła sobie, na którym drzewie siedział, aż przystanęła na ścieżce.

- Jestem pewna, że to drzewo rośnie w tajemniczym ogrodzie! Jestem całkiem pewna - rzekła do siebie. - Był tam przecież mur, ale bez furtki.

Wróciła do pierwszego ogrodu warzywnego i zastała tam kopiącego grządki starego ogrodnika. Podeszła, stanęła przy nim i po swojemu, chłodno, zaczęła mu się przyglądać. Nie

zważał na nią, więc go zagadnęła:

- Byłam w tamtych ogrodach.

- Nic nie szkodzi - odparł szorstko.

- Byłam w sadzie.

- A toć tam pies przy furtce nie siedzi, żeby gryźć - odrzekł.

- Ale do tego ostatniego ogrodu już nie ma furtki - rzekła Mary.

- Do jakiego ogrodu? - powiedział ostro, przerywając na chwilę kopanie.

- No, do tego po tamtej stronie muru - odparła Mary. Tam są drzewa, widziałam czubki. Na jednym z nich siedział ptaszek z czerwonym gardziołkiem i śpiewał.

Ku swemu zdziwieniu Mary dostrzegła, że szorstka, poorana zmarszczkami twarz zmieniła nagle swój wyraz. Słaby uśmiech rozjaśnił oblicze i stary ogrodnik zmienił się nie do poznania. Pomyślała, że z uśmiechem wygląda całkiem sympatycznie. Przedtem nigdy jej to nie przyszło do głowy.

Ogrodnik zwrócił się w stronę sadu i zaczął cichutko, łagodnie gwizdać. Nie mogła pojąć, jak taki szorstki człowiek umie tak łagodnie wabić ptaszka.

W tejże chwili stało się coś zadziwiającego. Usłyszała cichy lot w powietrzu. Ptaszek z czerwonymi piórkami na piersi sfrunął na ziemię i usiadł na grudzie tuż przy nogach ogrodnika.

- Jesteś tu! - zaśmiał się stary, po czym zaczął przemawiać do ptaszka jak do człowieka: - Gdzieś ty się podziewał, łobuzie jeden? Długoś się nie pokazywał. Na zalecanki wyleciałeś? Tak wcześnie? Żony sobie szukasz?

Ptaszek przechylił główkę na bok i patrzył na starego, a oczka świeciły mu się jak duże, czarne perełki. Miało się wrażenie, że ptaszek jest bardzo oswojony i nie boi się zupełnie. Skakał z grudy na grudę i dziobał zawzięcie, szukając ziarenek i owadów.

Dziwne uczucie zrodziło się w sercu Mary: taki był śliczny i miły! Drobnny, ale tłuszcioszek, dziób miał krótki i cienkie nóżki.

- Czy on zawsze przylatuje na zawołanie? - zapytała szeptem.

- A śmiałyby nie przylecieć! Poznałem tego łobuza, jak jeszcze nie był wypierzony. Wyleciał z gniazda w tamtym ogrodzie, przeleciał przez mur, ale był za słaby, żeby pofrunąć z powrotem, i od tego czasu zaczęła się nasza przyjaźń. A jak po kilku dniach wrócił do gniazda, było już puste, więc znowu przyleciał do mnie.

- A co to jest za ptaszek? - spytała Mary.

- Nie widzi panienka? Rudzik! Rudziki to najmilsze ptaki pod słońcem. Przywiązują się jak psy, jeśli się umie z nimi postępować. Niech no panienka spojrzy, jak on dziobie, a

kręci się jak fryga, ciągle na nas spogląda. Wie, bestia, że o nim mowa.

Stary ogrodnik wyglądał zabawnie, kiedy tak patrzył na malutkiego, pękatego ptaszka, jakby go kochał, a zarazem był z niego dumny.

- Strasznie, szelma, próżny! - zaśmiał się znowu. - Lubi, jak się o nim mówi. A ciekawy! Bóg świadkiem, że chyba nie ma na świecie drugiego takiego ciekawskiego i wścibskiego stworzenia. Zawsze przylatuje zobaczyć, co się albo sadzę. On wie i to, czego pan Craven nie wie. Tak, to on tu jest naczelnym ogrodnikiem, tak, tak.

Rudzik skakał, dziobał przystając od czasu do czasu i przyglądając się im obojgu. Mary zdawało się, że ptaszek przypatruje się jej ze szczególną ciekawością. Wyglądało to tak, jakby się wszystkiego o niej chciał dowiedzieć. Dziwne uczucie poczęło kiełkować w sercu dziewczynki.

- A gdzie poleciały tamte ptaszki z gniazdka? - zapytała.

- Nie wiadomo. Stare wyganiają młode z gniazda, każą im latać i rozpierzcha się to nie wiedzieć gdzie. Ten tutaj to mądrała, wie, że jest sam.

Mary podeszła bliżej do ptaszka, spojrzała na niego i twardo rzekła:

- I ja jestem sama.

Przedtem nie zdawała sobie sprawy, że to było główną przyczyną jej wiecznego skwaszenia i zgryźliwości. Uświadomiła to sobie dopiero teraz, patrząc na ptaszka i łowiąc jego spojrzenia.

Stary ogrodnik poprawił czapkę na łysinie, popatrzył na nią i rzekł:

- To panienka jest ta, co to przyjechała z Indii?

Mary potakująco skinęła głową.

- Nie dziwota w takim razie, że panienka jest sama. Później, kiedy panienka będzie większa, to będzie jeszcze bardziej sama - powiedział.

Począł znów kopać, mocno wbijając szpadel w tłustą czarną ziemię, gdy tymczasem rudzik, zainteresowany tym ogromnie, podskakiwał dokoła niego.

- Jak się nazywacie? - wypytywała Mary.

Przerwał robotę, by dać odpowiedź.

- Ben Weatherstaff - odparł, a potem z dziwnym grymasem dodał: - Ja też jestem sam, chyba że ten do mnie przyjdzie - wskazał palcem na rudzika. - To mój jedyny przyjaciel.

- A ja wcale nie mam przyjaciół i nigdy ich nie miałam. Nawet moja niania mnie nie lubiła i nigdy się z nikim nie bawiłam - wyznała Mary.

W Yorkshire panuje zwyczaj, że prawdę mówi się szczerze, bez ogródek, a że Ben Weatherstaff był rodem z Yorkshire, więc odparł:

- My oboje - niby panienka i ja - jedziemy na jednym wózku. Jesteśmy ulepieni z tej samej gliny. Oboje nie jesteśmy urodziwi, zawsze skwaszeni i nieprzyjemni, poznać to od pierwszego wejrzenia. No i mogę się założyć, że mamy równie niemiły charakter.

Powiedziane to było prosto z mostu, Mary zaś nigdy dotąd nie słyszała prawdy o sobie. Tam, w Indiach, służba biła pokłony i przytakiwała jej we wszystkim. Dziewczynka nie zastanawiała się nigdy nad swoim wyglądem i ciekawa była, czy rzeczywiście jest tak mało urodziwa jak Ben Weatherstaff i czy wygląda na równie skwaszoną jak on, zanim przyfrunął rudzik. Zaczęła się także zastanawiać, czy i ona ma „niemiły charakter”. Zrobiło się jej nieprzyjemnie.

Naraz cichy, łagodny tryl zabrzmiał tuż przy niej. Odwróciła się i stanęła w pobliżu młodej jabłonki, a rudzik, usiadłszy na jednej z gałązek, zaśpiewał swoją piosenkę. Ben Weatherstaff szczerze się zaśmiał.

- Czemu on przyfrunął tu do mnie i tak śpiewa? - spytała Mary.

- Chce się z panienką zaprzyjaźnić - odparł Ben. - Głowę daję, że panienka mu się spodobała.

- Ja? - spytała Mary, łagodnym ruchem odwracając się ku drzewu. - Chcesz być moim przyjacielem? - zwróciła się do ptaszka jak do człowieka. - Naprawdę?

Wszystko to powiedziała zaś nie na swój zwykły szorstki i rozkazujący sposób, lecz tak słodko i ciepło, że z kolei Ben Weatherstaff był nie mniej zdziwiony niż Mary, gdy usłyszała jego gwizdanie.

- Hej! - wykrzyknął. - Tak to panienka ślicznie i po ludzku powiedziała, jakby była prawdziwym dzieckiem, a nie starą, zgryźliwą babą. Powiedziała panienka tak, jak Dick przemawia, do swoich zwierząt na wrzosowisku.

- To wy znacie Dicka? - spytała Mary, rażno zwracając się ku staremu.

- A kto by go nie znał! Toć wszędzie go pełno. Nawet dzikie jeżyny i kwiatki wrzósów go znają. Założę się, że lisy mówią mu, gdzie znajdują się ich młode, a skowronki pokazują mu swoje gniazdko.

Mary miała wielką ochotę pytać dalej. Była prawie tak samo zaciekawiona Dickiem, jak tajemniczym ogrodem. Lecz w tejże chwili rudzik urwał swój śpiew, rozwinął z trzepotem skrzydełka i odfrunął. Wizyta była skończona - teraz miał widocznie inne zajęcie.

- Przeleciał przez mur! - zawołała Mary, śledząc lot ptaszka. - Teraz poleciał do sadu, o! A teraz przez drugi mur do tego ogrodu, do którego nie ma furtki!

- Bo on tam mieszka i tam się z jajka wykuł. Jeżeli sobie poszuka żony, to tylko tam, między młodymi pannami rudzikównymi, które mieszkają w starych krzakach róż.

- W krzakach róż? To tam są róże? - spytała Mary.

Ben Weatherstaff chwycił za łopatę i począł na nowo kopać.

- Były dziesięć lat temu - wymruczał.

- Chciałabym zobaczyć te róże - powiedziała Mary. - Gdzie jest ta furtka? Gdzieś przecież musi być.

Ben zatknął łopatę w ziemię i znów wyglądał tak niemiło jak na początku ich znajomości.

- A była, była dziesięć lat temu, ale teraz już jej nie ma - powiedział.

Nie ma? Musi być! - zawołała Mary.

- Nie ma, nikt jej nie znajdzie i nikomu nic do tego. Niech panienka nie będzie wścibska i nie wtyka nosa w nie swoje sprawy. No, a teraz do roboty! Nie mam już czasu, a panienka niech idzie się bawić.

Zarzucił sobie szpadel na ramię i odszedł nie spojrzawszy nawet na dziewczynkę.

ROZDZIAŁ V

KRZYK W KORYTARZU

Z początku wszystkie dni były dla Mary Lennox podobne do siebie. Co rano budziła się w swoim obitym tkaninami pokoju i zawsze wzrok jej padał najpierw na Marthę rozniecającą ogień na kominku, co rano zjadała śniadanie, ale ani odmiany żadnej, ani nic zabawnego w tym nie było. Po śniadaniu wyglądała oknem na rozległe wrzosowisko, które zdawało się ciągnąć w nieskończoność, a patrząc tak, dochodziła z wolna do wniosku, że jeśli nie wyjdzie na dwór, to będzie musiała siedzieć beczynnym w swym pokoju. To ją skłaniało do wyjścia. Nie wiedziała, że to było najlepsze, co mogła zrobić, nie wiedziała również, że w miarę jak biegała po ścieżkach i alejach, krew szybciej poczyniała krążyć w jej żyłach, a walka z wiatrem, wiejącym od strony wrzosowiska, dodawała jej sił. Biegała po to tylko, by się ogrzać. Nienawidziła wichru, który dał jej prosto w twarz i wył, a w biegu zatrzymywał ją nagle jak jakiś niewidzialny olbrzym. Ale owe podmuchy ostrego, świeżego powietrza, płynącego znad wrzosów, napępiały płuca czymś zbawiennym dla jej wątłego organizmu, wywoływały rumieńce i rozszerzały, rozjaśniały jej pozbawione dawniej wyrazu oczy.

Po kilku dniach, całkowicie niemal spędzonych na dworze. Mary zbudziła się pewnego ranka z uczuciem silnego głodu, a gdy zasiadła do śniadania, nie patrzyła już obojętnie na owsiankę, nie odsunęła talerza, lecz wzięła łyżkę i jadła, aż jej się uszy trzęsły, póki nie pokazało się dno.

- Dzisiaj to się panienska ładnie uwinęła. Prawda? - rzekła Martha.

- Jakoś mi dzisiaj smakuje - odparła nieco zdziwiona Mary.

- To tutejsze powietrze tak panience zaostrza apetyt - rzekła Martha. - Jaka panienska szczęśliwa, że jak ma apetyt, to ma i co jeść. Nas tam dwanaścioro w chacie i żołądki zdrowe, a nie ma co w nie włożyć. Niech panienska wychodzi co dzień się pobawić, to przytyje i taka żółta nie będzie.

- Ja się nie bawię - odparła Mary. - Nie mam czym się bawić.

- Nie ma się panienska czym bawić?! - wykrzyknęła Martha. - Nasze dzieci bawią się choćby drewniakami i kamyczkami. Biegają jak opętane, pokrzykują i przyglądają się wszystkim.

Mary nie pokrzykiwała, ale przyglądała się. Nie miała zresztą nic innego do roboty. Chodziła po ogrodach i dziwiła się różnym rzeczom. Kilka razy zwróciła się do starego ogrodnika, lecz Ben Weatherstaff był zawsze zbyt zajęty, by na nią spojrzeć, albo też był w

złym humorze. Pewnego zaś razu, gdy Mary szła ku niemu, wziął szpadel na plecy i odszedł - jakby umyślnie - w inną stronę.

W jedno miejsce chodziła częściej niż gdzie indziej: na sam koniec ogrodów, gdzie były tylko puste obecnie klomby, pod mur obrosnięty gęsto bluszczem. W jednym miejscu ciemna zieleń wijących się gałązek była bardziej gęsta. Ta część ogrodów wyglądała na zaniedbaną. Bluszcz rósł wszędzie porządnie, równo przystrzyżony, tylko tutaj, na końcu muru, musiał nie być przycinany od dawna.

Mary to zauważyła w kilka dni po rozmowie z ogrodnikiem i zaczęła się zastanawiać, dlaczego tak jest. Zatrzymała się tu właśnie, patrząc na długi pęd bluszczu kołyszący się na wietrze, gdy nagle ujrzała czerwoną plamkę i usłyszała srebrzysty tryl. Wysoko na murze przysiadł rudzik z czerwoną plamką na piersi. Pochylony, z główką przekrzywioną na bok, wyglądał tak, jakby chciał się jej przyjrzeć.

- Och! - zawołała. - To ty?

To, że przemawiała do ptaszka, nie wydało jej się dziwne. Miała niemal pewność, że ją rozumie i odpowie.

I ptaszek odpowiedział. Ćwierkał, gwizdał i skakał po murze, jakby jej chciał coś powiedzieć. Mary zdawało się, że go rozumie bez słów. A rudzik jakby mówił:

„Dzień dobry! Prawda, że miły wiaterek? A słońce jakie cudne! Prawda, że wszystko jest ładne? Ćwierkajmy zatem i poskaczmy sobie. Chodź ze mną - chodź!”

Mary zaczęła się śmiać, a w miarę jak rudzik skakał z miejsca na miejsce - biegła za nim. Drobna, bledziutka Mary wyglądała w tej chwili bardzo ładnie.

- Lubię cię, strasznie cię lubię! - wołała Mary, tupocząc po ścieżce i próbując ćwierkać i gwizdać, choć tak naprawdę to gwizdać nie umiała. Lecz rudzik wydawał się być kontent ćwierkając i gwizdząc jakby w odpowiedzi. Wreszcie rozwinął skrzydła i błyskawicznie pofrunął na wierzchołek drzewa, skąd rozległ się jego głośny śpiew.

To przypomniało Mary dzień, gdy go zobaczyła pierwszy raz. Wtedy też siedział na czubku drzewa, a ona stała w sadzie. W tej chwili była poza sadem, na ścieżce po drugiej stronie muru, o wiele niżej - a za murem było to samo drzewo.

- To ten ogród, do którego nikt nie wchodzi - powiedziała do siebie - ogród bez furtki. On tam mieszka. Ach, Boże! Żebyśmy mogła zobaczyć, jak tam jest!

Pobiegła ścieżką do owej zielonej furtki, przez którą przeszła pierwszy raz do ogrodu, później ścieżką do następnej furtki. Wbiegła do sadu i spojrzawszy ku górze spostrzegła po tamtej stronie muru to samo drzewo, a rudzik, siedząc na wierzchołku, ukończył właśnie piosenkę i dzióbkiem czyścił sobie zawzięcie piórka.

- Tak, to ten ogród - rzekła do siebie. - Jestem teraz całkiem pewna.

Obeszła cały mur dookoła od strony sadu, ale stwierdziła to samo, co poprzednio, że w murze tym nie było furtki.

„Bardzo dziwne - pomyślała. - Weatherstaff powiedział, że nie ma tam furtki, no i rzeczywiście, ale przed dziesięciu laty musiała być, skoro pan Craven zagrzebał klucz do niej”.

Tak ją te myśli zaabsorbowały i pochłonęły, że wprawiło ją to w lepszy humor i nie żałowała już, że przyjechała do Misselthwaite Manor. W Indiach było jej zawsze za gorąco, czuła się stale zmęczona i nie chciało jej się nic robić, a tutaj świeży powiew północnego wiatru oczyszczał jej płuca i budził do życia.

Przebywała na dworze prawie cały dzień, a kiedy wieczorem zasiadała do kolacji, poczuła się głodna, śpiąca i było jej z tym dobrze. Nie gniewała jej już bezustanna gadanina Marthy. Co dziwniejsze, stwierdziła, że słucha jej z przyjemnością, w końcu postanowiła nawet zadać dziewczynie kilka pytań. Po skończonej kolacji zatem, usiadłszy przed kominkiem, zagadnęła:

- Dlaczego pan Craven nie cierpi tego ogrodu?

Przedtem prosiła Marthę, żeby z nią została, i dziewczyna chętnie się zgodziła. Bardzo młoda, przyzwyczajona do ożywionej, gwarnej chaty, pełnej rodzeństwa, i czuła się nieswojo w ogromnym pokoju dla służby, gdzie lokaje i starsze służące naśmiewali się z jej wsiowej mowy, traktowali ją jako kogoś gorszego i gwarzyli tylko między sobą. Martha lubiła rozmawiać, a to dziwne dziecko, przybyłe z Indii, gdzie jej służyli „czarni”, było nowością podniecającą jej ciekawość. Usiadła teraz przy kominku obok Mary, nie czekając na jej pozwolenie.

- Ciągłe panience ten ogród w głowie? - spytała. - Od razu wiedziałam, że tak będzie. Tak samiuśko było ze mną, jakem o tym pierwszy raz usłyszała.

- Dlaczego on go tak nie cierpi? - nalegała Mary.

Martha podwinęła nogi pod siebie i usadowiła się wygodnie.

- Niech no panienka posłucha, jak od wrzosowiska wyje wiatr. Żeby panienka tam teraz była, toby się pewno nie utrzymała na nogach.

Mary poczęła nasłuchiwać i zrozumiała, co to jest wycie wichru, owe świszczące poszumy, co hulały wokoło domu, jakby jakiś olbrzym niewidzialny bił w mury i okna, usiłując rozwalić dom. Ale tu miało się pewność, że wiatr na pewno nie dostanie się do wnętrza, a także uczucie, że w tym pokoju z ogniem na kominku jest dobrze, bezpiecznie i zacisznie.

- No więc powiedz mi, czemu on tak nie cierpi tego ogrodu? - spytała dziewczynka chcąc wybadać Marthę.

Martha poczęła opowiadać:

- Przede wszystkim muszę panience wyznać, że pani Medlock zakazała mi mówić o tym. Tutaj jest wiele różnych spraw, o których mówić nie wolno. Taki jest rozkaz jasnie pana. Jego troski nic nie obchodzą służby - nie wolno nam się wtrącać. A to tylko przez ten ogród pan taki się zrobił. To był ogród pani, zaraz jak się pobrali - i pani strasznie ten ogród lubiła, i zawsze państwo na wiosnę razem tam kwiatki sadzili. Żadnemu ogrodnikowi nie wolno było wchodzić. Państwo wchodzili razem, zamykali furtkę na klucz i tak całe godziny siedzieli, rozmawiali i czytali. A pani była taka młodziutka! W ogrodzie stała ławeczka pod starym drzewem ze zwieszającymi się konarami. Pani obsadziła to drzewo pnącymi różami i bardzo lubiła siadać na ławeczce pod nim. Ale pewnego razu, gdy tam siedziała, konar się złamał i tak strasznie uderzył panią, że upadła na ziemię, a na drugi dzień umarła. Doktorzy wtenczas mówili, że pan pewno zmysły straci i też za panią pójdzie. I dlatego pan tak nie cierpi tego ogrodu. I od tego czasu nikt tan> już nie był, a nawet mówić o tym nie wolno.

Mary nie pytała więcej. Patrzyła w ogień na kominku i słuchała wycia wiatru, który zdawał się dąć ze zdwojoną siłą i wściekłością.

Dokonywała się w niej w tej chwili jakaś dobra zmiana. Odkąd przybyła do Misselthwaite, był to czwarty dodatni fakt, jaki jej się przydarzył. Najpierw - zdawało jej się, że zrozumiała ptaszka i była zrozumiana przez niego: po wtóre - nauczyła się biegać i walczyć z wiatrem, co ją rozgrzało i poruszyło krew w żyłach; następnie - poczuła się pierwszy raz w życiu głodna: i wreszcie - poznała, co to znaczy kogoś serdecznie żałować. Mary robiła postępy.

Lecz wsłuchując się teraz w wycie wichru, poczęła łowić uchem jakieś inne odgłosy. Zrazu nie zdawała sobie sprawy, co to było, gdyż dźwięki te mało różniły się od wycia wiatru - były jakieś dziwne, przypominały daleki płacz dziecka. Wprawdzie jęki wiatru też niekiedy podobne były do płaczu, lecz tym razem Mary była zupełnie pewna, że głosy pochodziły z wnętrza domu - nie z zewnątrz; gdzieś z daleka, ale z domu. Odwróciła się i spojrzała prosto w twarz Marthy.

- Słyszysz`? Ktoś płacze - rzekła.

Martha się zmieszała.

- Nie - odparła - to wiatr. Czasem się zdaje, że ktoś się zabłąkał we wrzosach i jęczy. Wiatr potrafi tutaj gwizdać na różne tony.

- Ależ posłuchaj dobrze - rzekła Mary. - To ktoś płacze w domu, na jednym z tych

korytarzy.

W tejże chwili musiał ktoś otworzyć jakieś drzwi na dole, straszny przeciąg na korytarzu spowodował głośny łomot drzwi pokoju Mary. Obie z Marthą skoczyły na równe nogi, lampa zgasła, a przeszywający krzyk na korytarzu dał się słyszeć zupełnie wyraźnie.

- No widzisz! - rzekła Mary. - Przecież ci mówiłam! Ktoś tu płacze i nie jest to płacz dorosłej osoby.

Martha podbiegła, zamknęła drzwi, przekręciła klucz w zamku, lecz zanim to zrobiła, usłyszały obie trzask zamykanych drzwi gdzieś na jednym z długich korytarzy, po czym wszystko ucichło, bo nawet wiatr uspokoił się na kilka minut.

- To wiatr jęczał - uparcie dowodziła Martha. - A jeżeli nie wiatr, to pewno mała Betty Butterwarth, ta z kuchni, bo ją dzisiaj cały dzień strasznie zęby bolały.

W głosie mówiącej czuć było jednak coś nienaturalnego, jakiś przymus, tak że Mary spojrzała na nią przenikliwie. Nie wierzyła w to, co mówiła Martha.

ROZDZIAŁ VI

„A JEDNAK KTOŚ PŁAKAŁ”

Następnego dnia padał od samego rana ulewny deszcz i wrzosowiska osłonięte były gęstą, nieprzeniknioną zasłoną z mgły. O wyjściu na dwór, a tym bardziej o spacerze, mowy być nie mogło.

- Co wy robicie w waszej chacie, gdy tak strasznie pada? - zagadnęła Mary Marthę.

- Ano, najpierw musimy uważać, żeby się nie podeptać. - odparła Martha. - Ojoj! Jak też nas wtedy wydaje się wiele! Matka jest zawsze pogodna, ale wtenczas to mówi, że głowę z kretelem można stracić. Starsi idą bawić się do obory, ale Dick na deszcz nie zważa. Wychodzi tak, jak kiedy świeci słońce. On mówi, że w czasie deszczu można widzieć przeróżne rzeczy, których się w pogodne, słoneczne dni nie ujrzy. Raz znalazł młodego liska na poły zatopionego w jamie, więc go wziął i włożył za bluzę, żeby go ogrzać, i do domu przyniósł. Starą lisicę zabito niedaleko od jamy, a jamę zalała woda i zatopiła resztę lisiąt. Teraz Dick chowa w domu tego liska. Innym razem znalazł młodego też na pół utopionego gawrona i także do domu przyniósł i oswoił. Gawron nazywa się Sadza, bo strasznie czarny, a skacze i lata za nim wszędzie.

Z czasem Mary przestało drażnić poufale gadulstwo Marthy. Poczęła nawet w nim gustować i była bardzo niezadowolona, gdy Martha przerywała paplaninę lub wychodziła z domu. Bajki, które jej opowiadała Ayah w Indiach, były zupełnie inne niż opowieści Marthy o chacie na wrzosowisku i o czternaściorgu ludziach, którzy mieszkali w czterech małych izdebkach i nigdy nie mieli dosyć jedzenia, a dzieci skakały tam jak gromadka dzikich kózek. Mary czuła najwięcej sympatii do ich matki i do Dicka. Wszystko to, co Martha opowiadała o matce, było zawsze w jakiś sposób kojące.

- Ja bym się też chętnie pobawiła z młodym liskiem albo... gawronem - rzekła Mary. - Ale nic nie mam!

Martha spojrzała na nią z ogromnym zdziwieniem.

- Umie panienka robić pończochy? - spytała.

- Nie - odparła Mary.

- A szyć?

- Nie.

- No, a czytać?

- Umiem.

- To czemuż sobie panienka nie poczyta albo się nie pouczy trochę? Panienka już duża, powinna zacząć się uczyć!

- Kiedy widzisz, nie mam książek - odparła Mary. - Te, które miałam, pozostały tam, w Indiach.

- O, to szkoda! - rzekła Martha. - Dobrze by było, gdyby pani Medlock pozwoliła panience pójść do biblioteki. Tam dopiero moc książek!

Mary nie zapytała, gdzie się znajduje biblioteka, nasunął się jej bowiem nowy pomysł. Postanowiła sama ją znaleźć. Mniejsza o panią Medlock! Przecież siedziała ciągle na dole, w swoim wygodnie urządzonym saloniku. W tym dziwnym domu rzadko się kogoś spotykało. W ogóle widywało się tylko służbę, która pod nieobecność właściciela żyła jak u Pana Boga za piecem. Miejscem ich spotkań była ogromna kuchnia z błyszczącymi rondlami i równie olbrzymia sala jadalna, gdzie pięć razy dziennie spożywali obfite posiłki i wesoło zabawiali się, gdy pani Medlock nie było w pobliżu.

Posiłki podawano Mary regularnie. Usługiwała jej Martha, lecz poza tym nikt się o nią zupełnie nie troszczył. Pani Medlock odwiedzała ją codziennie lub co drugi dzień, lecz nikt nie pytał, co Mary robi, ani nie mówił, co ma robić. Mary myślała, że to może angielski sposób wychowywania dzieci. W Indiach wciąż na nią uważała Ayah, która jej towarzyszyła wszędzie i usługiwała na każdym kroku, tak że dziewczynka była czasem zmęczona jej towarzystwem. Teraz nikt za nią nie chodził, co więcej: nauczyła się sama ubierać, gdyż Martha patrzyła na nią jak na wariatkę albo głuptasa, kiedy sobie kazała podawać lub wdziawać na siebie to i owo.

Pewnego razu, kiedy Mary stała czekając, aż jej Martha nałoży rękawiczki, służąca krzyknęła:

- Czy panienka oszalała! Nasza Susan Ann jest dwa razy dzielniejsza od panienki, a ma dopiero cztery lata. Czasem to mi się zdaje, że panienka niezupełnie ma dobrze w głowie!

Mary dąsała się potem przez godzinę, lecz to wydarzenie obudziło w niej nowe myśli.

Tego ranka, gdy Martha wyczyściwszy kominek wyszła z pokoju, Mary stała przez pewien czas przy oknie. Rozważała to, co usłyszała o bibliotece. Chodziło jej zresztą nie tyle o sam księgozbiór, ile o owe sto pokoi zamkniętych na klucz. Ciekawa była, czy wszystkie są naprawdę zamknięte i czy można się do któregoś z nich dostać. Czy rzeczywiście było ich aż sto? Czemuż by nie pójść i nie porachować drzwi. W każdym razie będzie miała zajęcie, skoro nie może wyjść do ogrodu. Nie zwykła była prosić o pozwolenie, gdy chciała coś zrobić, nie miała pojęcia, co to jest „zwierzchność”, toteż na myśl jej nie przyszło prosić panią Medlock o pozwolenie chodzenia po domu, nawet gdyby się tu pojawiła.

Otworzyła drzwi, wyszła na korytarz i zaczęła wędrówkę. Korytarz był bardzo długi, rozgałęziający się w kilku kierunkach; po drodze natrafiała na różne schodki wiodące to w górę to w dół. Drzwi i drzwi bez końca, a wszędzie na ścianach mnóstwo obrazów: pocerniałe osobliwe pejzaże, ale przede wszystkim portrety mężczyzn i kobiet we wspaniałych strojach z aksamitu i atlasu. Wreszcie Mary znalazła się w długiej galerii, której ściany zawieszane były wyłącznie portretami. Nigdy nie myślała, że w jednym domu może ich być aż tyle. Wolno szła przez galerię, przyglądając się wszystkim twarzom, a one ze swej strony zdawały się spoglądać na nią. Mary miała wrażenie, że ludzie z portretów chcieliby wiedzieć, co robi wśród nich mała dziewczynka, która przybyła z Indii. Niektóre portrety przedstawiały dzieci - dziewczynki w ciężkich, jedwabnych sukniach, szeroko odstających na biodrach i sięgających im aż do stóp, oraz chłopców w strojach z bufiastymi rękawami i koronkowymi kołnierzykami, uczesanych w długie loki lub w sztywne kreczki wokół szyi. Mary zatrzymywała się przed portretami dzieci. Chciałaby poznać ich imiona, wiedzieć, kim byli, dokąd odeszli i dlaczego są tak dziwnie ubrani. Był tam między innymi portret małej, sztywno stojącej dziewczynki, bardzo podobnej do Mary. Dziewczynka ubrana była w suknię z zielonego brokatu, na jej ręku siedziała zielona papuzka, oczy miały bystry, pełen ciekawości wyraz.

- Gdzie teraz jesteś? - głośno spytała Mary. - Bardzo bym chciała, żebyś była tutaj.

Chyba żadne jeszcze dziecko nie spędziło tak dziwnego poranka. Zdawać by się mogło, że w tym ogromnym, niesamowitym domu nie ma żadnej żyjącej istoty prócz małej Mary, wędrującej to w górę, to w dół szerokimi lub wąskimi korytarzami, po których, jak wierzyła, nikt prócz niej nigdy nie chodził. Skoro zbudowano aż tyle pokoi, to przecież musieli tu kiedyś mieszkać jacyś ludzie, lecz teraz było tu tak pusto, że Mary trudno było w to uwierzyć.

Dopiero gdy dotarła na piętro, pomyślała, by naciskać klamki. Wszystkie drzwi były zamknięte, jak powiedziała pani Medlock, lecz gdy w końcu Mary nacisnęła kolejną klamkę, opanował ją strach, poczuła bowiem, że klamka poddaje się bez trudności, a pchnięte drzwi, ciężkie i masywne, otworzyły się z wolna. Prowadziły one do wielkiej sypialni z haftowanymi portierami i inkrustowanymi meblami, jakie Mary widywała w Indiach. Szerokie, staroświeckie okno, z małymi, w cynę oprawionymi szybami, otwierało widok na wrzosowisko, a nad kominkiem wisiał drugi portret owej małej, sztywno stojącej dziewczynki, która jakby z jeszcze większym zdziwieniem patrzyła na Mary.

„Może ona tutaj niegdyś sypiała - pomyślała Mary. - Patrzy na mnie tak, że robi mi się nieprzyjemnie”.

Potem zaczęła otwierać drzwi jedne po drugich. W ten sposób zwiedziła cały szereg pokoi, aż w końcu zmęczyła się i pomyślała, że pewnie jest ich sto, choć nie liczyła. Prawie we wszystkich pokojach wisiały stare obrazy, stare gobeliny, na których przedstawione były jakieś niezrozumiałe sceny. Prawie wszystkie pokoje były umeblowane kunsztownym sprzętem.

W jednym pokoju, który wyglądał na buduar, aksamitne portiery były przepięknie haftowane, a w szklanej gablotce znajdowało się ze sto figurek małych słoni w różnych rozmiarach. Niektóre miały na grzbiecie palankiny lub poganiaczy Hindusów. Jedne były bardzo duże, inne mniejsze, niektóre zaś całkiem drobne. Mary widywała rzeźby z kości słoniowej w Indiach, a o słoniach wiedziała wszystko. Otworzyła zatem drzwi gabloty, weszła na stołeczek i długo, długo się bawiła. Gdy ją to zmęczyło, ustawiła słonie na miejscu i zamknęła gablotę.

Podczas całej swej długiej wędrówki po korytarzach i pustych pokojach nie spotkała żywego ducha, lecz tutaj wreszcie coś znalazła: Zamykając gablotę usłyszała delikatny szelest. Rozejrzała się dokoła i wzrok jej padł na sofę przed kominkiem, skąd doszedł ją ten szmer. W narożniku sofy leżała pokryta aksamitem Poduszka z widoczną dziurą, z której wyglądała para wystraszonych oczek.

Mary ostrożnie podeszła bliżej - oczka należały do małej szarej myszki, która wygryzła dziurę w poduszce i urządziła sobie w niej wygodne mieszkanko. Sześć skulonych myszątek spało obok matki. Jeżeli w pokojach nie było żadnego człowieka, to było za to siedem żywych myszek, które nie wyglądały na opuszczone.

Zabrałabym je ze sobą, gdyby się mnie nie bały” - pomyślała Mary.

Wędrowała tak długo, aż wreszcie poczuła się zbyt zmęczona, by iść dalej, i zawróciła. Dwa lub trzy razy zmyliła drogę wszedłszy na inny korytarz i błądziła trochę, zanim trafiła na właściwy. Lecz w końcu dotarła na piętro, o które jej chodziło, jakkolwiek do jej pokoju było jeszcze daleko i nie wiedziała dobrze, gdzie się znajduje.

- Zdaje mi się, że znów idę złą drogą - rzekła do siebie, na końcu krótkiego pasażu ze ścianami ozdobionymi makatami. Sama nie wiem, w którą stronę iść. Ach, jaka tu cisza!

Kiedy tak stała i zastanawiała się, co robić, ciszę przerwały jakieś odgłosy. Znów płacz, lecz inny niż w nocy; teraz słychać było tylko urywany, krótki, pełen złości wrzask niegrzecznego dziecka, tłumiony przez grube mury.

„To o wiele bliżej niż wtedy - pomyślała Mary z bijącym sercem. - Znowu ktoś płacze!”

Mimowolnie wsparła się ręką o ścianę pokrytą zasłoną, i w tejże chwili odskoczyła

przeżazona. Zaslona ukrywała drzwi, które nagle otwały się, ukazując dalszy ciąg korytarza, a w nim bardzo zagniewaną panią Medlock z pękiem kluczy.

- Co panienka tu robi? - rzekła biorąc Mary za rękę i ciągnąc za sobą. - Co panienka miała zapowiedziane?

- Zabłądziłam - tłumaczyła się Mary. - Nie wiedziałam, w którą stronę iść, gdy nagle usłyszałam, że ktoś płacze.

Nienawidziła pani Medlock w tej chwili, lecz znienawidziła ją jeszcze bardziej w następnej.

- Nie słyszała panienka żadnego płaczu ani nic podobnego - rzekła gospodyni. - Proszę zaraz iść do swego pokoju albo będzie mieć panienka za swoje.

I wzięwszy ją za rękę, pociągnęła za sobą przez parę dalszych korytarzy, póki nie wepchnęła Mary do jej pokoju.

- Proszę siedzieć tam, gdzie panience każe, inaczej zamknę się panienkę na klucz. Pan powinien wziąć do panienki specjalną guwernantkę, o czym zresztą mówił. Panienkę trzeba bardzo krótko trzymać, a ja mam i bez tego dosyć roboty.

Wyszła trzaskając drzwiami, Mary zaś usiadła przed kominkiem błada z wściekłości. Nie płakała, lecz zgrzytała zębami.

- A jednak ktoś tam płakał. Płakał, i już - rzekła do siebie. Dwa razy słyszałam i muszę w końcu wykryć, kto tam płacze.

Tego ranka odkryła w ogóle dużo różnych rzeczy i miała wrażenie, że odbyła daleką podróż. W każdym razie nie nudziła się przez cały ten czas, pobawiła się słoniami i zobaczyła szarą myszkę gnieźdzącą się z dziećmi w aksamitnej poduszce.

ROZDZIAŁ VII

KLUCZ DO OGRODU

W dwa dni po tym wszystkim Mary otworzywszy z rana oczy usiadła na łóżku i przywołała Marthę.

- Spójrz na wrzosowisko! Spójrz! - krzyknęła.

Deszcz ustał, a szarą mgłę i obłoki rozwiął w nocy wiatr. Wiatr także ucichł, a ponad wrzosowiskiem jaśniała piękna, ciemnoszafirowa kopuła niebios. Mary nigdy nie myślała, że niebo może być tak szafirowe. W Indiach niebo bywało rozpalone, płomienne; tutejsze miało głęboki, chłodny błękit, niby bezdenne jezioro, po którym tu i ówdzie, wysoko - wysoko, płynęły małe, śnieżnobiałe obłoczki. Rozległy krajobraz wrzosowiska pobłękitniał zrzuciwszy swą zwykłą, ciemną, szaropurpurową, smutną szatę.

- Aha! - rzekła Martha z radością. - Wicher ustał. Zwykle tak bywa o tej porze roku. Jedna noc i już go nie ma, jakby udawał, że nigdy tu nie bywa i ani myśli bywać.

- A ja sądziłam, że w Anglii wciąż pada i niebo jest zawsze pochmurne - odparła Mary.

- Oj, co to, to nie! - rzekła Martha, przysiadając na piętach wśród szczotek i czernidła.

- Yorkshire to najśłoneczniejsze miejsce na świecie, kiedy dzień jest słoneczny. Zaraz mówiłam, że tylko patrzeć, a panienka polubi nasze wrzosa. A niech tylko panienka poczeka, aż zakwitnie jałowiec i żółty żarnowiec, wrzosa się zaczerwienią, a do tego zaczną jeszcze latać motyle i pszczoły brzęczeć, a skowronki śpiewać! To panienka będzie chciała o wschodzie słońca we wrzosa polecieć i cały dzień tam biegać jak Dick!

- A czy będę mogła tam pójść? - spytała Mary smutno, patrząc przez okno na daleki błękit.

Te niebiańsko błękitne barwy stanowiły dla niej widok całkowicie nowy, czyniący wielkie, przedziwne wrażenie.

- Bo ja wiem? - odparła Martha. - Panienka nigdy, odkąd żyje, nie wprawiała się w chodzenie, tak mi się przynajmniej zdaje. Nie uszlaby panienka pięciu mil. Bo do naszej chaty jest stąd pięć mil!

- Chciałabym bardzo zobaczyć wasz dom.

Martha spojrzała na nią ze zdziwieniem, po czym zaczęła znowu czyścić kominek. Pomyślała przy tym, że ta drobna twarzyczka nie wygląda już tak skwaszona jak owego ranka, kiedy Martha zobaczyła Mary po raz pierwszy. Przypominała raczej twarz małej Susan

Ann proszącej o coś.

- Poradzę się matki co do tego - rzekła. - Ona należy do tych ludzi, co zawsze wiedzą, jak się do czego wziąć. Dzisiaj mam wychodne i idę do domu. Ale się cieszę! Pani Medlock bardzo matkę szanuje. Może matka będzie mogła z nią pomówić.

- Lubię twoją matkę - rzekła Mary.

- Wierzę - przyznała Martha nie przerywając czyszczenia.

- Choć nigdy jej nie widziałam - dodała Mary.

- Wiem - odrzekła Martha.

Przysiadła znów na piętach, potarła koniec nosa ręką, jakby zdziwiona, po czym dodała stanowczo:

- Tak, matka jest taka dobra, pracowita, wesoła i porządnicka, że nie można jej nie lubić, czy ją się zna, czy nie. Kiedy mam wychodne i idę do domu, to skaczę z radości, jak tylko wyjdę na wrzosa.

- I Dicka lubię, choć też nie widziałam go nigdy - dodała Mary.

- Ano, powiedziałam panience - odparła Martha z godnością - że nawet ptaki go lubią i króliki, i dzikie owce, i kuce, a nawet lisy. Ciekawa jestem, co by Dick o panience powiedział - dodała, patrząc na Mary w zamyśleniu.

- Nie polubiłby mnie - powiedziała na swój dawny, szorstki sposób Mary. - Nikt mnie nie lubi.

Martha znów się zamyśliła.

- A czy panienka lubi samą siebie? - zapytała takim tonem, jakby rzeczywiście chciała to wiedzieć.

Mary zawahała się chwilę i zastanowiła.

- Tak naprawdę, to nie - odrzekła. - Ale nigdy przedtem o tym nie myślałam.

Martha skrzywiła się zabawnie, jakby coś sobie przypomniwała.

- Matka tak do mnie raz powiedziała. Stała przy balii, a ja byłam zła i zaczęłam wygadywać na ludzi, a ona odwraca się do mnie i mówi: „Co ty sobie myślisz, mała czarownico! Tego nie lubisz, tamtego nie lubisz! A siebie lubisz?”. Roześmiałam się i zaraz się opamiętałam.

Martha w doskonałym humorze pobiegła do domu, kiedy tylko podała Mary śniadanie. Była w siódmym niebie, chociaż miała odbyć pięćmilowy spacer i pomóc matce uprać bieliznę, i upiec chleb na cały tydzień.

Mary pod jej nieobecność czuła się bardziej samotna niż zwykle. Wyszła do ogrodu, jak mogła najwcześniej, i najpierw obiegła ogród z fontanną dziesięć razy dokoła. Liczyła

starannie każde okrażenie, a gdy skończyła, poczuła, że jest w lepszym humorze. Słońce nadawało zupełnie inny wygląd całemu ogrodowi. Wysoka, błękitna kopuła niebios zamykała się i nad Misselthwaite, i nad wrzosowiskiem, a Mary zadarłszy w górę głowę i patrząc w niebo rozmyślała nad tym, jakie by się miało uczucie, gdyby tak można położyć się na jednym z owych śnieżnobiałych obłoczków i popłynąć hen, w dal. Weszła potem do pierwszego ogrodu warzywnego i zastała tam Bena Weatherstaffa z dwoma innymi ogrodnikami. Wydawać by się mogło, że zmiana powietrza i na niego dobrze wpłynęła, bo zagadał do niej pierwszy.

- Wiosna się zbliża - rzekł. - Czuje panienka?

Mary wciągnęła powietrze i zdawało jej się, że poczuła wiosnę.

- Czuję coś miłego, świeżego i wilgotnego - odparła.

- To ta wspaniała, bogata ziemia - oświadczył ogrodnik nie przestając kopać. - Cieszy się, że jest znów gotowa do przyjęcia ziarna. Weseli się, gdy nadchodzi czas siewu. Nudno jej zimą, jak nie ma nic do roboty. W ogrodach kwiatowych zaczną kielkować rośliny. Słonko je ogrzewa. Zobaczy panienka już niedługo, jak z czarnej ziemi wychodzą małe zielone kielki.

- A co z nich będzie? - spytała Mary.

- Krokusy, przebiśniegi, żonkile. Zna je panienka?

- Nie, nie znam. W Indiach po deszczach jest wszystko gorące, wilgotne i zielone - powiedziała Mary. - Zawsze zdawało mi się, że tam wszystko wyrasta w jedną noc.

- Nasze kwiatki nie wyrastają w jedną noc - rzekł Ben Weatherstaff. - Będzie panienka musiała na nie poczekać to podrosną trochę, to znów wypuszczą parę kielków, jednego dnia listek się rozwinie, nazajutrz znów inny. A panienka niech pilnuje.

- Ach, chętnie! - wykrzyknęła Mary.

Niebawem usłyszała cichy lot i domyśliła się od razu, że to rudzik. Śmiały i ożywiony skakał blisko jej nóg, przechylał główkę, patrząc na Mary tak przebiegle, że dziewczynka spytała ogrodnika:

- Jak myślicie, czy on mnie pamięta?

- Czy pamięta? - odrzekł Ben oburzony. - Toć on zna każdą głowę kapusty w ogrodzie, a nie miałby znać ludzi! Przedtem nigdy tu nie widział żadnej dziewczynki, więc poznał panienkę. Przed nim nie da się nic ukryć.

- A czy w tym ogrodzie, gdzie on ma gniazdko, rośliny też już puszczają kielki? - zapytała Mary.

- W jakim znów ogrodzie? - zamruczał stary, przybierając dawny niemiły wygląd.

- No, w tym, gdzie rosną te stare krzewy róż. - Pragnęła tak bardzo dowiedzieć się

czegoś pewniejszego, że nie mogła powstrzymać się od dalszych pytań. - Czy tam wszystkie kwiaty wyginęły, czy też jeszcze niektóre ożywają na wiosnę? I czy w ogóle są tam jeszcze róże?

- Niech panienka jego zapyta - Ben Weatherstaff skinął głową w kierunku rudzika. - On jeden o tym coś wie. Nikt inny nie zajął tam od dziesięciu lat.

„Dziesięć lat to strasznie długo” - myślała Mary. Sama nie miała jeszcze dziesięciu lat.

Odeszła z wolna, pogrążona w myślach. Zaczęła lubić ten ogród tak samo, jak zaczęła lubić rudzika, Dicka i matkę Marthy. Zaczęła lubić i Marthę. Strasznie jakoś dużo było do lubienia, zwłaszcza jeśli się przedtem nikogo i nic lubić nie umiało. O rudziku myślała jak o „osobie”. Poszła na swój ulubiony spacer, wzdłuż długiego, okrytego bluszczem muru, ponad którym dostrzec mogła wierzchołki drzew. Kiedy przechodziła drugi raz wzdłuż muru, przydarzyło się jej coś dziwnego i podniecającego, a wszystko przez tego rudzika. Usłyszała świergot, a spojrzawszy na огоłocony klomb po lewej ręce, ujrzała ptaszka skaczącego i udającego, że wydziobuje coś z ziemi, tak jakby nie chciał, aby pomyślała, że przyleciał tu za nią. Ale Mary wiedziała, że właśnie za nią podążył, i opanowała ją taka radość, a równocześnie zdumienie, że aż zadrżała.

- Więc pamiętasz mnie! Pamiętasz! - zawołała radośnie. Jesteś najśliczniejszy na całym świecie!

Zagadywała, szczebiotała, przypochlebiała się ptaszkowi, a ten skakał, rozkładał ogonek i ćwierkał, jak gdyby z nią rozmawiając. Wydymał drobną pierś w czerwonej, jedwabistej kamizelce, puszył się i był przy tym taki zgrabny i taki śliczny, jakby rzeczywiście chciał jej pokazać, że rudzik to nie byle kto i że można z nim porozumieć się jak z człowiekiem. Mary zapomniała, że kiedykolwiek w życiu była kapryśnicą, gdy ptaszek pozwalał jej coraz bardziej zbliżać się do siebie. Nachylała się więc i rozmawiała z nim, usiłując wydawać z siebie dźwięki podobne do jego świergotu.

Och! I pomyśleć, że ptaszek dał jej tak blisko do siebie podejść! Mary była taka szczęśliwa, że lękała się odetchnąć.

Klomb nie był zupełnie pusty. Zimotrwałe kwiaty przycięto, ale pozostało obramowanie z mniejszych i większych strzyżonych krzewów, a kiedy rudzik skakał wśród nich, Mary spostrzegła, że skoczył na grudkę świeżo poruszonej ziemi i przystanął na niej, by poszukać robaka. Ziemia była najwidoczniej rozkopana przez psa, który polował na kreta i wydrapał głęboką jamę.

Mary nie wiedziała jednak, skąd wzięła się ta jama. Patrząc w nią dostrzegła coś na wpół zagrzebanego w świeżo wyrzuconej ziemi, coś jakby zardzewiałe żelazne lub mosiężne

kółko. Kiedy ptaszek odfrunął na pobliskie drzewo, Mary wyciągnęła rękę i podniosła ów przedmiot. Teraz zobaczyła, że było to coś innego: był to stary klucz, który wyglądał tak, jakby od dawna leżał w ziemi. Mary stała przestraszona i przyglądała się wiszącemu na palcu kluczowi.

„Może to ten klucz, który zagrzebano dziesięć lat temu” - rzekła sobie w duchu. -
Może to klucz od tamtego ogrodu!”

ROZDZIAŁ VIII

RUDZIK WSKAZUJE DROGĘ

Długo patrzyła na klucz. Obracała go na wszystkie strony i rozmyślała. Jak wiemy, Mary nie przywykła prosić starszych o pozwolenie lub radę, więc tylko pomyślała, że jeśli to klucz od zamkniętego ogrodu i uda się jej znaleźć furtkę, to ją otworzy, aby zobaczyć, co się dzieje za murem i co się stało z krzewami róż. Pragnęła tak bardzo ten ogród zobaczyć przede wszystkim dlatego, że od dawna był zamknięty. Wyobrażała sobie, że musi być całkiem różny od innych ogrodów i że przez te dziesięć lat musiał się stać miejscem niezwykłym. Poza tym, jeżeli go polubi, będzie mogła co dzień tam chodzić, zamknąć za sobą furtkę i urządzać sobie zabawy, a nikt nie będzie wiedział, gdzie jest; będą myśleć, że furtka jest nadal zamknięta, klucz zaś wciąż leży w ziemi. Myśl ta niezmiernie się jej spodobała.

Życie, jakie wiodła w domu o stu tajemniczych, zamkniętych pokojach, i brak jakiegokolwiek rozrywki - wszystko to pobudziło do pracy jej leniwy dawniej umysł i poczęło podniecać wyobraźnię. Nie ulega kwestii, że w dużej mierze przyczyniło się do tego świeże, ostre i czyste powietrze wrzosowisk, które zaostriło jej apetyt, a walka z wiatrem nie tylko pobudzała krew do szybszego krążenia, ale wyrwała też z uśpienia umysł. W Indiach było jej zawsze za gorąco, czuła się zbyt znużona i słaba, by pragnąć czegokolwiek, lecz tu zaczynała doznawać chęci działania. Stała się też o wiele mniej kapryśna, choć nie zdawała sobie z tego sprawy.

Włożyła klucz do kieszeni i poczęła chodzić tam i z powrotem. Wyglądało na to, że nikt tu nie przychodził prócz niej, mogła więc iść powolutku i oglądać mur, a raczej okrywający go bluszcz, stanowiący największą przeszkodę w odnalezieniu furtki. Jakkolwiek przyglądała się uważnie, nie mogła nic dostrzec prócz gęsto rosnących błyszczących, ciemnych liści. Poczuła się strasznie rozczerowana. Opanował ją dawny zły humor, gdy tak szła wzdłuż muru, spoglądając tęsknie na rosnące za nim drzewo. To głupie! Być tak blisko, a nie móc dotrzeć do celu! Wracając do domu, zabrała klucz ze sobą. Schowała go do kieszonki i postanowiła nie rozstawać się z nim, aby móc niezwłocznie otworzyć furtkę, kiedy tylko ją znajdzie.

Pani Medlock pozwoliła Marcie przenocować w domu, ale nazajutrz od samego rana Martha była już przy pracy, bardziej zaróżowiona niż zwykle i w złotym humorze.

- Wstałam dzisiaj o czwartej - rzekła. - Jak cudnie było wśród wrzosów, gdy ptaszki

zaczęły się budzić, króliki ganiać, a słońko wschodzić! Nie musiałam całą drogę iść pieszo, bo mi pewien człowiek pozwolił przysiąść na wozie, więc miałam używanie!

Pełna miłych wspomnień z ubiegłego dnia, opowiadała, iż matka tak się uradowała jej odwiedzinami, że pranie i pieczenie chleba odłożyła na inny raz. Martha upiekła tylko dla każdego dziecka ciastko z powidłami.

- Były jeszcze gorące, prosto z pieca, jak dzieci wróciły. W izbie ślicznie pachniało świeżym pieczywem, ogień trząsał wesoło na kominku, dzieciarnia aż piszczała z radości. A Dick powiedział, że nasz dom jest taki śliczny, że król mógłby w nim mieszkać.

Wieczorem wszyscy usiedli przy kominku. Martha z matką łątały podartą odzież i cerowały pończochy, a Martha opowiadała rodzeństwu o dziewczynce, która przybyła z Indii i której tam usługiwali „czarni”, i tak za nią wszystko robili, że teraz sama nie umie pończoszek włożyć na nogi.

- Oni lubią słuchać opowiadań o panience - rzekła Martha. - Wszystko zaraz chcieli wiedzieć i o „czarnych, i o statku, na którym panienka przyплыnęła, i ciągle było im mało.

Mary się zastanowiła.

- Opowiem ci jeszcze wiele różnych rzeczy przed twoim następnym wychodnym, żebyś miała więcej do opowiadania rodzeństwu - rzekła. - Myślę, że radzi będą posłuchać; jak się jeździ na słoniach i wielbłądach, albo o tym, jak się poluje na tygrysy.

- O mój Boże! - wykrzyknęła Martha zachwycona. - A toć oni chyba głowę tracą z radości. Naprawdę panienka opowie? To będzie zupełnie tak, jakby widzieli tego dzikiego zwierza, którego tu raz podobno pokazywali w Yorku.

- Indie nie są w niczym podobne do Yorkshire - rzekła Mary z zastanowieniem. - Nigdy o tym nie pomyślałam. Czy Dick i twoja matka lubią słuchać o mnie?

- Dickowi mało oczy na wierzch nie wylazły - odparła Martha. - Ale matka się martwi, że panienka jest taka samiutka. I mówi: „Dlaczego pan nie dał jej jeszcze guwernantki albo bony?”. A ja mówię: „Nie dał, choć pani Medlock mówi, że da, jak o tym pomyśli, ale ona też mówi, że może i przez trzy lata o tym nie pomyśli”.

- Nie chcę guwernantki - ostro rzuciła Mary.

- Ale matka mówi, że panienka już się powinna uczyć i mieć kogoś, co by na panienkę uważał. „A ty sobie pomyśl - powiada do mnie - jak by ci było w takim ogromnym, pustym domu samej zupełnie, bez matki. Staraj się ją zabawić, jak tylko możesz”. A ja powiedziałam matce, że się będę starała rozweselić panienkę.

Mary popatrzyła na Marthę długo, poważnie.

- Naprawdę bardzo mnie rozweselasz - rzekła. - Lubię, kiedy coś opowiadasz.

Martha wyszła z pokoju i po chwili wróciła, niosąc coś pod fartuchem.

- Przyniosłam panience prezent. I co panienska na to? - rzekła wesoło.

- Prezent? - zawołała Mary zdziwiona, myśląc; jak można z tak biednego domu przynieść komuś prezent:

- Przejeżdżał koło nas kramarz - wyjaśniła Martha - i zatrzymał się przed domem. Miał kociołki, rondle, garnuszki i przeróżne rzeczy, lecz matka nie miała pieniędzy, żeby coś kupić. Ale gdy już odjeżdżał, nasza Lizbeth Ellen powiedziała: „Mamo, on ma skakanki z czerwonymi i niebieskimi rączkami”. I mama zawołała za nim: „Niech no się pan zatrzyma! Po czemu skakanki?”. A on mówi: „Dwa pensy”, więc matka zaczęła szperać w kieszeni i mówi do mnie: „Martho, przyniosłaś wypłatę, bo dobra z ciebie córka; ja mam do kupienia co prawda cztery rzeczy po pensie, ale wolę za dwa pensy kupić skakankę temu dziecku”. No i kupiła, oto ona!

Wyciągnęła spod fartuszka sznur i z dumą go rozwinęła. Była to mocna, cienka linka z rączką w czerwone i niebieskie paski na każdym końcu. Mary nigdy przedtem nie widziała skakanki, patrzyła więc zdziwiona.

- Do czego to służy? - spytała ciekawie.

- Do czego?! - wybuchnęła Martha. - To panienska w Indiach nie widziała skakanki, choć widziała słonie, wielbłądy i tygrysy? Zresztą nic w tym dziwnego, bo pewno „czarni” tego nie znają. A teraz niech panienska patrzy, do czego to służy.

I pobiegłszy na środek pokoju, ujęła sznur w obie ręce i przerzucając go przez głowę, zaczęła skakać, skakać, skakać. Mary przyglądała się jej z osłupieniem, a surowe twarze ze starych portretów też zdawały się na Marthę patrzeć i dziwić, że jakaś wieśniaczka śmie im pod nosem wyprawiać harce. Lecz Martha nawet nie spojrzała na nie. Zainteresowanie i ciekawość malujące się na twarzyczce Mary podniecały ją, więc skakała i liczyła, i skakała, póki nie doliczyła do stu.

- Mogłabym jeszcze dłużej skakać - rzekła przystając. Jakem miała dwanaście lat, tom skakała do pięciuset, ale nie byłam taka tęga jak teraz i miałam więcej wprawy.

Mary wstała z krzesła strasznie podniecona.

- To wygląda wspaniale - rzekła. - Twoja matka jest bardzo dobra. Czy myślisz, że i ja potrafię tak skakać?

- Niech panienska spróbuje - nalegała Martha podając jej skakankę. - Na początku to panienska i do stu nie dociągnie, ale jak się panienska wprawi, to i dalej dojdzie. Tak mówi matka i jeszcze powiada: „Nie ma dla niej nic lepszego od skakanki. To najwłaściwsza zabawa dla dziecka. Niech się bawi i skacze na świeżym powietrzu - to jej wzmocni ręce i

nogi i mięśnie wyrobi”.

Rzeczywiście Mary nie miała zbyt wiele sił, gdy zaczęła skakać, i nie szło jej to zbyt zręcznie, ale tak jej się ta zabawa spodobała, że żal jej było przestać.

- Niech no panienka się ubierze i idzie poskakać na dworze - rzekła Martha. - Matka mi kazała powiedzieć, żeby panienka jak najwięcej na świeżym powietrzu się bawiła, choćby nawet padało: trzeba się ciepło przyodziać i wyjść.

Mary włożyła płaszcz i kapelusz i przerzuciła skakankę przez ramię. Otworzyła drzwi, by wyjść, lecz nagle coś sobie przypomniała i z wolna zawróciła.

- Martho, to były twoje zarobione pieniądze. Te dwa pensy. Dziękuję ci - powiedziała sztywno, bo nie zwykła była za nic dziękować ani zwracać uwagi na to, że ktoś coś dla niej zrobił. - Dziękuję ci - powtórzyła i wyciągnęła rękę, nie wiedząc, jak się zachować.

Martha niezgrabnie potrząsnęła jej dłonią, jakby zupełnie nie wiedziała, jak podaje się rękę. Potem się roześmiała.

- Ech! Panienka to taka mała staruszka - rzekła. - Nasza Lizbeth Ellen to by mnie po prostu uściskała.

Mary zeszywniała jeszcze bardziej.

- Chcesz, bym cię pocałowała?

Martha znowu się zaśmiała.

- Nie to, że chcę - odparła. - Tylko gdyby panienka była inna, to sama by może chciała. Ale mniejsza o to. Proszę teraz pobiegać ze skakanką.

Mary czuła się jakoś nieswojo, gdy wychodziła z pokoju. Ci chłopci tutaj byli zaiste dziwni, a Martha była dla niej zupełną zagadką. Zrazu niezbyt ją lubiła; teraz to się zmieniło.

Skakanka była cudowna! Mary liczyła, skakała, skakała i liczyła, dopóki jej się policzki nie zaczerwieniły, a zajęło ją to tak, jak nic dotąd w życiu. Słońce świeciło i powiewał lekki wietrzyk - nie ostry wichur, lecz łagodny powiew, niosący z sobą zapach świeżo skopanej ziemi. Mary skakała wokoło klombu z fontanną i wzdłuż obydwu ścieżek. Wreszcie doskakała do ogrodu warzywnego i tam ujrzała starego Bena, kopiącego i prowadzącego dysputę z rudzikiem, który dreptał dookoła. W podskokach doszła aż do ogrodnika, który zdjął czapkę i począł jej się przyglądać z zainteresowaniem. Ciekawa była, czy zwróci na nią uwagę, a pragnęła bardzo, by widział, jak skacze.

- Ho, ho! - zawołał. - Jak mi Bóg miły! Może panienka naprawdę jest młoda i ma w żyłach krew dziecka, a nie kwaśne mleko. Jakem Ben Weatherstaff, toż panience mało krew z policzków nie tryśnie. Nie myślałem, że panienka potrafi tak dokazywać.

- Nigdy przedtem nie skakałam - rzekła Mary. - To dopiero początek. Doszłam

zaledwie do dwudziestu razy.

- Tylko śmiało! - odparł Ben. - Panienka i tak dosyć dobrze skacze jak na kogoś, kto tam mieszkał wśród pogan! O! Jak to się przygląda - wskazał na rudzika. - Wczoraj poleciał za panienką i dziś pewno znów poleci. Będzie chciał wymiarkować, co to takiego ta skakanka. Nigdy przecież jeszcze nie widział. - A kiwając głową w stronę ptaszka, dodał: - Ej! Jak się nie poprawisz, to zginiesz przez swoją ciekawość.

Mary obiegnęła ze skakanką wszystkie ogrody i sad, odpoczywając co kilka minut. Wreszcie doszła do swego ulubionego miejsca i postanowiła spróbować, czy potrafi przeskakać wzdłuż całego muru. Wymagało to dużego wysiłku, więc zanim dotarła do połowy, tak zgrzała się i zziąwała, że musiała przystanąć. Nie martwiła się tym zbytnio, bo i tak naliczyła już do trzydziestu. Zatrzymała się z uśmiechem radości, spostrzegłszy rudzika huśtającego się na długiej gałązce bluszczu. Mary skacząc ku niemu czuła w kieszeni coś ciężkiego, co ją uderzało po nodze przy każdym ruchu. Zaśmiała się powtórnie i powiedziała:

- Wczoraj pokazałeś mi, gdzie się znajduje klucz, dzisiaj powinienes mi pokazać furtkę. Ale o niej pewnie sam nic nie wiesz!

Rudzik sfrunął z bujającej się gałązki bluszczu, usiadł na murze, otworzył dziobek i zaśpiewał głośno śliczny tryl, ot, tak sobie, żeby się popisać. Nie ma pod słońcem nic równie uroczego jak rudzik, który się popisuje, a rudziki prawie zawsze to robią.

Mary Lennox nasłuchiwała się wiele o czarach w bajkach swojej Ayah i zawsze później twierdziła, że to, co stało się w tej chwili, były to oczywiste czary.

Po ścieżce wzdłuż muru przeleciał podmuch wiatru, silniejszy niż poprzednie; dość mocny, by zakołysać konarami drzew, a tym bardziej, by rozgarnąć długie, zwieszające się z muru pędy nie przycinanego bluszczu. Mary podeszła do ptaszka bliżej, gdy nagle wiatr odchylił luźne pędy, a dziewczynka szybkim ruchem chwyciła coś, co dojrzała pod bluszczem: okrągłą, zakrytą liśćmi gałąkę, stanowiącą klamkę od furtki.

Mary wsunęła ręce pod liście i poczęła je rozgarniać na boki. Gęsto wiszący bluszcz tworzył jakby luźną, powiewną zasłonę, chociaż część gałęzi pięła się na drzewo i po żelazie. Serce dziewczynki poczęło bić jak młotem, a ręce drżeć ze szczęścia i podniecenia. A rudzik śpiewał i ćwierkał dalej, tak przechylając główkę, jakby i on czuł się podniecony. Mary poczuła pod ręką kwadratowy, żelazny zamek z otworem na klucz.

Był to zamek w furtce zamkniętego od dziesięciu lat ogrodu. Mary wsunęła rękę do kieszeni, wyciągnęła klucz i przekonała się, że pasuje do zamka. Włożyła klucz i, trzymając go oburącz, z trudem przekręciła.

Potem pełną piersią zaczerpnęła powietrza i spojrzała za siebie na długą ścieżkę, czy

nikt nie nadchodzi. Nie było widać żywego ducha; zdawać by się mogło, że nikt tu nigdy nie przychodził. Mary powtórnie zaczerpnęła powietrza, przytrzymała bujającą się zasłonę bluszczu i pchnęła furtkę, która otworzyła się bardzo powoli. Wśliznęła się do środka i zamknęła za sobą furtkę. Potem oparła się o nią plecami i zaczęła rozglądać się dokoła, oddychając pośpiesznie ze szczęścia i radości.

Znajdowała się w tajemniczym ogrodzie!

ROZDZIAŁ IX

NAJDZIWNIEJSZY DOM

Było to tajemniczo wyglądające, najrozkoszniejsze miejsce, jakie sobie można wyobrazić. Wysoki mur, okalający ogród, od wewnątrz pokryty był bezlistnymi gałęziami pnących róż, tak gęstymi, że wprost nie do rozplątania. Mary poznała, że są to krzewy różane, ponieważ dużo widziała ich w Indiach. Ziemia zarosła wokół zrudziałą trawą; wyrastały w niej tu i ówdzie krzewy, które gdyby zakwitły, okazałyby się również różami. Było tam mnóstwo róż sztamowych o tak rozrośniętych koronach, że wyglądały jak drzewa. W ogrodzie rosło jeszcze wiele innych drzew, a jakiś szczególny, czarodziejski urok nadawało mu to, że po wszystkich drzewach pięły się róże, wypuszczając w dół długie, wiotkie warkocze gałązek, chwytające się wzajem tu i ówdzie, czepiające się wyżej rosnących gałęzi i tworzące przedziwne łuki i arkady. Nie było na nich teraz ani listków, ani kwiatów i Mary nie wiedziała, czy żyją, czy też obumarły. Ich cienkie, wiotkie, szarobrunatne gałązki i pędy wyglądały jak mglista zasłona, opadająca na mury i drzewa, a nawet na rudą trawę, po której pełzały ich węzowe skręty. I ta właśnie delikatna gmatwanina, zwieszająca się od drzewa do drzewa, nadawała ogrodowi tajemniczy urok. Mary przypuszczała, że musi on wyglądać zupełnie inaczej niż inne ogrody, których nie zostawiono tak długo w zaniedbaniu. Istotnie, był inny niż wszystkie, jakie w swym życiu widziała.

- Jak tu cicho! - wyszeptała. - Jak cicho!

Stała chwilę i wsłuchiwała się w ciszę. Rudzik, który przysiadł na swoim drzewie, milczał teraz, nie poruszając nawet skrzydełkiem. Siedział znieruchomieły i spoglądał na Mary.

- Nic dziwnego, że tu panuje taka cisza - szepnęła znowu. - Wszak od dziesięciu lat ja pierwsza się tutaj odezwałam.

Oddaliła się od furtki, stąpając tak cicho, jakby lękała się kogoś zbudzić. Cieszyła się, że pod stopami ma trawę, która tłumi jej kroki. Przeszła pod jeden z szarych łuków pomiędzy drzewami, spoglądając na tworzące go gałązki i pędy.

- Ciekawa jestem bardzo, czy wszystkie róże uschły - rzekła. - Czy ten ogród jest całkiem umarły? Bardzo nie chciałabym, żeby tak było.

Stary Ben umiałby ocenić od razu, czy te drzewa żyją, czy nie, lecz Mary widziała wszędzie tylko szare i brunatne gałązki bez śladu najmniejszego choćby pączka.

W każdym razie była w tajemniczym ogrodzie i miała wrażenie, że odkryła jakiś

własny świat.

Słońce rzucało bogate snopy promieni na ten zamknięty w murach świata, a wysokie, błękitne sklepienie niebios wydawało się jeszcze piękniejsze nad tym dziwnym zakątkiem Misselthwaite. Rudzik sfrunął z gałązki i przeskakiwał z krzaczka na krzaczek, posuwając się za Mary. Ćwierkał i miał bardzo zaaferowaną minę, jakby chciał jej coś pokazać. Wszystko dokoła było dziwne i pełne ciszy i sprawiało na Mary wrażenie, że jest o setki mil oddalona od wszystkiego, co żyje, a mimo to nie czuła się tutaj osamotniona. Obawiała się jedynie o róże: czy wszystkie uschły, czy też niektóre z nich ożyją i wypuszczą pąki na wiosnę, gdy je słońce ogrzeje. Nie chciała, żeby ten ogród był martwy. A jeśli to wszystko żyje, będzie cudownie, gdy zakwitną te tysiące róż!

Kiedy tu weszła, skakankę miała przewieszoną przez ramię. Teraz pochodziwszy chwilę, Mary postanowiła poskakać dokoła ogrodu, zatrzymując się od czasu do czasu, gdy będzie miała ochotę przyjrzeć się czemuś. Tu i ówdzie widniały wśród traw ślady ścieżek, a w narożnikach były altany z wiecznie zielonych roślin, z kamiennymi ławeczkami i kamiennymi, omszałymi wazonami.

Kiedy Mary zbliżyła się do jednej z altan, przestała skakać. Niegdyś musiał tu być kwietnik. Dziewczynka dostrzegła, że coś małego, zielonego wychyla się z czarnej ziemi - kilka drobnych bladozielonych kielków. Przypomniała sobie, co mówił Ben Weatherstaff, i przyklękała na ziemi, by przyjrzeć się im lepiej.

- Tak, te kielkujące roślinki to pewnie krokusy albo przebiśniegi, a może żonkile - szeptała radośnie.

Pochyliła się nad nimi i wdychała świeży zapach wilgotnej ziemi, który bardzo lubiła.

- A może jeszcze coś rośnie gdzie indziej - rzekła. - Przejdę przez ogród i popatrzę.

Nie skakała już, lecz posuwała się wolno, z oczyma utkwionymi w ziemię. Patrzyła na dawno zaniedbane rabaty, oglądała trawniki, a obchodząc je dokładnie dokoła, znajdowała coraz więcej drobnych bladozielonych kielków. I znów ją to nadzwyczaj podnieciło i uradowało.

- Nie, ten ogród wcale nie jest martwy - rzekła cicho do siebie. - Jeśli nawet róże zmarniały, żyje tu jeszcze tyle innych roślin.

Wprawdzie Mary nie miała pojęcia o ogrodnictwie, wszakże wydawało się jej, iż gęsta trawa tak zarasta te miejsca, gdzie pokazują się kielki, że biedne roślinki nie będą miały dość przestrzeni, by się rozrastać. Wyszukała zatem ostro zakończony patyk i poczęła nim kopać, a potem wyrwać trawę i chwasty, dopóki nie odsłoniła ziemi wokół roślin.

- Teraz będą mogły oddychać - rzekła, kiedy uporała się z pierwszą partią. - Ale zrobię

jeszcze więcej dla nich! Zrobię wszystko, co tylko będę mogła. Jeśli dziś nie podołam, to jutro znów tutaj przyjdę!

Szła od miejsca do miejsca, kopała i peła, a radość jej była ogromna i ciągnęło ją coś do klombu, a nawet na trawniki w cieniu drzew. Ruch ten tak ją rozgrzał, że zrzuciła płaszcz, potem kapelusz, i nie zdając sobie z tego sprawy, uśmiechała się wciąż do ździebełek traw i do bladozielonych kielków.

Zaaferowany rudzik był bardzo kontent, że nareszcie zaczęto pracę w jego państwie. Często się dziwił Benowi. Przecież tam, gdzie się uprawia ogród, wykopuje się z ziemi mnóstwo dobrych rzeczy do jedzenia. Nareszcie znalazła się jakaś istota, o połowę od Bena mniejsza, która jednak miała dość rozumu, aby przyjść tu do tego ogrodu i od razu zabrać się do roboty.

Mary pracowała w ogrodzie do chwili, kiedy czas było pójść na obiad. Właściwie to nawet trochę zbyt późno sobie o tym przypomniała, a kiedy włożyła płaszcz, kapelusz i podniosła z ziemi skakankę, wierzyć jej się nie chciało, że pracowała dwie, a może i trzy godziny. Czuła się bardzo szczęśliwa przez cały czas; a teraz na oczyszczonych miejscach dostrzec było można setki zielonych kielków, wyglądających dwa razy milej i weselej niż przedtem, gdy tłumiły je chwasty i trawy.

- Wrócę tu po południu - rzekła, rozglądając się po swym nowym królestwie i zwracając się do pełnych tajemniczego czaru drzew i krzewów.

Lekko przebiegła po trawie, rozwarła z trudem furtkę i prześliznęła się pod bluszczami. Miała tak czerwone policzki, takie roześmiane i pełne blasku oczy, a potem jadła obiad z takim apetytem, że Martha zawołała zachwycona:

- Dwa kawałki mięsa i dwie porcje budyniu? To się dopiero matka ucieszy, jak jej powiem, ile jej skakanka dobrego narobiła!

Mary znalazła podczas kopania kijkiem biały korzonek, podobny do cebuli. Włożyła go w to samo miejsce, troskliwie okryła ziemią, a teraz ciekawa była, czy Martha będzie umiała jej powiedzieć, co to jest.

- Martho - spytała - co to są takie białe korzonki, podobne do cebuli?

- To są cebulki kwiatów - wyjaśniła Martha. - Moc kwiatów wiosennych z nich wyrasta. Te najmniejsze - to pierwiosnki i krokusy, a duże - to przebiśniegi i żonkile. A największe to lilie. Jakie one śliczne! Dick nasadził tego dużo w naszym ogródku.

- Czy Dick zna się na kwiatach? - spytała Mary, której przyszła nagle nowa myśl.

- Naszemu Dickowi to i na murze kwiat wyrośnie. Matka mówi, że on potrafi kwiaty z ziemi wyczarować.

- Czy takie cebulki długo żyją? Czy mogą rosnąć latami, kiedy nikt ich nie hoduje? - dociekała Mary z obawą.

- Niektórych kwiatów hodować nie potrzeba, same sobie radzą - odparła Martha. - Dlatego i biedni ludzie mogą je mieć. Jeśli cebulkom nikt nie przeszkadza, to będą wysilać się pod ziemią bez ustanku i coraz to nowe roślinki wypuszczać. W jednym miejscu w parku tutaj są tysiące przebiśniegów. Jak wiosna nadejdzie, nie ma nic ładniejszego w Yorkshire. A nikt nie wie, kto pierwszy je zasadził.

- Chciałabym, żeby już była wiosna - rzekła Mary. - Pragnę zobaczyć wszystko, co rośnie w Anglii.

Skończyła obiad i poszła na swe ulubione miejsce przed kominkiem.

- Chciałabym... chciałabym bardzo mieć łopatkę - rzekła.

- Do czego panience łopatkę? - spytała Martha z uśmiechem. - Czy panienka ma zamiar zabrać się do kopania? Muszę o tym powiedzieć matce.

Mary zamyślona patrzyła w ogień. Będzie musiała być bardzo ostrożna, aby swoje królestwo utrzymać w tajemnicy. Przecież ona tam żadnej szkody nie wyrządzi, to pewne, ale gdyby pan Craven się dowiedział, mógłby kazać zmienić zamek i zamknąć ogród na zawsze. A tego by doprawdy nie zniosła.

- Widzisz, Martho, to takie dziwne, odludne miejsce tutaj - wyrzekła z wolna, jakby ważąc każde słowo. - Dom jest pusty, park pusty i opustoszałe ogrody. A przy tym tyle pozamykanych drzwi. Wiele zajęcia w Indiach nie miałam, ale było wokół mnie więcej ludzi - dużo przechodniów, żołnierzy i Hindusów, czasami grała orkiestra, a Ayah opowiadała mi bajki. Tutaj nie mam się do kogo odezwać prócz ciebie i Bena. Ale ty masz swoją robotę, a Ben Weatherstaff nie zawsze chce ze mną rozmawiać. Więc sobie pomyślałam, że gdybym miała łopatkę, mogłabym sobie gdziekolwiek kopać, tak jak on. a gdyby mi dał nasion, to mogłabym sobie zrobić ogródek.

Twarz Marthy rozpromieniła się.

- No, patrzcie! - zawołała. - Matka zaraz mówiła, że tak być powinno. „Toć tam tyle miejsca wolnego - powiada - niechby dziecku dali kawałek gruntu do zabawy, żeby sobie posiało trochę pietruszki i rzodkiewek. Kopałoby to sobie, pielilo i byłoby całkiem szczęśliwe”. To są słowa matki, widzi panienka.

- Naprawdę? Skąd ona to wszystko wie, Martho? - spytała Mary.

- Matka mówi, że kobieta, która ma dwanaścioro dzieci, to już przez to samo umie więcej niż abc. Dzieci - to dobra lekcja i rachunków, i zmyślności.

- A ile by kosztowała łopatkę, taka nieduża? - spytała Mary.

- Ano - rzekła Martha po namyśle - w Thwaite jest sklep i widziałam tam małe narzędzia ogrodnicze: łopatkę, grabie, motyczkę, wszystko razem za dwa szylingi. I dosyć mocne, porządne, można nimi w ziemi pracować.

- Mam więcej pieniędzy w portmonetce - rzekła Mary. Pani Mornson dała mi pięć szylingów, a pani Medlock też dała mi trochę pieniędzy od pana Cravena.

- To aż tak o panience myślał! - ze zdumieniem wykrzyknęła Martha.

- Pani Medlock powiedziała, że będę dostawała szylinga tygodniowo na moje wydatki, i wypłaca mi go co sobotę. Nie wiedziałam, na co te pieniądze wydać.

- A to ci z panienki bogacz! - zawołała Martha. - Panienka może wszystko na świecie kupić, co tylko zechce. Komorne za nasz domek kosztuje szylinga i trzy pensy na miesiąc, a jak trzeba płacić, to jakby kto ząb trzonowy wyrwał. Ale przyszło mi coś do głowy - rzekła opierając ręce na biodrach.

- Co takiego? - skwapliwie podchwyciła Mary.

- W sklepie w Thwaite sprzedają po pensie paczuszki nasion różnych kwiatów, a Dick wie, które są najładniejsze i jak je trzeba siać. Do Thwaite to on prawie co dzień chodzi, tak sobie, dla zabawy. - Potem dodała nagle: - Potrafi panienka napisać list drukowanymi literami?

- Umiem po prostu pisać - odparła Mary.

Martha potrząsnęła głową.

- Ale Dick umie czytać tylko drukowane. Jeśli panienka potrafi pisać drukowanymi, to będzie można Dicka poprosić, żeby poszedł kupić i narzędzia, i nasiona.

- Dobra z ciebie dziewczyna! - zawołała Mary. - Doprawdy, nie myślałam, że jesteś taka dobra. Jak się postaram, to może potrafię napisać drukowanymi literami. Trzeba poprosić panią Medlock o pióro, atrament i trochę papieru.

- Mam wszystko - rzekła Martha. - Kupiłam sobie, żeby w niedzielę do matki liścik wydrukować. Pójdę przynieść co trzeba.

Wybiegła z pokoju, a Mary ze szczerą radością zacierała ręce.

- Jak będę miała łopatkę - szeptała do siebie - wykopię wszystkie chwasty. Ziemia będzie potem śliczna, pulchna. A jeśli w dodatku zdobędę nasiona i wyrosną mi kwiatki, to ogród już nie będzie martwy.

Tego popołudnia Mary nie wyszła już powtórnie do ogrodu, bo Martha przyniosła wprawdzie zaraz papier, pióro i atrament, ale musiała jeszcze sprzątnąć ze stołu i znieść wszystko na dół do kuchni, gdzie znów pani Medlock kazała jej coś załatwić, więc Mary wypadło czekać na jej powrót. Potem było sporo roboty z listem do Dicka. Mary umiała

niewiele, bo guwernantki jej nie lubiły i żadna nie zostawała długo. Z ortografią stała więc kiepsko, ale mimo to zdołała napisać list drukowanymi literami. Oto, co jej Martha podyktowała:

Kochany Dicku!

Mam nadzieję, że mój list zastanie cię w dobrym zdrowiu, w jakim i ja jestem. Panna Mary ma mnóstwo pieniędzy i chce, żebyś poszedł do Thwaite i kupił nasion kwiatów i narzędzia ogrodnicze, żeby mogła sobie zrobić klomb. Wybierz kwiatki najładniejsze i najłatwiejsze do hodowania, bo ona nigdy dotąd w ogrodzie nie sadziła i przedtem mieszkała w Indiach, a to zupełnie co innego. Uściskaj matkę i wszystkie dzieci. Panna Mary opowie mi jeszcze wiele różności, więc jak przyjdę na przyszły raz, to wam opowiem o słoniach i wielbłądach, i o takich panach, co zabijają lwy i tygrysy. Kochająca siostra

Martha Phoebe Sowerby.

- No, dobrze. A teraz niech panienka włoży pieniądze do koperty, a ja oddam to chłopcu od rzeźnika, żeby dał Dickowi. To są wielcy przyjaciele.

- A w jaki sposób dostanę te rzeczy, kiedy je Dick kupi? - spytała Mary.

- On je panience sam przyniesie. Chętnie tu zajdzie.

- O mój Boże! - zawołała Mary. - Więc go zobaczę. nigdy nie myślałam, że będę mogła poznać Dicka!

- Więc panienka chciałaby go poznać? - spytała Martha z rozradowaną miną.

- Chciałabym. Nigdy nie znałam chłopca, którego lubią młode liski i ptaki. Bardzo pragnę go zobaczyć.

Martha zrobiła ruch, jakby sobie coś przypominając.

- No i byłabym zapomniała, a miała to być pierwsza rzecz, jaką panience dziś rano powiem! Mówiłam matce, a ona powiedziała, że sama z panią Medlock pomówi.

- Co masz na myśli... - zaczęła Mary.

- To, o czym mówiłam we wtorek: czy pozwoli panience pojechać do nas na świeże ciasto pieczenia matki i na szklankę mleka.

Doprawdy, same miłe rzeczy działy się tego dnia. Co to za przyjemność będzie jechać przez wrzosowiska w dzień, kiedy niebo jest tak cudownie błękitne! Pomyśleć tylko, że znajdzie się w chacie, gdzie jest aż dwanaścioro dzieci!

- Czy twoja matka sądzi, że pani Medlock pozwoli mi pojechać? - spytała Mary z obawą.

- O, tak! Matka myśli, że pozwoli. Pani Medlock wie, że moja matka to bardzo porządna kobieta i czysto utrzymuje nasz dom.

- Pojadę i zobaczę twoją matkę i Dicka - rzekła Mary, rozważając wszystko i ciesząc się tą myślą. - Ona chyba jest zupełnie inna niż matki w Indiach.

Praca w ogrodzie i popołudniowe wzruszenia wprowadziły Mary w stan błędnego spokoju i zadumy. Martha siedziała przy niej podczas kolacji, lecz obie pogrążone były w słodkiej ciszy i rozmawiały niewiele.

Kiedy Martha już wychodziła, Mary nagle zapytała:

- Martho, czy tę dziewczynę z kuchni znów dziś zęby bołą?

Martha drgnęła.

- Czemu panienka o to pyta?

- Bo dłużyło mi się, jak czekałam na ciebie, więc otworzyłam drzwi i wyszłam na korytarz zobaczyć, czy nie idziesz. I wtedy znów usłyszałam ten daleki płacz, jak wtedy w nocy. Dzisiaj nie ma wiatru, widzisz zatem, że i wtedy to nie był wiatr.

Martha była niespokojna.

- Nie powinna panienka chodzić po korytarzach i nasłuchiwać. Pan Craven by się tak strasznie rozgniewał, że Bóg wie, co by zrobił.

- Przecież ja wcale nie nasłuchiwałam - rzekła Mary. - Czekałam na ciebie, ten płacz usłyszałam już po raz trzeci.

- Ojej! Pani Medlock na mnie dzwoni! - zawołała Martha i wybiegła z pokoju jak strzała.

- Najdziwniejszy dom pod słońcem - rzekła Mary sennie, opierając głowę na oparciu głębokiego fotela, w którym siedziała.

Świeże powietrze, kopanie ziemi i skakanka tak ją zmogły, że niebawem zasnęła.

ROZDZIAŁ X

DICK

Już od tygodnia słońce przygrzewało w „tajemniczym ogrodzie”, jak nazywała go Mary w myślach. Ta nazwa była jej miła, lecz stokroć miłsza była świadomość, że kiedy przekracza stary, piękny mur, nikt nie wie, gdzie ona jest, i nikt nie będzie mógł jej odnaleźć. Zdawało jej się wtedy, że jest daleko od świata, w jakiejś zaczarowanej krainie. W nielicznych książkach, które przeczytała i lubiła, były baśnie o różnych zaczarowanych miejscach, gdzie ludzie zasypiali czasem i na sto lat. Ale to z kolei wydawało się Mary nudne i głupie. Co do niej, to wcale nie miała ochoty zasypiać; odwrotnie: z każdym dniem spędzonym w Misselthwaite budziła się do życia. Polubiła przebywanie na świeżym powietrzu; już nie była wrogiem wiatru - sprawiał jej nawet przyjemność. Szybciej i dłużej mogła teraz biegać, a skakać przez skakankę umiała już sto razy bez przerwy.

Cebulki w tajemniczym ogrodzie bardzo się musiały dziwić: wypielono wokół nich tyle miejsca, że miały teraz gdzie się rozrastać i skąd czerpać powietrze, a panna Mary wcale nie wiedziała, jak intensywnie pracują pod ciemną ziemią. Słońce grzało je, a wiosenny deszczyk zraszał obficie, toteż zaczęły żyć i rozwijać się.

Mary była dość niezwykłą, stanowczą osobką, a obecnie miała na głowie dużo różnych spraw, które całkowicie ją pochłaniały. Pracowała, kopła ziemię, wyrwała wytrwale chwasty i nie tylko jej to nie nużyło, lecz odwrotnie, pracowała z coraz większym zapalem. Było to dla niej jakby jakąś porywającą zabawą. Znalazła jeszcze bardzo dużo zielonych kielków, więcej, niż się mogła spodziewać. Zdawało się, że wschodzą wszędzie, każdego dnia znajdowała nowe, tak drobne, że ledwo widać je było nad ziemią. Było ich tak wiele, że przypomniały jej powiedzenie Marthy o tysiącach przebiśniegów i o cebulkach, które się same rozmnażają i wyrastają. Te tutaj pozostawiono samym sobie przez dziesięć lat, a kto wie, czy i one nie rozmnażały się w tysiące jak owe przebiśniegi. Ciekawa była, jak długo trzeba będzie czekać, zanim stanie się oczywiste, że są to kwiaty. Chwilami przestawała kopać i patrzyła na ogród, starając się wyobrazić sobie, jak będzie wyglądał okryty tysiącem rozkwitłego kwiecia.

W czasie tego słonecznego tygodnia Mary zaprzyjaźniła się ze starym ogrodnikiem. Kilka razy niespodziewanie stanęła przy nim, jakby spod ziemi wyrosła. A naprawdę było tak, że dziewczynka lękając się, by nie zabrał swojej łopaty i grabi i nie odszedł - skradała się po cichu ku niemu. Lecz Ben Weatherstaff traktował ją teraz inaczej. Być może w głębi duszy

pochlebiało mu to nawet, że dziewczynka szukała jego towarzystwa. Przy tym i Mary była teraz o wiele grzeczniejsza.

- Panienka to zupełnie jak ten rudzik - rzekł do niej pewnego razu, gdy ją ujrzał obok siebie. - Z nim to też tak: nie wiem nigdy, kiedy go zobaczę i skąd przyleci.

- My jesteśmy z nim teraz w wielkiej przyjaźni - rzekła Mary.

- Tak, to do niego podobne - sapał Ben Weatherstaff. - Zawracać głowę paniom, i to tylko przez próżność i figle. Wszystko by zrobił, aby się pokazać i pochwalić piórkami. A puszy się to jak paw.

Ben rzadko kiedy bywał rozmowny; czasami odpowiadał na pytania Mary tylko mruknięciem, lecz tego ranka rozgadał się na dobre. Przystanął, oparł nogę na szpadlu i począł przyglądać się dziewczynce.

- Od jak dawna panienska tu jest? - zaczął.

- Zdaje mi się, że będzie już miesiąc - odparła.

- Panienska przynosi zaszczyt Misselthwaite - rzekł. Żdziebelko panienska przytyła i już nie jest taka żółta. Jak tu panienska pierwszy raz przyszła do ogrodu, to tak wyglądała akurat jak niewypierzona wrona. I takem sobie pomyślał, że takiego szpetnego i niemiłego dziecka w życiu nie widziałem.

Mary nie była próżna i o swojej urodzie nie miała wielkiego wyobrażenia, więc też nie poczuła się dotknięta.

- O, tak, wiem, że przytyłam - rzekła. - Pończochy są teraz za ciasne, a przedtem się fałdowały! O, o, Benie! Przyfrunął!

Był to istotnie rudzik, ładniejszy dziś niż zwykle. Jego czerwona kamizelka błyszczała jak atlas. Rozwijał skrzydełka i ogonek, przechylał główkę i skakał dookoła, jakby chcąc zmusić Bena do zachwyty. Lecz Ben podkpiwał:

- A! Jesteś tu! Raczysz sobie o mnie przypomnieć, jak nie. masz komu głowy zawracać. Pewnieś chodził w konkury przez te dwa tygodnie. Wiem dobrze, jak to jest. Zalecasz się do jakiejś młodej rudzikówny i łiesz jej niestworzone rzeczy, żeś najładniejszy z rudzików w Misselthwaite i okolicy i że pobijesz wszystkich rywali - he?

- Ach, Boże! Spójrzcie tylko na niego - zawołała Mary.

Rudzik był najwidoczniej w bajecznym wprost humorze. Przyskakiwał coraz bliżej i przymilnie zaglądał w oczy ogrodnikowi. Po czym przeleciał na najbliższy krzak agrestu, przechylił główkę i zaśpiewał jakby wprost do Bena.

- Ehe! Myślisz, że tym wszystko naprawisz - rzekł Ben marszcząc twarz. Mary już się na tym poznała, że robi on to w taki sposób, żeby wyglądać jak najnieprzyjemniej. - Myślisz,

że ci się nikt oprzeć nie zdoła, prawda?

Rudzik rozwinął skrzydełka, Mary zaś ledwo oczom własnym uwierzyła: pofrunął bowiem wprost na rękojeść szpadla i usiadł.

Twarz starego z wolna zaczęła przybierać całkiem nowy wyraz. Ben stał cicho, jakby się lękał odetchnąć głośniejsze i jakby postanowił za nic w świecie nie poruszyć się, dopóki ptaszek nie odfrunie.

- No, teraz toś mnie zupełnie ujarzmił - począł mówić szeptem i tak ciepło, jak nie on.

- Oj, umiesz chwycić za serce starego! To chyba czary! Jaki z ciebie mądrała!

I stał tak nieporuszony, wstrzymując oddech, dopóki rudzik znów nie rozwinął skrzydełek i nie odfrunął. Ben długo patrzył na trzonek szpadla, jakby był zaczarowany, po czym jął kopać w milczeniu.

Stary ogrodnik nie przestawał się uśmiechać, więc Mary nie lękała się do niego zagadać.

- Czy macie własny ogród? - spytała.

- Nie, bo nie jestem żonaty i mieszkam przy bramie z Martinem.

- A gdybyście mieli, to czego byście najwięcej sadzili? - pytała dalej Mary.

- Kapustę, kartofle i cebulę.

- No tak, ale gdybyście urządzali sobie ogród kwiatowy, to co byście sadzili?

- Różne słodko pachnące kwiatki, ale przede wszystkim róże.

Twarz Mary pojaśniała.

- Więc lubicie róże? - rzekła.

Ben Weatherstaff wyrwał chwast, odrzucił go, po czym odparł:

- Ano lubię, i to bardzo. A nauczyła mnie tego pewna młoda pani, u której byłem ogrodnikiem. Miała moc róż w swoim ogrodzie, a kochała je tak, jakby to były dzieci albo ptaki. Nieraz widziałem, jak się pochylała i całowała je. Znów wyrwał chwast i zamyślił się. - To było wiele lat temu.

- A gdzie teraz jest ta pani? - spytała Mary, ogromnie zaciekawiona.

- W niebie - odrzekł, wbijając silnie szpadel w ziemię - jeśli wierzyć w to, co mówi proboszcz.

- A co się stało z różami? - spytała Mary z nie słabnącym zainteresowaniem.

- Pozostawiono je samym sobie.

Mary była coraz bardziej podniecona.

- Więc pomarły? Czy róże giną, gdy się je pozostawia samym sobie? - zaryzykowała pytanie.

- Nauczyłem się je kochać, bo ona je kochała - rzekł Ben Weatherstaff niechętnie. - Raz, dwa razy na rok idę coś koło nich poprawić, poobcinać suszki, obkopać korzenie... Dziko teraz rosną, ale były posadzone na bogatej ziemi, więc wiele z nich przetrwało.

- A jeśli nie mają listków i są szarobrunatne i suche, to jak można poznać, czy są żywe, czy uschnięte? - dopytywała Mary.

- Trzeba poczekać, aż wiosna przyjdzie, aż je deszcz zrosi i słońko przygrzeje zaraz będzie wiadomo.

- Jakim sposobem? - zawołała z zapalem Mary zapominając o ostrożności.

- Trzeba popatrzeć na pędy i gałązki. Kiedy są na nich tu i ówdzie takie brunatne zgrubienia, wtedy niech panienka uważa, co się stanie po deszczu. - Umilkł nagle i spojrzał w rozjaśnioną twarz dziewczynki. - Co panienkę tak ni z tego, ni z owego zaczęły obchodzić róże?

Mary poczuła, że się rumieni, i lękała się odpowiedzieć.

- Ja... ja się chciałam tylko tak pobawić, że niby to mam własny ogród - wyjąkała. - Ja nie mam tu nic do roboty. Nie mam nic i nikogo, z kim mogłabym się pobawić.

- Tak - wolno odparł Ben Weatherstaff patrząc na nią - to prawda. Nic panienka nie ma.

Powiedział to jakoś tak dziwnie, jakby mu się jej trochę zrobiło żal. Ona sama nigdy siebie nie żałowała: bywała tylko czasem znudzona i zła, bo nie lubiła nikogo i nic. Lecz teraz świat począł się jak gdyby dla niej zmieniać i stawać się piękniejszy. Jeśli nikt się nie dowie o jej odkryciu, będzie mogła w tajemniczym ogrodzie przebywać do woli.

Pozostała z ogrodnikiem jeszcze przez czas pewien, zasypując go lawiną pytań. Odpowiadał na wszystkie w swój dziwny, mrukliwy sposób, lecz nie był nachmurzony, nie zabierał szpadla i nie odchodził. Gdy Mary już zamierzała się oddalić, powiedział jeszcze coś o różach i to jej przypomniało owe zaniedbane, które tak lubił.

- A czy teraz zagładcie czasem do tamtych róż? - zagadnęła.

- Tego roku jeszcze nie byłem, reumatyzm wlaź mi zanadto w stawy.

Powiedział to mrukliwie, a potem nagle nie wiedzieć czemu jakby rozgniewał się na nią.

- Niech no panienka posłucha! - rzekł ostro. - Proszę mnie tak ciągle nie wypytywać. Jeszczem takiej ciekawskiej w życiu nie widział. Niech panienka idzie się bawić. Dosyć gadaniny na dzisiaj.

Z jego stanowczego tonu Mary się zorientowała, że na nic by się zdało stać przy nim dłużej. Oddaliła się więc, skacząc wzdłuż zewnętrznego muru i rozmyślając o ogrodniku.

Mrukliwy Ben Weatherstaff był jeszcze jednym człowiekiem, którego polubiła. Tak, lubiła go, wciągała w rozmowy. W dodatku zaczęła wierzyć, że on wie wszystko, ale to wszystko o życiu kwiatów.

W ogrodzie była szeroka ścieżka, ogrodzona laurowym żywopłotem, okalająca tajemniczy ogród i kończąca się przy bramie, która wychodziła na las stanowiący część ogromnego parku Misselthwaite. Mary postanowiła pobiec tą ścieżką i zajrzeć do lasu. Może uda się jej zobaczyć tam króliki. Bawiła się wybornie skakanką, a gdy doszła do bramy, otworzyła ją i ruszyła dalej, posłyszała bowiem dziwny, cichy dźwięk i chciała zbadać, skąd pochodzi.

To było niezwykle! Mary wstrzymała oddech i przystanęła, by popatrzeć. Pod drzewem, wsparty o pień plecami, siedział chłopiec i grał na fujarce. Chłopiec miał zabawną, miłą powierzchowność, wyglądał na dwanaście lat. Był schludnie ubrany, miał zadarty nos i policzki czerwone jak dwa kwiaty maku. Mary jeszcze nigdy nie widziała takich okrągłych i tak bardzo niebieskich oczu. Na drzewie, o którego pień był oparty, siedziała wiewiórka patrząc na chłopca, zza krzaków zaś wyciągał szyję i nasłuchiwał bażant, a tuż przy nim siedziały dwa króliki, ruszając różowymi pyszczkami - wszystkie te zwierzęta jakby się coraz bardziej przysuwały, by słuchać łagodnych tonów fujarki.

Ujrzawszy Mary, chłopiec wyciągnął rękę i odezwał się głosem tak cichym jak jego granie.

- Nie trzeba się ruszać, bo pouciekają.

Mary stała nieruchomo. Chłopiec przestał grać i zaczął podnosić się z ziemi. Robił to tak wolno, iż ledwie można było spostrzec, że się rusza, lecz wreszcie wyprostował się, a wtedy wiewiórka drapnęła na gałęzie, bażant skrył się w krzakach, a króliki uciekły w podskokach, choć wcale nie zdawały się przestraszone.

- Jestem Dick - rzekł chłopiec. - Wiem, że to panna Mary.

Mary uprzytomniła sobie teraz, iż od razu wiedziała, że to musi być Dick, nikt inny. Któż inny bowiem potrafiłby tak czarować króliki i bażanty, jak Hindusi czarują węże? Chłopiec miał szerokie, czerwone, wyraźnie zarysowane usta, a szeroki uśmiech opromieniał mu całą twarz.

- Wstawiałem powolutku - tłumaczył - bo gdybym nagle się zerwał, toby się przestraszyły. Człowiek musi delikatnie się ruszać i cicho mówić, kiedy ma do czynienia ze zwierzętami.

Mówił do niej tak, jakby się znali od dawna. Mary pojęcia nie miała, jacy są chłopcy, więc odpowiadała trochę sztywno i czuła się lekko onieśmielona.

- Czy otrzymałeś list Marthy? - spytała.

Skinął twierdząco rudą, kędzierzawą czupryną.

- Dlatego tu przyszedłem.

Schylił się, by podnieść coś z ziemi.

- Przyniosłem narzędzia: łopatkę, grabie i motykę. Mocne i dobre! Jest też szufelka. A kiedy kupowałem nasiona, kupcowa dodała mi paczuszkę nasion białego maku i niebieskiej ostróżki.

- Pokażesz mi nasiona? - spytała Mary.

Podobał jej się sposób mówienia Dicka, prędko i zrozumiały. Miała uczucie, że ją lubi, ani przez chwilę nie wątpiła, że i ona go polubi, choć był tylko zwykłym chłopcem z wrzosowiska, w połataney odzieży, z zabawną miną i rudą czupryną. Mary podszedłszy bliżej, poczuła, że bije od niego zapach wrzosów, trawy i liści. Podobało jej się to bardzo, a gdy spojrzała w jego zabawną twarz o czerwonych policzkach, zadartym nosku i okrągłych oczach, zapomniała zupełnie o swej nieśmiałości.

- Usiądźmy sobie tu na pniu i obejrzymy wszystko.

Usiedli i Dick wyciągnął z kieszeni niezgrabne zawiniątko w brązowym papierze. Rozwinął sznurek, a wewnątrz ukazały się paczuszki z obrazkami kwiatów na każdej.

- Jest tu dużo rezedy i maków - rzekł. - Rezeda pachnie najpiękniej ze wszystkich kwiatów, a rośnie wszędzie, gdziekolwiek ją się zasieje. Tak samo maki. Wschodzą i kwitną, tylko na nie palcem skinąć.

Ucichł i szybko odwrócił głowę, a twarz mu się rozjaśniła.

- Skąd ten rudzik woła? - spytał nadsluchując.

Świergot dolatywał z pokrytego czerwonymi jagodami ostrokrzewu. Mary domyśliła się zaraz, czyj to głos.

- Czy on nas woła? - spytała.

- Tak - rzekł Dick, jak gdyby to była rzecz całkiem naturalna - woła kogoś, kogo lubi. To tak samo, jakby mówił: „Jestem tutaj. Proszę na mnie spojrzeć. Mam ochotę pogawędzić”. O, siedzi tam na krzaku! Czyj on może być?

- Bena Weatherstaffa, ale zdaje mi się, że i mnie już trochę zna - odrzekła Mary.

- Oj! Dobrze panienkę zna - rzekł Dick przyciszonym głosem. - I lubi panienkę. On mi zaraz wszystko opowie.

Przysunął się w stronę krzaka tym łagodnym ruchem, który Mary zauważyła już przedtem, i wydał dźwięk całkiem podobny do ćwierkania rudzika. Ptaszek słuchał kilka sekund uważnie, po czym zaćwierkał, jakby odpowiadał na pytanie.

- To wielki przyjaciel panienki - uśmiechnął się Dick.

- Tak myślisz? - skwapliwie zapytała Mary, pragnąc usłyszeć potwierdzenie. - Myślisz, że on mnie naprawdę lubi?

- Nie przyleciałby tak blisko, gdyby nie lubił - odparł Dick. - Ptaki niełatwo zaprzyjaźniają się, a taki rudzik to potrafi wystrychnąć na dudka gorzej niż człowiek. Niech panienka popatrzy, jak się teraz wdzięczy, jakby chciał powiedzieć: „Czy panienka nie widzi, jaki ze mnie ładny ptaszek?”.

I zdawało się, że naprawdę tak jest. Rudzik mizdrzył się skacząc po gałązkach, ćwierkał i przechylał główkę.

- Czy rozumiesz mowę ptaków? - spytała Mary.

Twarz Dicka rozjaśniła się. Chłopiec roześmiał się szeroko i potarł ręką czuprynę.

- Zdaje mi się, że rozumiem, i one też myślą, że rozumiem - odparł. - Tak dawno z nimi w tych wrzosach przebywam. Napatrzyłem się, jak się z jajka wykluwały, jak się opierały, uczyły latać i zaczynały śpiewać. Czasem mi się zdaje, że i ja jestem królikiem albo wiewiórką, albo jakimś żukiem. A może i ptakiem albo lisem, bo ja wiem?

Śmiejąc się wrócił do swego pnia i począł znów mówić o nasionach. Powiedział Mary, jak wyglądają kwiaty, gdy zakwitną, jak je trzeba sadzić, doglądać, podlewać.

- Wie panienka co? - rzekł nagle, odwracając się do niej patrząc jej prosto w oczy. - Ja tam je dla panienki zasieję. Gdzie jest ten ogródek.

Mary nerwowo zacisnęła ręce. Nie wiedziała, co odpowiedzieć, więc długą chwilę milczała. Na to nie była przygotowana. Zrobiło jej się jakoś nieswojo i poczuła, że mieni się na twarzy.

- Przecież dostała panienka ogródek, prawda? - rzekł Dick.

Mary rumieniła się i bladła na przemian. Dick to dostrzegł, a ponieważ mu nie odpowiadała, zmieszał się.

- Nie dali panience ogródka? - spytał. - Ani żadnego skrawka ziemi?

Mary silniej splotła ręce i zwróciła ku niemu oczy.

- Nie mam pojęcia, jacy są chłopcy - rzekła z wolna. - Czy potrafiłbyś zachować tajemnicę, gdybym ci ją powierzyła? To wielka tajemnica. Nie wiem, co bym zrobiła, gdyby się o niej ktoś dowiedział. Chyba umarłabym! - powiedziała z przejęciem.

Dick zmieszał się jeszcze bardziej niż przedtem i zaczął tarmosić czuprynę, lecz odparł wesoło:

- Ja zawsze dochowuję tajemnicy. Żebym nie umiał przed chłopcami utrzymać sekretu o młodych liskach czy gniazdach ptasich, toby na wrzosowisku nic się nie uchowało. Umiem

sekretem utrzymać!

Nie zdając sobie sprawy z tego, co robi, Mary chwyciła go za rękaw.

- Ukradłam ten ogród - rzekła prędko. - On nie jest wcale mój. On jest niczyj. Nikt go nie chce, nikt o niego nie dba, nikt do niego nigdy nie wchodzi. Może już wszystko w nim wymarło - nie wiem!

Ognie wystąpiły jej na twarz. Była w tej chwili zła jak dawniej.

- Wszystko mi jedno! Wszystko mi jedno! Nikt nie ma prawa mi go odebrać, bo ja jedna o niego dbam. Pozwolili mu zmarnieć i zamknęli na klucz - kończyła namiętnie.

Zasłoniła twarz rękami i wybuchnęła głośnym płaczem. Biedna Mary!

Dickowi zaokrągliły się oczy z ciekawości.

- Ehe - e - e! - rzekł przeciągle, co oznaczało i zdziwienie, i sympatię.

- Nie ma tu co robić - ciągnęła dalej Mary. - Nic nie mam własnego. Sama go sobie znalazłam i sama do niego weszłam. Jestem tam jak ten rudzik, a jemu nie zabraliby ogrodu.

- A gdzie jest ten ogród? - spytał Dick przyciszonym głosem.

Mary zerwała się na równe nogi. Zdawała sobie sprawę, że w tej chwili jest zła, kapryśna, uparta, ale było jej to obojętne. Zrobiła się wyniosła i rozkazująca jak ongiś w Indiach, a równocześnie pełna zapału i... troski.

- Chodź ze mną, to ci pokażę - rzekła.

Poprowadziła go wokoło obsadzoną wawrzynem ścieżką do miejsca, gdzie rósł gęsty bluszcz. Dick szedł za nią z dziwnym, współczującym wyrazem twarzy. Czuł się tak, jakby go prowadzono do gniazdka jakiegoś nieznanego ptaka i jakby musiał stąpać cichutko na palcach. Gdy Mary podeszła do muru i uniosła zwieszający się bluszcz, zatrzymał się nagle. Zobaczył furtkę. Mary popchnęła ją, furtka otwarła się z wolna i oboje weszli do ogrodu. Wtedy Mary przystanęła i wskazała ręką dookoła.

- Oto - rzekła - mój tajemniczy ogród. Ja jedna na całym świecie pragnę utrzymać go przy życiu.

Dick rozglądał się i rozglądał bez końca.

- Hej! - wyszeptał. - Jakie to dziwne, śliczne miejsce. Wygląda zupełnie jak jakaś ludzka istota, która zapadła w sen.

ROZDZIAŁ XI

GNIAZDKO MYSIKRÓLIKA

Dick przez kilka minut stał rozglądając się dokoła, Mary zaś obserwowała wyraz jego twarzy; potem zaczął ostrożnie posuwać się naprzód, może jeszcze ostrożniej i ciszej niż Mary, gdy weszła tu po raz pierwszy. Oczy jego zdawały się wszystko dostrzegać: i szare drzewa z szarymi welonami wijących się po nich pnączy, i festony z gałęzi, i gąszcz splątanych pędów na murze i w trawie, i zarośnięte altany z kamiennymi ławkami i wielkimi, kamiennymi wazonami wewnątrz.

- Nigdy nie myślałem, że zobaczę to miejsce kiedykolwiek - rzekł wreszcie szeptem.

- A słyszałeś już o nim? - spytała Mary.

Mówiła głośno. Dick dał jej znak ręką.

- Musimy cicho rozmawiać - powiedział - bo nas jeszcze kto może usłyszeć i wykryć.

- O mój Boże! Zupełnie zapomniałam! - rzekła Mary z lękiem, kładąc rękę na ustach. - Czy naprawdę wiedziałeś już o tym ogrodzie? - spytała powtórnie, gdy się nieco uspokoiła.

Dick kiwnął głową potakująco.

- Martha mi mówiła, że jest tu ogród, do którego nigdy nikt nie wchodzi - odparł. - Zawsześmy byli ciekawi, jak on wygląda.

Mówiąc to zatrzymał się, popatrzył dookoła, potem w górę, na cudowny, szarawy gąszcz nad głową, a z jego okrągłych oczu wyczierała radość.

- Och! Ile tu gniazd będzie na wiosnę! - rzekł. - Nie ma chyba w całej Anglii drugiego tak dobrego miejsca do budowania gniazd. Nikt tu nie chodzi, a jaki gąszcz drzew i róż! Można zakładać gniazda i zakładać. Dziwię się, że wszystkie ptaszki z wrzosowiska się nie zlecą, by tu budować swoje gniazdko.

Mary, nie zdając sobie z tego sprawy, uchwyciła go za rękaw.

- Czy te róże zakwitną? - wyszeptała. - Możesz mi powiedzieć? Bo ja myślę, że one chyba wszystkie już uschły.

- O nie! Nie wszystkie! Niech no panienka spojrzy!

Podszedł do najbliższego, bardzo starego drzewa, którego kora pokryta była grubą warstwą szarego mchu, a gałęzie poobwieszane splątanymi pędami róż. Wyjął z kieszeni duży nóż i rozciął jeden z pędów.

- Mnóstwo tu suchych gałązek, które trzeba by poobcinać - rzekł. - I duża część drzew też jest martwa, ale w przeszłym roku puściły jeszcze świeże pędy. O, ten na przykład jest

świeży - to mówiąc wskazał na brunatnozieloną odrośl różniącą się kolorem od suchych, ciemnoszarych gałązek.

Mary dotknęła gałązki z pewnym rodzajem czci i zapachu zarazem.

- Ta tutaj? - rzekła. - Żywa? Całkiem?

Dick pokazał zęby w szerokim uśmiechu.

- Taka żywa jak panienka albo jak ja - odparł.

- Co za szczęście! - wyszeptała. - Tak bym chciała, żeby wszystkie drzewa były tu żywe. Obejdźmy najlepiej ogród dokoła i zobaczymy, ile jest uschniętych, a ile żywych.

Dziewczynka drżała z zapachu, Dick był nie mniej przejęty. Szli od drzewa do drzewa, od krzewu do krzewu. Dick nie wypuszczał noża z ręki i zwracał uwagę na różne zjawiska, które jej się wydawały cudem.

- Rosną te róże wprawdzie dziko - tłumaczył - lecz silniejsze z nich jednak się ostały. Słabsze poschły, ale za to tamte rozrastają się i rozrastają, i puszczają młode pędy, aż dziw! Niech panienka spojrzy! - i przygiął grubą, szarą, pozornie uschniętą gałąź. - Mógłby ktoś pomyśleć, że to drzewo suche aż do korzenia, ale ja temu nie wierzę. Przytnę przy ziemi, to zobaczymy.

Przyklęknął i nadciął bezlistną gałąź trochę nad ziemią.

- A co! Nie mówiłem! - zawołał uradowany. - W środku żywe, zielone drzewo. Niech panienka zobaczy!

Zanim to wyrzekł, Mary klęczała już na ziemi, wpatrując się z przejęciem.

- Kiedy w środku jest zielone i wilgotne, to znaczy, że żyje - tłumaczył Dick. - A jeżeli suche i łatwo się łamie, jak ten tutaj kawałek, który odciąłem, to już po nim. Ten gruby pień żyje i puszcza świeże gałązki, a jak się suszki powycina, obkopie dookoła i będzie się miało o niego staranie, to z czasem zupełnie wydobrzeje. - Zatrzymał się, wzniósł wzrok na zwieszające się pnące gałązki i dodał: - W lecie będzie tutaj powódź róż.

Chodzili od krzewu do krzewu, od drzewa do drzewa. Dick był silny, zręcznie posługiwał się nożem, wiedział, gdzie suchą gałąź wyciąć, umiał określić, która jest rzeczywiście uschnięta, a w której tli się jeszcze życie. Po upływie pół godziny Mary zdawało się, że teraz i ona wszystko potrafi, a gdy Dick nacinał gałąź wyglądającą na uschniętą, miała ochotę krzyczeć z radości, widząc bodaj ślad wilgotnej zieleni. Łopatką, grabie i motyka przydały się ogromnie. Dick pokazał dziewczynce, jak należy grabić, gdy on obkopywał korzenie i poruszał ziemię wkoło nich, czyniąc dostęp dla przepływu świeżego powietrza.

Pracowali pilnie koło jednego z największych pni róży sztamowej, gdy naraz Dick dostrzegł coś, co mu z piersi wyrwało okrzyk zdumienia.

- Co to? - zapytał, wskazując na trawę o kilka kroków od siebie. - Kto to zrobił?

Było to jedno z oczyszczonych miejsc naokoło zielonych kielków.

- To ja - odparła Mary.

- A ja myślałem, że panienka nic się nie zna na ogrodnictwie! - zawołał.

- No, bo się nie znam - odrzekła - ale kielki były takie małe, a trawa wokoło nich taka gęsta i silna, że wyglądały, jakby im tchu brakło. Więc im zrobiłam miejsce. Nawet nie wiem, co to za rośliny.

Dick znów ukląkł na ziemi i zaśmiał się swoim szczerym śmiechem.

- Miała panienka rację - powiedział. - Żaden ogrodnik lepiej by nie doradził. Teraz wyrosną aż do nieba. To są krokusy i przebiśniegi, a te tutaj, to narcyzy. - Potem wskazując inne miejsce dodał: - A to żonkile. Ślicznie tu będzie!

Biegał od jednego miejsca do drugiego.

- To panienka, choć mała, huk roboty zrobiła - rzekł patrząc na nią.

- Teraz przytyłam trochę - odparła Mary - i jestem o wiele silniejsza. Przedtem wiecznie byłam zmęczona. Ale kiedy kopię, to się wcale nie męczę. Lubię zapach świeżo skopanej ziemi.

- Dla panienki to bardzo zdrowo - stwierdził Dick, kiwając głową z powagą. - A zapach czystej, świeżej ziemi to rzecz najmiłsza w świecie. No, może jeszcze zapach rosnących roślin po deszczu na wiosnę. Kiedy pada, często idę na wrzosowisko, kładę się pod krzakiem, słucham szmeru spadających na wrzosa kropli i wącham, i wącham. Matka mówi, że mi się koniec nosa porusza jak królikowi.

- A nie zaziębisz się? - spytała Mary, patrząc z podziwem na Dicka.

Nigdy w życiu nie widziała tak zabawnego, a może i tak miłego chłopca.

- Ja! Zaziębić się! - rzekł z zabawnym grymasem. - Nigdy jeszcze nie byłem zaziębiony, odkąd przyszedłem na świat. Nie wychowywali mnie na panicza. Biegałem po wrzosach jak królik, czy to deszcz, czy śnieg, czy słońce. Matka mówi, że się tyle świeżego powietrza nałykałem, że teraz to się już nigdy nie zaziębię, bo zahartowany jestem jak stal w ogniu.

Przez cały ten czas Dick nie przestawał pracować, Mary zaś pomagała mu, grabiąc lub odrzucając chwasty.

- Będziemy tu mieli huk roboty! - zawołał naraz rozradowany, rozglądając się dokoła.

- Przyjdiesz mi pomóc? - spytała Mary. - Jestem pewna, że i ja będę mogła coś robić. Umiem już kopać, wyrywać zielsko i zrobię wszystko, co mi każesz. Przyjdź, Dicku, przyjdź koniecznie!

- Jeżeli panienka chce, to będę przychodził co dzień, czy deszcz, czy słońce - odparł z godnością. - Ten zamknięty i budzący się do życia tajemniczy ogród to najładniejsza zabawa, jaką w życiu miałem.

- Jeśli będziesz przychodził, jeśli mi naprawdę pomożesz ożywić ten ogród, to ja... to ja... nie wiem, co zrobię - dokończyła bezradnie. Cóż bowiem zrobić mogła dla tego chłopca?

- Ja panience powiem, co panienka robi - rzekł Dick uśmiechnąwszy się serdecznie. - Panienka utyje, głodna będzie jak młody lisek i nauczy się rozmawiać z rudzikiem jak ja. Będziemy mieli moc uciechy.

Począł chodzić tu i tam, spoglądając zamyślony na drzewa, mury i krzewy.

- Nie chciałbym, żeby ten ogród był podobny do zwykłego ogrodu, poprzycinanego i wymuskanego jak cacko - oświadczył. - Ładniejszy jest z dziko rosnącymi, poplątanymi krzewami róż. Prawda?

- Ja też nie chcę, żeby ten ogród był porządnym - rzekła Mary z przestachem. - Gdyby był taki strasznie porządnym, toby przestał być tajemniczym.

Dick począł gładzić swą rudą czuprynę, nagle nieco zmieszany.

- Tak, to tajemniczy ogród, bez wątpienia - powiedziała jednak zdaje mi się, że oprócz rudzika jeszcze tu ktoś bywał przez te dziesięć lat.

- Ale furtka była przecież zamknięta na klucz, a klucz zagrzebany w ziemi - odparła Mary. - Nikt więc nie mógł wejść.

- To prawda - zgodził się Dick. - Dziwne miejsce. Zdaje mi się, że jednak musiano tu w czasie tych dziesięciu lat obcinać czasem gałęzie.

- Czy to możliwe? - rzekła Mary.

Dick przyglądał się gałęzi róży sztamowej i potrząsnął głową.

- Właśnie! Czy to możliwe - wyszeptał - skoro furtka była zamknięta, a klucz zakopany.

Mary zdawało się, że nigdy w życiu nie przeżyła takiego pięknego poranka jak ten, kiedy jej ogród ożył. Rzeczywiście, tego ranka zdawało się, że wszystko zaczyna się rozwijać. Kiedy Dick oczyszczał ziemię pod siew, przypomniała jej się piosenka, którą Basil śpiewał, gdy chciał jej dokuczyć.

- Czy są kwiaty, które mają kształt dzwonków? - zagadnęła.

- Konwalie i kampanule, i dzwonki.

- Posadźmy je - rzekła Mary.

- Konwalie tu są, widziałem. Rosną za gęsto, trzeba je będzie rozsadzić, ale jest ich tu moc. Tamte inne kwiatki dopiero po dwóch latach kwitną, jak się je zasieje, ale mogą fance

przynieść od nas, bo je mamy w ogródku. Czemu panienka chce je sadzić?

Wtedy Mary opowiedziała mu o Basilu i jego rodzeństwie, i o tym, jak ich nie cierpiała i jak oni nazywali ją „panną Mary kapryśnicą”.

- Tańczyli wkoło mnie i śpiewali:

Panno Mary, kapryśnico,
Odwróć zagniewane lico!
W twym ogródku rosną kwiatki,
Róże, dzwonki i bławatki.

Przypomniał mi się właśnie ten wierszyk i ciekawa byłam, czy istnieją kwiatki podobne do dzwonków.

Zmarszczyła czoło i ze złością uderzyła grabiami o ziemię.

- Ale ja nie byłam wtedy taka nieznośna jak oni.

Dick roześmiał się.

- Ej! - zawołał, krusząc grudę ziemi i wdychając jej zapach. - Zdaje mi się, że nikt nie będzie nieznośny, mając wkoło siebie śliczne kwiaty i tyle pięknych, dzikich roślin, które się pną i zwieszają, i miłe stworzonka, co sobie budują domki i gniazdka i ćwierkają, i śpiewają. Nieprawda?

Mary, klęcząc obok niego i podając mu nasiona, z wolna rozchmurzyła czoło.

- Dicku, jesteś naprawdę taki miły, jak mówiła Martha. Lubię cię i jesteś już piątą osobą, którą lubię. Nigdy bym nie pomyślała, że będę lubiła aż pięć osób.

Dick kucnął na piętach, jak Martha przy wymiataniu kominka. Mary zauważyła, że chłopiec wygląda zabawnie i uroczo zarazem ze swoimi okrągłymi oczyma, czerwonymi policzkami i śmiesznym, zadartym noskiem.

- Tylko pięć osób panienka lubi? - zawołał. - A kto są te cztery pozostałe?

Mary poczęła wyliczać na palcach:

- Twoja matka, Martha, rudzik i Ben Weatherstaff.

Dick zaczął się tak śmiać, że musiał sobie zasłonić usta dłonią.

- Wiem, panienka pomyśli, że jestem dziwny chłopak - wykrztusił - ale ja znów myślę, że panienka jest najdziwniejszą dziewczynką pod słońcem.

Wtedy Mary zrobiła coś naprawdę dziwnego. Pochyliła się ku niemu i zadała pytanie, jakie jej nigdy przedtem nie przyszło do głowy:

- A czy ty mnie lubisz?

- Jeszcze jak! Strasznie panienkę lubię i jestem pewny, że rudzik też!

- Więc miałabym już dwóch przyjaciół - rzekła Mary. Dwóch własnych przyjaciół.

Po czym oboje zaczęli pracować jeszcze pilniej i radośniej niż przedtem. Mary przełękała się i zmartwiała, gdy posłyszała na podwórzu dzwon wzywający na obiad.

- Będę musiała już iść - powiedziała smutno. - A i ty pewnie musisz wracać, prawda?

Dick uśmiechnął się.

- Mój obiad nietrudno zabrać ze sobą - powiedział. - Matka zawsze włoży mi coś niecoś do kieszeni.

Podniósł z trawy kurtkę i wyjął z kieszeni zawiniątko z grubej, czystej chustki, niebieskiej w białe kropki. Były w nim dwa grube kawałki chleba z czymś jeszcze w środku.

- Zwykle dostaję tylko sam chleb - objaśnił Dick - ale dziś mam na dodatek kawałek słoninki.

Mary pomyślała, że to dziwny obiad, ale Dick zdawał się być bardzo z niego zadowolony.

- Niech panienka śpieszy się zjeść swój obiad - rzekł. - Ja się prędko z moim uwinę. Jeszcze tu trochę popracuję, zanim pójdę do domu.

Usiadł na ziemi i oparł się o drzewo.

- Zawołam rudzika - powiedział - i dam mu skórkę słoniny do dziobania. On lubi wszystko, co tłuste.

Mary trudno było rozstać się z Dickiem. Naraz wydało jej się, że Dick to rodzaj duszka leśnego, który zniknie, a ona już go tu nie zastanie, gdy po obiedzie wróci do ogrodu. Wydawał się zbyt dobry, by mógł istnieć w rzeczywistości. Z wolna ruszyła ku furtce, ale w pół drogi zatrzymała się i zawróciła.

- Cokolwiek by się stało, nikomu nic nie wyjawisz? - zapytała.

Choć czerwone jak maki policzki wypchane były kęsem chleba ze słoniną, chłopiec usiłował uśmiechnąć się uspokajająco.

- A gdyby panienka była mysikrólikiem i pokazała mi swoje gniazdko, to ja bym coś komukolwiek powiedział? Nie, ja nie taki. Panienka może być spokojna.

I Mary rzeczywiście była spokojna.

ROZDZIAŁ XII

„CZY MOGLABYM DOSTAĆ KAWAŁEK ZIEMI?”

Mary biegła tak szybko, że wpadła zupełnie zdyszana do swego pokoju. Włosy miała w nieładzie, twarz zarumienioną. Obiad już na nią czekał na stole, Martha zaś stała opodal.

- Troszkę się panienka spóźniła - rzekła. - Gdzie to panienka była tak długo?
- Spotkałam Dicka! - oznajmiła Mary. - Spotkałam Dicka!
- Wiedziałam, że przyjdzie - rzekła Martha uradowana. Jak się panience podobał?
- Wydaje mi się... wydaje mi się, że on jest bardzo ładny! - rzekła Mary stanowczo.

Martha zdziwiła się bardzo, ale równocześnie była uszczęśliwiona.

- No tak - powiedziała. - To najlepszy chłopak pod słońcem, ale nam się nigdy nie zdawało, żeby był ładny. Zanadto mu nos sterczy do góry.

- Lubię zadarte nosy - odrzekła Mary.

- I oczy ma takie okrągłe - powątpiewająco dorzuciła Martha. - Chociaż kolor ładny.

- Lubię okrągłe oczy, a kolor mają zupełnie taki jak niebo nad wrzosowiskiem - odparła Mary.

Martha promieniała.

- Matka mówi, że on ma taki kolor oczu od ciągłego wypatrywania ptaszków w obłokach. Ale usta to ma od ucha do ucha, prawda?

- Mnie się podobają - oświadczyła Mary z uporem i chciałabym mieć takie same.

Martha roześmiała się uradowana.

- Zabawnie by wyglądały w takiej małej twarzyczce - rzekła. - Ale wiedziałam, że panienka go polubi, jak go pozna. A jak się panience podobały narzędzia i nasiona?

- Skąd wiesz, że mi je przyniósł? - zapytała Mary.

- Przecież wiedziałam, że ma je przynieść. Musiał przynieść, skoro był w Thwaite. To rzetelny chłopak.

Mary obawiała się, że Martha zacznie stawiać jej pytania, na które trudno będzie dać odpowiedź, ale obawy te były płonne. Martha zainteresowała się przede wszystkim nasionami i narzędziami. Mary spłoszyła się tylko przez chwilę, kiedy Martha spytała, gdzie Mary wysieje te nasiona i czy już rozmawiała z kimś o tym.

- Jeszcze nie pytałam i nikogo o nic nie prosiłam - odparła Mary wymijająco.

- To dobrze. Nie radziłabym mówić o tym z naczelnym ogrodnikiem. To taki wielki pan, ten pan Roach.

- Nigdy go jeszcze nie spotkałam. Widziałam tylko pomocników i Bena Weatherstaffa.

- Na miejscu panienki poprosiłabym Bena - radziła Martha. - On nie jest wcale taki niedobry, na jakiego wygląda, choć zawsze skwaszony. Pan Craven pozwala mu na wszystko, bo on tu już był za życia jaśnie pani i zawsze panią umiał rozśmieszyć i zabawić. Pani bardzo go lubiła. Może on panience gdzieś taki kącik ogrodu wynajdzie.

- Gdyby to było gdzieś na uboczu i gdyby nikt tego kawałka ziemi nie chciał, to nikomu nie powinno to przeszkadzać, prawda? - spytała Mary lękliwie.

- Naturalnie, że nie powinno - przytaknęła Martha. - Przecież nie byłoby to z czyjaś krzywdą.

Mary zjadła obiad z najwyższym pośpiechem, po czym wstała od stołu, zamierzając pójść do drugiego pokoju po kapelusz, lecz Martha ją wstrzymała.

- Mam panience coś do powiedzenia, tylko pomyślałam, że lepiej dać panience wprawdzie zjeść spokojnie obiad. Pan Craven wrócił dziś rano i zdaje mi się, że chce panienkę zobaczyć.

Mary zbladła jak opłatek.

- O Boże! - zawołała. - Dlaczego? Po co? Wszak nie chciał mnie widzieć, kiedy przyjechałam. Słyszałam, jak Pitcher mówił, że nie chce!

- Ano tak - tłumaczyła Martha - pani Medlock mówi, że to przez matkę. Szła sobie do Thwaite i spotkała pana. Nie byłaby z nim rozmawiała, gdyby nie to, że kiedyś, dawno temu, pan Craven był kilka razy u nas. On o tym zapomniał, ale matka nie zapomniała i to ją ośmieliło, więc go zaczepiła. Nie wiem, co tam o panience mówiła, ale coś takiego powiedziała, że pan chce koniecznie panienkę zobaczyć, zanim znów jutro wyjedzie.

- A więc wyjeżdża jutro? - zawołała Mary. - To wspaniale!

- Tak! Jedzie na bardzo długo. Nie wróci teraz aż jesienią albo zimą. Będzie podróżował po obcych krajach. Zawsze tak robi.

- Cieszę się, bardzo się cieszę! - powtarzała Mary.

Jeżeli pan Craven nie wróci przed zimą, to będzie czas na dogłębne oglądanie tajemniczego ogrodu i na przywrócenie go do życia. A gdyby nawet później miał odkryć wszystko i znów zamknąć ogród, i tak już nie zdoła odebrać jej radosnych chwil, które tam przeżyje.

- Jak myślisz, kiedy będzie chciał mnie...

Mary nie zdążyła dokończyć zdania, gdy drzwi się otwarły i pani Medlock wkroczyła do pokoju. Miała na sobie swoją najlepszą czarną suknię i czepiec, a w kołnierzyk wpiętą wielką broszkę z czyjaś podobizną. Była to kolorowa fotografia świętej pamięci pana

Medlocka, który wiele lat temu umarł, wdowa zaś kładła broszkę z jego wizerunkiem na wszelkie większe uroczystości. Pani Medlock była zdenerwowana i podniecona.

- Włosy są potargane - rzekła prędko. - Proszę się przyczesać. Martho, podaj najlepszą sukienkę, pomóż się panience ubrać. Pan Craven kazał mi ją przyprowadzić do swego gabinetu.

Mary pobladła, serce jej poczęło bić niespokojnie. Poczula, że zamienia się znów w sztywne, smutne, milczące dziecko. Nie odpowiedziała nic pani Medlock, tylko wolno przeszła wraz z Marthą do drugiego pokoju. Milczała, gdy ją przebierano i czesano, i milcząc szła przez korytarze za panią Medlock. Cóż miała mówić? Pan Craven chce ją zobaczyć, więc idzie, choć wie, że ani on jej, ani ona jego nigdy lubić nie będzie. Wie z góry, co o niej pomyśli.

Zaprowadzono ją do części domu, której dotąd nie знаła. Wreszcie pani Medlock zapukała do jakichś drzwi, a gdy powiedziano „proszę” - weszły obie. W fotelu przed kominkiem siedział jakiś pan.

Pani Medlock zameldowała:

- Oto jest panna Mary, sir:

- Proszę zostawić ją tutaj. Zadzwoń, kiedy trzeba będzie zabrać ją z powrotem - rzekł pan Craven.

Pani Medlock wyszła i zamknęła za sobą drzwi. Mary stała wyczekująco - smutna, drobna istotka, z zaciśniętymi kurczowo rączkami. Od razu zdążyła zauważyć, że siedzący w fotelu człowiek nie jest garbaty, lecz tylko ma plecy nieco przygarbione, a czarne włosy mocno przyprószone siwizną. Nagle pan Craven odwrócił głowę i odezwał się do niej:

- Podejdź bliżej!

Mary zrobiła kilka kroków.

Nie był brzydki. Jego twarz byłaby nawet piękna, gdyby nie była tak wymizerowana. Miał taką minę, jakby widok Mary męczył go i smucił i jakby namyślał się, co u licha z nią począć.

- Dobrze ci tu? - spytał.

- Tak - odparła Mary.

- Masz wszystko, co trzeba?

- Tak.

Potaął czoło, patrząc na nią smutno.

- Jesteś bardzo drobna - powiedział znowu.

- Ale zaczynam tyć - odrzekła Mary bardzo sztywno, zdając sobie zresztą z tego

sprawę.

Jakże miał nieskończenie smutną twarz! Jego czarne oczy jakby jej nie widziały, lecz dostrzegały coś poza nią, z trudnością rejestrując jej obecność.

- Zapomniałem o tobie, dziecko - rzekł. - Zamierzałem przysłać ci bonę albo guwernantkę, ale zapomniałem.

- Proszę... - zaczęła Mary. - Proszę... - lecz stłumiony szloch schwycił ją za krtań.

- Chciałaś coś powiedzieć? - spytał.

- Ja... już za duża jestem na bonę - wykrztusiła Mary. Guwernantki proszę... proszę mi jeszcze nie dawać...

Znów potarł czoło i popatrzył na nią.

- To samo mówiła Sowerby - mruknął.

Mary wzięła na odwagę.

- Czy ta Sowerby... to matka Marthy? - wyjąkała.

- Tak, zdaje mi się, że tak.

- Ona wie, czego dzieciom trzeba - rzekła Mary - Ma ich dwanaścioro, więc wie!

Pan Craven zdawał się budzić z uśpienia.

- A co chciałabyś robić?

- Chciałabym się bawić w ogrodzie - odparła Mary, usiłując opanować drżenie głosu. -

W Indiach tego nie lubiałam, ale tutaj to poprawia apetyt... Wyglądam już lepiej...

Pan Craven przyglądał się jej.

- Sowerby także powiedziała, że ci to dobrze robi - rzekł.

- Być może. Ona mówi, że powinnaś nabrać sił, zanim zaczniesz się uczyć.

- Czuję się silniejsza, gdy bawię się na dworze, a wiatr wieje od wrzosów - stwierdziła Mary.

- A gdzie się bawisz? - pytał dalej.

- Wszędzie po trochu - wyjąkała Mary. - Matka Marthy przysłała mi skakankę. Biegam więc i skaczę, patrzę, czy rośliny zaczynają już kiełkować. Nie wyrządzę żadnej szkody.

- Nie rób takiej wystraszonej miny - powiedział zmęczonym głosem. - Przecież takie dziecko jak ty nie może wyrządzić szkody! Możesz robić, co tylko zechcesz.

Mary chwyciła się za gardło, gdyż złękła się, że wuj może dostrzec wzruszenie, które jej prawie odebrało głos. Podeszła ku niemu o krok bliżej.

- Naprawdę? - spytała drżąc na całym ciele.

Jej wystraszona twarz zdawała się zasmucać go jeszcze bardziej.

- Nie rób takiej wystraszonej miny - powtórzył. - Naturalnie, że możesz. Jestem twoim opiekunem, choć kiepski ze mnie opiekun. Nie mogę poświęcać ci czasu ani uwagi. Jestem zbyt chory, skolatany i roztargniony. Ale pragnąłbym widzieć cię szczęśliwą i zadowoloną. Nie umiem zadbać o dziecko, ale pani Medlock ma pamiętać o wszystkich twoich potrzebach. Posłałem dzisiaj po ciebie, gdyż ta Sowerby powiedziała, że powinienem cię zobaczyć. Córka opowiadała jej o tobie. Ona uważa, że trzeba ci świeżego powietrza, swobody i ruchu.

- Ona wie, czego dzieciom trzeba - powtórzyła Mary mimo woli.

- I powinna wiedzieć - rzekł pan Craven. - Pomyślałem w pierwszej chwili, że to trochę za śmiało z jej strony zatrzymywać mnie na wrzosowisku, ale mi powiedziała, że pani Craven ją lubiła. - Zdawało się, że zbyt wiele go kosztuje wymówienie imienia zmarłej żony.
- Ta Sowerby to bardzo porządna kobieta. Widzę teraz, że mówiła rozsądnie. Baw się w ogrodzie, ile tylko zechcesz. Park jest bardzo rozległy, możesz się bawić, gdzie i jak chcesz.

Potem dodał, jakby nową myślą tknięty:

- Czy masz jeszcze jakieś pragnienie? Chciałabyś zabawek, książek, lalek?

- Czy mogłabym... - rzekła jękając się Mary - czy mogłabym dostać kawałek ziemi?

W podnieceniu nie zdawała sobie sprawy, że słowa jej zabrzmiały dziwnie i że wcale nie to chciała powiedzieć. Pan Craven był wprost przestraszony.

- Kawałek ziemi? Co przez to rozumiesz?

- No, żebym mogła siać i patrzeć, jak coś rośnie, jak się rozwija i zaczyna żyć - brnęła dalej Mary.

Popatrzył na nią i przesunął ręką po oczach.

- Czy chciałabyś dbać o własny ogród? - wyrzekł z wolna.

- W Indiach nie dbałam. Było mi wszystko jedno - odpowiedziała Mary. - Czułam się ciągle chora i zmęczona, tam było zawsze zbyt gorąco. Czasem robiłam z piasku klombiki i niby sadziłam tam kwiatki. Ale tutaj to zupełnie co innego.

Pan Craven wstał z miejsca i począł wolno chodzić po pokoju.

- Kawałek ziemi - mówił do siebie, a Mary pomyślała, że musiała mu przywieść na pamięć coś minionego.

Gdy się zatrzymał i przemówił do niej, jego oczy pełne były ciepła i dobroci.

- Możesz dostać tyle ziemi, ile zechcesz - odezwał się wreszcie. - Przypominasz mi kogoś, kto też lubił ziemię i żyjące rośliny. - Potem z cieniem uśmiechu dodał: - Gdy zobaczysz tu gdzieś kawałek ziemi, który pragnęłabyś mieć, weź go sobie, dziecko, tchnij w niego życie!

- A czy mogę wybrać ten kawałek ziemi, tam gdzie zechcę, jeśli tylko nikomu nie

będzie potrzebny?

- Gdziekolwiek zechcesz - odparł. - Tak! Ale teraz już idź, dziecko, jestem zmęczony!

- Dotknął dzwonka. - Do widzenia! Nie będzie mnie tu całe lato.

Pani Medlock weszła tak prędko, że Mary nabrała pewności, iż czekała pod drzwiami.

- Proszę pani - zwrócił się do niej pan Craven - teraz, kiedy zobaczyłem to dziecko, rozumiem, co Sowerby miała na myśli. Ona rzeczywiście musi się wzmocnić, zanim przystąpi do nauki. Proszę jej dawać zdrowe, proste pożywienie i pozwolić swobodnie biegać po parku. Niech jej pani nie krępuje zbytnim dozorem. Potrzeba jej swobody, powietrza i ruchu. Sowerby może ją odwiedzać od czasu do czasu, a Mary również może pójść kiedyś do nich, jeśli zechce.

Pani Medlock wyglądała na uradowaną. Odetchnęła z ulgą, gdy usłyszała, że nie ma dziewczynki „krępować zbytnim dozorem”. Opieka nad Mary ciążyła jej, toteż starała się widzieć dziewczynkę tyle tylko, ile było konieczne. W dodatku bardzo lubiła matkę Marthy.

- Dziękuję, sir - rzekła. - Susan Sowerby chodziła ze mną do szkoły i wiem, że ma dobrze w głowie. To złote serce i niełatwo drugą taką znaleźć. Ja nie miałam dzieci, ale ona ma dwanaścioro, a wszystkie zdrowe i pocziwe. Pannie Mary ujmy ich towarzystwo nie przyniesie. Gdy szło o dzieci, zawsze się radziłam Susan Sowerby. Ona ma tyle zdrowego rozsądku! Pan rozumie, co chcę powiedzieć, sir.

- Rozumiem - odparł pan Craven. - Proszę teraz zabrać panienkę, a przysłać mi Pitchera.

Pani Medlock rozstała się z Mary na końcu korytarza. Dziewczynka wpadła do swego pokoju. Zastała tam Marthę, która przybiegła tu po odniesieniu naczyń do kuchni i czekała na nią.

- Mogę mieć własny ogród! - zawołała Mary. - Mogę go mieć, gdzie tylko zechcę! I jeszcze nie wezmą dla mnie nauczycielki! A twoja matka może do mnie przychodzić i mnie wolno pójść do was! Wuj powiedział, że dziecko nie może zrobić żadnej szkody i że mi wolno chodzić, gdzie dusza zapagnie - wszędzie!

- Jak to ładnie ze strony pana, prawda? - rzekła Martha.

- Martho - zaczęła Mary uroczyście - wuj jest naprawdę bardzo dobry, tylko twarz ma smutną i czoło pomarszczone.

Co tchu pobiegła do ogrodu. Była w domu o wiele dłużej, niż miała zamiar, a wiedziała, że Dick musi wyruszyć wkrótce w pięciomilową drogę powrotną. Gdy się prześlizgnęła przez furtkę pod zwojami bluszczu, chłopca już nie było. Narzędzia złożone były porządnie pod drzewem. Pobiegła dalej, rozglądając się, ale Dicka nie znalazła. Poszedł,

a tajemniczy ogród opustoszał; był w nim tylko rudzik, który właśnie przefrunął przez mur i usiadł na wysokim krzaku róży, patrząc na dziewczynkę.

- Zniknął! - rzekła smutno. - A może był tylko duszkiem leśnym?

Naraz coś białego na krzaku róży przyciągnęło jej wzrok. Był to kawałek papieru, a właściwie skrawek listu, który Mary wydrukowała” do Dicka. Papier przyczepiony był do krzaka cierniem. Mary odgadła natychmiast, że to Dick go zostawił. Na papierze było kilka niezgrabnych liter i jakiś rysunek. W pierwszej chwili nie mogła rozpoznać, co przedstawiał. Potem spostrzegła, że wyobraża gniazdko z siedzącym wewnątrz ptaszkiem. Pod rysunkiem drukowanymi literami napisano: „Ja tu wrucę”.

ROZDZIAŁ XIII

„JESTEM COLIN”

Idąc do domu na kolację Mary zabrała ze sobą kartkę od Dicka i pokazała ją Marcie.

- No, patrzcie! - rzekła Martha z dumą. - Nigdy nie myślałam, że nasz Dick taki sprytny. To przecież mysikrólik w gniazdku, zupełnie jak żywy, bo jest naprawdę tej wielkości!

Wtedy Mary zrozumiała: rysunek jest symbolem, a Dick chciał ją w ten sposób zapewnić, że dochowa tajemnicy. Tajemniczy ogród był jej gniazdkiem, ona zaś - mysikrólikiem. Jak bardzo polubiła tego zabawnego, prostego chłopca!

Zasnęła zdrowym snem pełna ufności, że Dick niezawodnie przyjdzie nazajutrz.

Lecz w Yorkshire nie można nigdy przewidzieć, jakiego figla spleta pogoda, szczególnie na wiosnę. Mary obudził w nocy odgłos ciężkich kropli deszczu siekącego w szyby. Lało jak z cebra, a wicher wył i zawodził po kątach i w kominach wielkiego pustego domu. Mary usiadła na łóżku bardzo nieszczęśliwa i zła.

- Ten deszcz jest tak przekorny, jak ja dawniej byłam - rzekła. - Przyszedł, bo wiedział, że go nie chcę.

Rzuciła się na łóżko i ukryła twarz w poduszkach. Nie płakała, lecz czuła tylko rosnącą nienawiść do monotonnego plusku deszczu i do wycia wichru. Te przygnębiające odgłosy nie pozwalały jej zasnąć powtórnie, gdyż czuła się sama, opuszczona i smutna. Gdyby była szczęśliwa, szum deszczu ukołysałby ją do snu.

„Jak te ogromne krople ciężko uderzają o szyby, a ten wiatr jak wyje! Zupełnie jakby ktoś zabłądził na wrzosowisku i chodził, i płakał” - pomyślała.

Leżała tak przeszło godzinę, przewracając się z boku na bok. Naraz usiadła na łóżku i zwróciła głowę ku drzwiom, nasłuchując. Słuchała przez chwilę, w końcu szepnęła do siebie:

- Teraz to na pewno nie wiatr. Nie, to nie wiatr. To zupełnie co innego. To znowu ten płacz, który słyszałam już kiedyś.

Drzwi od jej pokoju otwarte były na korytarz, z którego dochodził oddalony, słaby płacz rozzłoszczonego dziecka. Nasłuchiwała jeszcze kilka minut, chcąc nabrać pewności. Czuła, że powinna zbadać, co to jest. Wydawało jej się to jeszcze dziwniejsze niż tajemniczy ogród i zagrzebany klucz. Być może, iż odwagi dodał jej buntowniczy nastrój, w jakim się znajdowała. Wyskoczyła z łóżka.

- Zaraz się przekonam, co to jest - rzekła do siebie. Wszyscy śpią, a zresztą nic sobie

nie robię z pani Medlock, nic a nic!

Wzięła świecę stojącą przy łóżku i cicho wyszła z pokoju. Korytarz był długi i ciemny, lecz Mary czuła się zbyt podniecona, by zwracać na to uwagę. Myślała, że odnajdzie drogę na ów krótki korytarzyk z zasłoniętymi dywanem drzwiami, przez które pani Medlock wyszła tego dnia, gdy Mary zabłądziła. Płacz dochodził z tego właśnie korytarzyka. Szła zatem przed siebie ze świecą pełgającą słabym światłem, kierując się raczej na wycucie, a serce jej biło tak głośno, że nieomal słyszała jego uderzenia. Oddalony płacz trwał i wskazywał jej drogę. Czasami ustawał na chwilę, po czym znów się rozpoczynał. Czy tutaj należało skręcić? Zatrzymała się i popatrzyła. Tak, to tutaj. Teraz jeszcze tym korytarzem, potem na lewo, potem dwa szerokie stopnie, potem znów na prawo. Tak, znalazła drzwi zasłonięte dywanem.

Otworzyła je delikatnie i zamknęła cicho za sobą. Znalazła się w owym korytarzyku. Teraz płacz słyszała już zupełnie wyraźnie, choć nie był głośny. Dobiegał od ściany na lewo o kilka łokci dalej - gdzie były drzwi. Pod drzwiami widać było smugę światła. To w tamtym pokoju ktoś płakał, ktoś, kto na pewno liczył sobie niewiele lat.

Podeszła do drzwi, otworzyła je i weszła.

Znalazła się w obszernym pokoju z pięknym, staroświeckim umeblowaniem. Słaby ogień tlił się na kominku, nocna lampka paliła się przy rzeźbionym łożu z brokatowym baldachimem na czterech kolumnkach. Na łożu leżał chłopczyk wstrząsany płaczem.

Mary nie wiedziała, czy widzi to na jawie, czy też może zasnęła i śni jakiś dziwny sen.

Chłopczyk miał ostrą, drobną twarzyczkę koloru kości słoniowej, a oczy jego zdawały się zbyt duże w tej twarzy. Gęste włosy w lokach opadały mu na czoło, co czyniło jego twarzyczkę jeszcze drobniejszą. Wyglądał na chorego, ale płakał ze złości, a nie z cierpienia.

Mary stała przy drzwiach ze świecą w rękę, bojąc się odetchnąć. Potem przeszła przez pokój, a gdy się zbliżyła, światło zwróciło uwagę chłopca, który odwrócił się w jej stronę i patrzył na nią szeroko otwartymi, szarymi oczyma, które w tej chwili wydawały się olbrzymie.

- Kim jesteś? - zapytał wreszcie szeptem, trochę przelękniony. - Może duchem?

- Nie - odparła Mary również szeptem i również trochę przestraszona. - A ty też nie jesteś duchem?

Chłopiec nie odrywał od niej wzroku. Mary zobaczyła teraz, jak dziwne były jego oczy. Miały kolor szarego agatu, a wydawały się takie wielkie, gdyż ocieniały je długie i ciemne rzęsy.

- Nie - odparł po chwili. - Jestem Colin.

- Jaki Colin? - wyjąkała.

- Colin Craven. A kto ty jesteś?

- Jestem Mary Lennox. Pan Craven jest moim wujem.

- A moim ojcem - rzekł chłopiec.

- Twoim ojcem! - wyjąkała znów Mary. - Nikt mi nie mówił, że wuj ma syna! Czemu mi nie powiedzieli?

- Chodź tutaj! - zawołał nie spuszczając z niej wystraszonego wzroku.

Podeszła blisko do łóżka, on zaś wyciągnął rękę i dotknął jej.

- Jesteś naprawdę? - spytał. - Bo takie sny na jawie miewam często. Może i ty jesteś snem?

Mary otuliła się wełnianym szalem, gdy wychodziła ze swego pokoju, a teraz koniec jego dała chłopcu do ręki.

- Pomacaj ten szal i zobacz, jaki jest gruby i ciepły - rzekła. - Uszczypnę cię, jeśli chcesz, żeby ci dowieść, że jestem z krwi i kości. Ja też przez chwilę myślałam, że śnię.

- Skąd przyszedłeś? - spytał.

- Z mego pokoju. Wiatr świszczął, nie mogłam spać, słyszałam, że ktoś płacze, i chciałam zbadać, kto to. Dlaczego płakałeś?

- Bo też nie mogłem zasnąć i głowa mnie boli. Powiedz mi jeszcze raz, jak się nazywasz?

- Mary Lennox. Czy nikt ci nie mówił, że przyjechałam tu na stałe?

Trzymał wciąż w ręce koniuszek jej szala i zdawał się już wierzyć w to, że jest żywą istotą.

- Nie - odparł. - Im nie wolno.

- Dlaczego? - spytała Mary.

- Bobym się bał, że zechcesz do mnie przyjść. Ja nie lubię widywać ludzi i rozmawiać z nimi.

- Ale dlaczego? - znów zapytała Mary, coraz bardziej zdziwiona.

- Bo jestem wiecznie chory i muszę leżeć w łóżku. Ojciec też nie pozwala, żeby ze mną rozmawiano. A służbie nie wolno rozpowiadać o mnie. Jeśli wyżyję, to będę garbaty, ale ja pewnie umrę. Ojciec nie może znieść myśli, że będę taki sam jak on.

- Boże! Cóż to za dziwny dom! - zawołała Mary. - Cóż za dziwny dom! Wszystko jest tu otoczone tajemnicą. Pozamykane pokoje, pozamykane ogrody, a teraz znów ty! Czy i ciebie zamykają?

- Nie. To ja nie życzę sobie ruszać się z tego pokoju. Zbyt mi to męczy.

- Czy twój ojciec odwiedza cię? - zaryzykowała Mary pytanie.
- Czasami. Najczęściej, gdy śpię. Ojciec nie pragnie mnie widzieć.
- Dlaczego? - Mary znów nie mogła wstrzymać się od tego pytania.

Coś jakby cień złości przemknął przez twarz chłopca.

- Moja matka umarła przy moim urodzeniu, więc ojciec cierpi, gdy na mnie patrzy. On myśli, że o tym nie wiem, ale słyszałem, jak ludzie mówili między sobą. Ojciec mnie nienawidzi.

- On i tego ogrodu nienawidzi, gdzie ona umarła - rzekła Mary jakby do siebie.

- Jakiego ogrodu? - spytał chłopiec.

- Och! No, ogrodu, który twoja matka lubiła - bąknęła Mary. - Czy ty zawsze tu mieszkales?

- Prawie zawsze. Czasami wywozili mnie do różnych miejscowości nad morze, ale nie chcę tam jeździć, bo wszyscy się na mnie gapią. Zwykle nosiłem taki żelazny gorset, żeby się prosto trzymać, ale przyjechał do mnie pewien sławny lekarz z Londynu i powiedział, że to nie ma sensu. Kazał mi zdjąć ten gorset i dużo przebywać na świeżym powietrzu. Nie znoszę jednak świeżego powietrza i nie pragnę wcale wychodzić na dwór.

- Ja też z początku nie lubiłam, kiedy tu przyjechałam - rzekła Mary. - Ale dlaczego tak mi się wciąż uparcie przyglądasz?

- Myślę o snach, które bywają takie rzeczywiste - odparł z pewnym rozdrażnieniem. - Czasem, gdy otworzę oczy, nie mogę uwierzyć, że nie śnię.

- Oboje nie śnimy. - Mary rozejrzała się po pokoju, po wysokim sklepieniu i cieniach zalewających kąty w przyćmionym świetle lampki nocnej. - Naprawdę wszystko to wygląda jak sen. Jest teraz noc i wszyscy w domu śpią. Wszyscy, prócz nas dwojga; tylko my oboje nie śpimy..

- Nie chciałbym, żeby to był sen - powiedział chłopiec prędko.

Nowa myśl tknęła Mary.

- Jeśli nie lubisz, gdy na ciebie patrzą - rzekła - to może wolisz, żebym już sobie poszła?

Colin wciąż trzymał koniec jej szala: teraz szarpnął go lekko.

- Nie - odparł. - Gdybyś odeszła, byłbym pewny, że tylko mi się śniłaś. Jeżeli istniejesz naprawdę, to usiądź tu, na tym dużym fotelu, i opowiadaj. Chciałbym dowiedzieć się czegoś o tobie.

Mary postawiła świecę na stoliku przy łóżku i rozsiadła się wygodnie w miękkim fotelu. Nie miała ochoty stąd odchodzić. Pragnęła zostać w tajemniczo ukrytym pokoju i

rozmawiać z tym zagadkowym chłopcem.

- O czym chcesz, żebym ci opowiedziała?

Colin był ciekaw, od jak dawna bawi w Misselthwaite, chciał wiedzieć, przy którym korytarzu znajduje się jej pokój; chciał wiedzieć jeszcze, co robi: czy nienawidzi wrzosowiska tak jak on; gdzie mieszkała, zanim przybyła do Yorkshire. Mary odpowiadała na te pytania i na wiele innych, on zaś leżał na wznak i słuchał. Prosił też, aby opowiedziała mu jak najwięcej o Indiach i o swej podróży przez ocean. Dziewczynka zauważyła, że Colin z powodu swej choroby nie zna wielu zabaw i gier lubianych przez dzieci. Jedną z jego opiekunek nauczyła go czytać, gdy był jeszcze bardzo mały; teraz więc ciągle czytał i oglądał obrazki w pięknych książkach.

Ojciec rzadko odwiedzał Colina, ale przysyłał mu mnóstwo ślicznych rzeczy do zabawy. Chłopca wszakże nic nie bawiło. Mógł mieć wszystko, czego dusza zapagnie, nie musiał też nigdy robić czegoś, co by było wbrew jego woli.

- Każdy musi robić to, co mi się podoba - rzekł obojętnie - gdyż gniew bardzo mi szkodzi. Nikt zresztą nie uważa, że pożyję dłużej.

Powiedział to takim tonem, jakby się z tą myślą zżył i jakby mu to wszystko było całkiem obojętne. Dźwięk głosu Mary był mu w widoczny sposób miły. Słuchał jej z zaciekawieniem, choć już trochę senny. Kilka razy zaczął jak gdyby zapadać w drzemkę, lecz po chwili znów stawiał pytanie, które dawało im nowy temat do rozmowy.

- Ile masz lat? - zagadnął.

- Dziesięć, tyle samo co ty - odparła Mary zapominając o ostrożności.

- Skąd wiesz, ile ja mam lat? - spytał zdziwiony.

- Bo jak się urodziłeś, furtka do ogrodu została zamknięta, a klucz zakopany w ziemię. I ogród jest zamknięty od dziesięciu lat.

Colin uniósł się nieco, opierając się na łokciu.

- Jaka furtka? Kto ją zamknął? Gdzie zakopali klucz? - zawołał ogromnie zaciekawiony.

- To... to właśnie ten ogród, którego pan Craven nienawidzi - mówiła Mary nerwowo.

- On zamknął furtkę. Nikt - nikt nie wie, gdzie klucz został zakopany.

- Co to za ogród? - nalegał Colin zapalając się.

- Od dziesięciu lat nikomu nie wolno wejść do niego - brzmiała oględna odpowiedź.

Lecz na oględność było już za późno. Colin miał usposobienie zbyt podobne do Mary. On również nie miał czym zająć myśli, więc wiadomość o zamkniętym ogrodzie tak go zafrapowała, jak przedtem pochłonięła Mary. Stawiał jedno pytanie po drugim. Gdzie ten

ogród jest? Czy nigdy nie starała się odszukać furtki? Nie pytała ogrodników?

- Cóż, kiedy nie chcą o tym mówić - odpowiedziała Mary. - Myślę, że im zakazano udzielać odpowiedzi.

- Mnie będą musieli odpowiedzieć - oświadczył Colin.

- Czy masz prawo rozkazywać? - wyjąkała przestraszona Mary.

Jeśli on każe sobie wszystko opowiedzieć, to Bóg wie, co się może stać!

- Każdy musi starać się mi dogodzić. Już ci to raz powiedziałem - rzekł ostro. - Jeżeli nie umrę, to przecież to wszystko będzie kiedyś moje. Oni dobrze o tym wiedzą. Każę im, aby wszystko mi opowiedzieli.

Mary nie zdawała sobie sprawy z tego, że sama była rozkapryszonym dzieckiem, lecz widziała aż nadto jasno, jakim sobkiem był ten dziwny, tajemniczy chłopiec. Jakby cały świat został stworzony tylko dla niego! Jaki był dziwny i jak obojętnie mówił o śmierci.

- Czy i ty myślisz, że nie będziesz długo żył? - spytała na poły przez ciekawość, na poły zaś w nadziei, że odwróci jego uwagę od ogrodu.

- Nie sądzę, bym mógł długo żyć - odparł obojętnie jak poprzednio. - Odkąd pamiętam, wszyscy wokoło mówili, że nie będę długo żył. Najpierw myśleli, że jestem za mały, by to rozumieć, a teraz myślą, że nie słyszę. Ale ja słyszę, i to dobrze. Lekarz, który mnie leczy, jest stryjecznym bratem ojca. Jest biedny i wie, że jeśli ja umrę, to po śmierci mego ojca on odziedziczy Misselthwaite. Myślę więc, że i on nie bardzo pragnie, abym żył.

- A czy ty chcesz żyć? - zagadnęła Mary.

- Nie - rzucił przez zęby zły i zmęczony. - Ale nie chcę też umierać. Jak się czuję źle, to leżę i rozmyślam, a potem płaczę i krzyczę bez końca.

- Trzy razy cię słyszałam, ale nie wiedziałam, kto to płacze. Czy dlatego płakałeś, że czuleś się gorzej? - pytała Mary, chcąc odwrócić jego uwagę od ogrodu.

- Wątpię - odparł. - Mówmy o czym innym. Opowiadaj mi o ogrodzie. Czy nie pragniesz go zobaczyć?

- Tak - odparła cichutko Mary.

- Ja również. Zdaje mi się, że nigdy przedtem nie pragnąłem widzieć czegokolwiek, lecz teraz chcę widzieć ten ogród. I odkopać ten klucz. Chcę otworzyć tę furtkę. Kazałbym się tam zanieść w moim fotelu. Mógłbym tam zaczerpnąć świeżego powietrza. Ja im po prostu każę otworzyć tę furtkę.

Jego niesamowite oczy zaczęły z podniecenia błyszczeć jak gwiazdy i wydawały się jeszcze większe niż zwykle.

- Muszą przecież mi dogadzać - powiedział. - Każę się tam zanieść i tobie pozwolę iść

ze mną.

Mary konwulsyjnie zacisnęła rękę.

A więc wszystko przepadnie - wszystko. Dick nigdy już nie wróci. Ona zaś nigdy już nie będzie mogła schować się, jak mysikrólik w swoim gniazdku.

- Och! Nie rób tego, nie rób, nie rób! - wołała rozpaczliwie.

Spoglądał na nią jak na obłąkaną.

- Dlaczego?! - wykrzyknął. - Wszak sama powiedziałaś, że chciałyś go zobaczyć.

- I chcę - odparła połykając łzy - tylko jeśli im każesz po prostu otworzyć furtkę i zanieść się tam, to wszystko przestanie być tajemnicą.

Colin pochylił się ku niej jeszcze bardziej.

- Tajemnicą? - spytał. - Co masz na myśli? Powiedz!

Słowa Mary poczęły padać bezładnie.

- No widzisz... widzisz - mówiła dysząc - gdyby nikt o tym nie wiedział prócz nas, gdyby furtka była ukryta gdzieś pod bluszczem, a my znaleźlibyśmy ją, i gdybyśmy mogli wśliznąć się przez tę furtkę i zamknąć ją za sobą, i gdyby nikt nie wiedział, że tam ktoś jest, że my jesteśmy mysikrólikami, a to jest nasze gniazdko, i gdybyśmy tam mogli co dzień się bawić i kopać, i siać, i przywrócić ten ogród do życia...

- Więc tam wszystko zmarniało? - przerwał jej.

- Zmarnieje niedługo, jeśli nikt nie będzie dbać o to - ciągnęła dalej. - Cebulki będą żyły, ale róże...

Znów jej przerwał, równie ożywiony jak ona.

- Jakie cebulki?

- Z tych cebulek wyrastają żonkile, narcyzy, przebiśniegi. One teraz pracują pod ziemią i wypuszczają bladozielone kielki, bo już nadchodzi wiosna.

- A czy wiosna naprawdę już nadchodzi? - spytał. - Jaka ona jest, ta wiosna? Gdy się jest chorym i przebywa w pokoju, to się tego nie wie.

- Wiosna, widzisz, jest wtedy, gdy świeci słońce i deszcz pada, a rośliny pracują pod ziemią, puszczają kielki i świeże pędy - objaśniała Mary. - Gdyby ogród pozostał tajemniczy, moglibyśmy do niego chodzić i oglądać, jak wszystko z dnia na dzień rośnie, i dowiedzielibyśmy się, ile róż jeszcze żyje. Czy nie rozumiesz, że gdyby wszystko pozostało tajemnicą, byłoby ciekawiej.

Chłopiec rzucił się na poduszki i leżał z dziwnym wyrazem twarzy.

- Nigdy nie miałem tajemnicy - rzekł - z wyjątkiem tej jednej, że muszę umrzeć w dzieciństwie. Oni wszyscy nie wiedzą, że ja o tym wiem, więc to coś jakby tajemnica. Ale

wolę, żeby tak pozostało.

- Gdybyś nie żądał, żeby oni cię zaprowadzili do ogrodu - błagała Mary - to może... to prawie pewna jestem, że znalazłabym sposób, żeby tam wejść. A potem, jeśli doktor chce, żeby cię wynoszono w fotelu na powietrze, i jeśli naprawdę wolno ci zawsze robić, co tylko zechcesz, to może... może znaleźlibyśmy jakiegoś chłopca, który by twój fotel popychał, i moglibyśmy chodzić sami, a ogród pozostałby naszą tajemnicą.

- To byłoby wspaniale - rzekł Colin bardzo wolno z rozmarzonymi oczyma. - Wspaniale. Świeże powietrze w tajemniczym ogrodzie nie zaszkodziłoby mi na pewno.

Mary wracała do równowagi i poczuła się bezpieczniejsza, ponieważ myśl o zachowaniu tajemnicy zdawała się trafiać chłopcu do przekonania. Była pewna, że jeśli dalej będzie opowiadać i jeśli zdoła opisać mu ogród takim, jakim go widziała, to chłopiec tak się do tego ogrodu zapali, że nie zniesie po prostu myśli, by ktokolwiek mógł wejść tam prócz nich dwojga.

- Powiem ci, jak wyobrażam sobie ten ogród, jak on będzie wyglądał, kiedy uda się nam do niego dostać - rzekła. - Był tak długo zamknięty, że wszystko zapewne rozrosło się tworząc nieprzebytą gęstwinę...

Colin leżał spokojnie i słuchał, a Mary mówiła dalej o różach, które z pewnością pięły się od drzewa do drzewa i tworzyły festony, oraz o niezliczonej ilości ptaków, które pewnie pobudowały tam sobie gniazda, jako w miejscu całkiem bezpiecznym. Potem opowiedziała mu o rudziku i Benie Weatherstaffie, a o rudziku tak było dużo do mówienia, temat zaś był tak łatwy i bezpieczny, że się już zupełnie przestała lękać. Opowiadanie o rudziku bardzo się chłopcu podobało. Jego zawsze smutną twarz tak rozjaśnił uśmiech, że stała się śliczna, chociaż z początku Mary zdawało się, iż Colin jest jeszcze brzydszy od niej z tymi zbyt wielkimi oczyma i gęszczem loków nad czołem.

- Nie wiedziałem, że ptaki mogą być takie mądre - powiedział. - Ale jak się siedzi wyłącznie w pokoju, to się o niczym nie wie. Ty wiesz mnóstwo rzeczy! Wydaje mi się, że ty już byłeś w tym ogrodzie.

Mary nie wiedziała, co odrzec, więc umilkła. On zaś widocznie nie oczekiwał odpowiedzi, a po chwili sprawił jej niespodziankę.

- Chcę ci coś pokazać - powiedział. - Czy widzisz tę zasłonę na ścianie nad kominkiem?

Mary nie spostrzegła jej przedtem. Teraz dopiero zauważyła kawał miękkiego czerwonego jedwabiu, osłaniającego coś, co przypuszczalnie było obrazem.

- Widzę - odpowiedziała.

- Tam z boku jest sznur - wyjaśnił Colin. - Idź i pociągnij go.

Mary podeszła z ciekawością i pociągnęła sznur. Jedwabna zasłona rozsunała się i oczom ukazał się portret młodej kobiety o roześmianej twarzy. Jej jasne włosy związane były błękitną wstążką, a wesołe, śliczne oczy zupełnie były podobne do smutnych oczu chłopca - też szare jak agaty, duże i ocienione długimi rzęsami.

- To moja mama - smutno rzekł Colin. - Nie wiem, czemu zmarła. Czasem nienawidzę jej za to, że mi taką krzywdę wyrządziła!

- Mówisz dziwne rzeczy! - zawołała Mary.

- Gdyby ona żyła, na pewno nie byłbym ciągle chory - skarżył się. - I przypuszczam, że nie musiałbym umierać. A ojciec nie patrzyłby na mnie z nienawiścią. I sądzę, że miałbym silne, proste plecy... Zaciągnij zasłonę.

Mary zrobiła, jak kazał, i wróciła na fotel.

- Ona jest o wiele ładniejsza niż ty - rzekła - ale jej oczy są zupełnie takie jak twoje, w każdym razie mają taki sam kształt i kolor. Czemu ten portret jest zasłonięty?

Poruszył się niecierpliwie.

- To ja kazałem tak zrobić - odparł. - Czasami nie lubię, jak na mnie patrzy. Znadto jest uśmiechnięta, kiedy ja jestem nieszczęśliwy i chory. Poza tym to moja matka i nie chcę, żeby ktokolwiek na nią patrzył.

Nastąpiła chwila milczenia, po czym Mary odezwała się:

- Co by to było, gdyby pani Medlock się dowiedziała, że jestem tutaj?

- Zrobiłaby to, co bym jej~ kazał. A ja bym jej powiedział, że chcę, żebyś co dzień do mnie przychodziła i rozmawiała ze mną. Bardzo rad jestem, że przyszłaś.

- Ja też się cieszę - rzekła Mary. - Będę przychodziła, gdy tylko będę mogła, ale - zawahała się - muszę co dzień szukać tamtej furtki.

- Tak jest, musisz szukać - zgodził się Colin. - A potem będziesz mi o wszystkim opowiadać.

Poleżał chwilę, rozmyślając jak przedtem, potem znów zaczął:

- Myślę, że zachowam w tajemnicy twoje odwiedziny. Nic im nie powiem, póki się sami nie dowiedzą. Mogę zawsze wysłać pielęgniarkę z pokoju i powiedzieć, że chcę być sam. Czy znasz Marthę?

- Tak. Znam ją bardzo dobrze. Ona mi służy.

Wskazał skinieniem głowy na drugą stronę korytarza.

- To ona właśnie śpi tam, w drugim pokoju. Pielęgniarka poszła wczoraj na noc do swojej siostry. Martha zawsze jest przy mnie, gdy tamta wychodzi, i powie ci, kiedy możesz

do mnie przyjść.

Teraz dopiero Mary zrozumiała, co znaczył wzrok Marthy, gdy ją pytała o dochodzący skądś płacz.

- Martha wie od dawna o tobie? - spytała.

- Tak. Ona mi często służy. Pielęgniarka lubi wychodzić, a wtedy przychodzi Martha.

- Zasiadłam się - powiedziała Mary - Czy mam już odejść? Wyglądasz na sennego.

- Chciałbym zasnąć, dopóki tu jesteś - rzekł trochę nieśmiało.

- Zamknij oczy - rozkazała Mary przysuwając swój fotel bliżej - a ja będę robiła to, co robiła zwykle moja Ayah w Indiach. Będę cię trzymać za rękę i głaskać, i cichuteńko coś śpiewać.

- Myślę, że to będzie przyjemne - rzekł sennym głosem.

Mary zrobiło się go żal i nie chciała, by leżał bezsennie, pochyliła się więc nad łóżkiem, poczęła głaskać go po rękę i nucić cichutko hinduską piosenkę.

- Jakie to śliczne! - mówił coraz bardziej sennie, a ona dalej nuciła i głaskała go, aż ciemne rzęsy chłopca opadły na oczy i Colin zasnął. Mary ostrożnie wstała, wzięła świecę i bezszelestnie wysunęła się z pokoju.

ROZDZIAŁ XIV

MŁODY RADŹA

Wrzosowiska otulone były mgłą, gdy nadszedł ranek, a deszcz nie przestawał padać. Nie było mowy o wyjściu na dwór. Martha tak była zajęta, że Mary nie miała możliwości z nią pomówić, więc poprosiła ją, by po południu przyszła posiedzieć u niej w pokoju. Martha przyszła przynosząc z sobą pończochy, które zawsze cerowała, jeżeli nie była zajęta czymś innym.

- No, co tam u panienki nowego? - spytała, skoro tylko usiadła. - Taką panienka ma minę, jakby mi miała coś do powiedzenia.

- Bo też mam. Wiem już, kto wtedy płakał. Odkryłam wszystko - rzekła Mary.

Martha opuściła cerowaną pończochę na kolana i spojrzała przerażona.

- Nie! - krzyknęła. - Niemożliwe!

- Słyszałam znowu płacz w nocy - ciągnęła dalej Mary. Wstałam więc i poszłam sprawdzić, skąd pochodzi. To Colin płakał. Znalazłam go.

Przerażona twarz Marthy okryła się szkarłatem.

- Och, panno Mary! - zawołała płacząc prawie. - Nie trzeba było tego robić, nie trzeba było! To mi może zaszkodzić! Nigdy panience nic o nim nie mówiłam, a jednak może mi to zaszkodzić. Stracę miejsce i co matka ze mną pocźnie!

- Nie stracisz miejsca - uspokajała Mary. - Colin ucieszył się, że przyszedłam. Nie mogliśmy się dość nagadać i on powiedział, iż jest rad, że przyszedłam.

- Ucieszył się? Czy panienka jest tego pewna? Panienka nie wie, jaki on jest, jak mu się coś nie podoba. Jest za duży, żeby beczeć jak małe dziecko, ale jak się rozzłości, to drze się tak, że można się wystraszyć. On wie, że przy nim człowiek boi się oddychać.

- Ale on wcale nie był zły - rzekła Mary. - Spytałam go, czy mam odejść, a on mnie poprosił, bym została. Pytał mnie o różne rzeczy, a ja siedziałam na dużym fotelu i opowiadałam mu o Indiach i o rudziku, i o ogrodach. Nie chciał mnie puścić. Pokazał mi portret swojej matki. Zanim odeszłam, nuciłam mu kołysankę, żeby zasnął.

Martha zaniemówiła wprost ze zdumienia.

- Ledwie mi się to wszystko może w głowie pomieścić! - wołała. - To przecież tak, jakby panienka weszła do jaskini lwa. Gdyby Colin był taki, jaki jest najczęściej, toby wpadł w furję i obudził cały dom. On nie chce, żeby obcy na niego patrzyli.

- Mnie pozwolił patrzeć na siebie. Cały czas patrzyłam na niego, a on na mnie.

Patrzyliśmy sobie w oczy!

- Nie wiem, co teraz począć! - lamentowała Martha. - Jak się pani Medlock dowie, to pomyśli, że nie posłuchałam rozkazu i wypaplałam panience, i odeśle mnie do matki.

- On pani Medlock nic na razie nie powie. Wszystko ma do czasu pozostać tajemnicą - rzekła Mary stanowczo. - A mówił też, że wszyscy tutaj muszą spełniać to, co on chce.

- Co to, to prawda! Szkaradny chłopak! - westchnęła Martha, ocierając fartuchem pot z czoła.

- Powiedział mi, że pani Medlock musi go słuchać. Chce, żebym co dzień przychodziła porozmawiać z nim, a ty mi masz mówić, kiedy mogę przyjść.

- Ja! - zawołała Martha. - O Boże mój! Stracę miejsce, stracę na pewno!

- Nie możesz stracić miejsca, jeśli zrobisz to, co on chce, a wszyscy przecież mają przykazane, żeby go słuchać - dowodziła Mary.

- Czy panienka chce powiedzieć, że był dla panienki grzeczny? - pytała Martha, szeroko otwierając oczy.

- Zdaje mi się nawet, że mnie polubił - odparła Mary. - No, to musiała go panienka chyba zaczarować! - zdecydowała Martha oddychając z ulgą.

- Czy masz na myśli czary? - spytała Mary. - Słyszałam o czarownikach w Indiach, ale ja nie potrafię robić tego, co oni. Po prostu weszłam do jego pokoju i byłam taka zdziwiona, kiedy go ujrzałam, że stanęłam i wgałębiałam się w niego, a on także patrzył na mnie. Z początku myślałam, że jestem duchem albo sennym widziadłem, a ja to samo sobie myślałam o nim. Takie to było dziwne - nagle znaleźć się razem pośród nocy, nic o sobie nawzajem nie wiedząc. Potem zaczęliśmy rozmawiać, a kiedy go spytałam, czy mam odejść, powiedział, że nie.

- Świat się kończy! - jęknęła Martha.

- Co mu jest? - spytała Mary.

- Nikt tego dobrze nie wie - objaśniała Martha. - Pan Craven od zmysłów odchodził, gdy on przyszedł na świat. Doktorzy myśleli, że go trzeba będzie zamknąć w domu obłąkanych. A to wszystko przez to, że pani Craven umarła, jak już to panience opowiadałam. Pan nawet nie chciał spojrzeć na synka. Był nieprzytomny, mówił, że dziecko będzie garbate jak on i że lepiej by było, gdyby się nie urodziło.

- A czy Colin jest garbaty? Nie wygląda na to - rzekła Mary.

- Teraz jeszcze nie jest - powiedziała Martha. - Ale przyszedł na świat w złą godzinę. Matka mówi, że najzdrowsze dziecko mogło ucieść, tyle było zamieszania i rozpaczki w domu. Ciągłe się bali, że Colin ma słaby krzyż, ciągle się z nim cackali, kazali mu leżeć, nie

pozwalali chodzić. Potem kazali mu nosić jakąś maszynę do prostego trzymania się, ale go to tak męczyło, że się rozchorował. Później znów przyjechał taki sławny doktor i kazał mu to wszystko zdjąć. Mówił ostro do tego pierwszego doktora, choć niby grzecznie. Uważał, że dziecku dają za dużo leków i że za bardzo mu na wszystko pozwalają.

- Zdaje mi się, że jest bardzo rozkapryszony.

- To najgorsze chłopaczysko pod słońcem! - zawołała Martha. - Ale i prawda, że dużo chorował. Już ze dwa albo trzy razy mało nie umarł z zaziębienia. Miał też gorączkę z reumatyzmu. Przechodził nawet tyfus. Oj, pani Medlock najadła się wtedy strachu! Powiedziała do pielęgniarki, myśląc, że on jej nie słyszy: „Teraz to już na pewno umrze - ale tak będzie lepiej i dla niego, i dla nas wszystkich”. Spojrzała na niego, a Colin leży z szeroko otwartymi oczyma i patrzy na nią zupełnie przytomnie. Nie wiedziała, co z tego będzie, ale on tylko na nią popatrzył i powiedział: „Proszę mi podać wody i przestać gadać!”.

- Czy myślisz, że on naprawdę prędko umrze? - zapytała Mary.

- Matka mówi, że trudno, żeby mogło wyżyć dziecko, które nie wychodzi na świeże powietrze, nic nie robi, tylko leży, ogląda książki z obrazkami i łyka lekarstwa. On dlatego jest taki słaby, a nie lubi, żeby go wynosili do ogrodu, bo łatwo się zaziębia i ciągle choruje.

Mary siedziała patrząc w ogień.

- Ciekawa jestem - rzekła z wolna - czy dobrze by mu zrobiło, gdyby chodził do ogrodu i patrzył, jak rosną rośliny. Mnie to dobrze zrobiło.

- Jeden z najgorszych napadów - ciągnęła dalej Martha - miał wtedy, gdy go raz zawieźli do tych róż przy fontannie. Wyczytał w jakiejś książce, że ludzie dostają „rózanej gorączki”, i zaczął kichać, a potem powiedział, że właśnie dostał tej gorączki. A jak kiedyś nowy ogrodnik, który nie znał jeszcze tutejszych zwyczajów, nadszedł i jął mu się przyglądać, Colin wpadł w furję i zaczął krzyczeć, że mu garb wyrasta, kiedy na niego patrzą. Tak krzyczał, że naprawdę dostał gorączki i całą noc chorował.

- Jeśli się na mnie kiedykolwiek rozzłości, to nigdy więcej do niego nie pójde - powiedziała Mary.

- Pójdzie panienka, jeśli on będzie tego chciał - odrzekła Martha. - Może panienka być pewna.

Wkrótce potem zadzwieczał dzwonek i dziewczyna pozbierała cerowanie.

- Pewno pielęgniarka chce, żebym z nim posiedziała - rzekła. - No, mam nadzieję, że będzie w dobrym humorze.

Wyszła z pokoju, lecz po upływie jakichś dziesięciu minut wróciła zakłopotana.

- Naprawdę oczarowała go panienka - oświadczyła. - Siedzi na kanapie z książką,

kazał pielęgniarkę pójść i wrócić dopiero o szóstej, a jak tylko ona wyszła, zawołał mnie z sąsiedniego pokoju i mówi: „Chcę, żeby Mary Lennox przyszła do mnie porozmawiać, ale pamiętaj, żebyś o tym nikomu nie mówiła”. Niech panienka idzie czym prędzej.

Mary pobiegła ochotczo. Nie pragnęła wprawdzie tak bardzo zobaczyć Colina, jak na przykład Dicka, lecz chętnie skorzystała z zaproszenia.

Gdy weszła, jasny ogień płonął na kominku, a pokój wydał się jej przy świetle dziennym bardzo piękny. Dywany, portiery, książki na półkach, wszystko było barwne i nadawało całości wygląd jasny i pogodny, pomimo zachmurzonego nieba i deszczu padającego na dworze. Colin sam wyglądał jak obrazek. Miał na sobie miękkie, welwetowe ubranko i siedział wsparty na haftowanych poduszkach. Policzki mu pałały.

- Chodź! - zawołał. - Całe rano o tobie myślałem!

- Ja też myślałam o tobie - brzmiała odpowiedź Mary. Nie masz pojęcia, jak strasznie Martha się boi. Ona mówi, że pani Medlock pomyśli, że to ona mi o tobie powiedziała, a wtedy na pewno straci, miejsce.

Chłopiec zmarszczył czoło.

- Idź i zawołaj ją tutaj - rzekł. - Ona jest w sąsiednim pokoju.

Mary poszła i przyprowadziła Marthę; pod biedną dziewczyną nogi dygotały.

Colin wciąż był nachmurzony.

- Czy masz robić to, czego ja chcę, czy nie? - zapytał ostro.

- Tak”, - wyjąkała Martha, czerwieniąc się jak burak.

- Czy Medlock ma robić to, czego ja chcę?

- Tak, sir, i ona, i wszyscy - brzmiała odpowiedź.

- No dobrze. Zatem jeżeli każę przyprowadzić tu pannę Mary, to dlaczego Medlock ma cię wydalić, gdyby się o tym dowiedziała?.

- Proszę nie pozwolić jej tego zrobić, sir - błagała Martha.

- To ja wydałem ją, gdyby ośmieliła się słówko pisnąć - rzekł młody pan Craven wyniośle. - A mogę cię zapewnić, że nie ma na to najmniejszej ochoty.

- Dziękuję, sir. Chciałam spełnić swój obowiązek - powiedziała Martha dygając.

- Obowiązkiem twoim jest robić to, co ja ci każę - mówił Colin, wbijając się coraz bardziej w dumę. - Będę o tobie pamiętał. Teraz możesz odejść.

Gdy za Marthą zamknęły się drzwi, Colinowi zdało się, że Mary przygląda mu się z podziwem.

- Czemu tak na mnie patrzysz? - zapytał. - O czym myślisz?

- O dwóch sprawach.

- O jakich? Usiądź i opowiedz.

- Po pierwsze o tym - zaczęła Mary sadowiąc się wygodnie - że raz w Indiach widziałam chłopca, który był radżą. Miał szatę naszywaną rubinami, szmaragdami i brylantami. Do swoich sług odzywał się tak jak ty do Marthy. Każdy musiał natychmiast robić to, co mu mały radża rozkazał. Myślę, że gdyby któryś z nich nie usłuchał, toby go chyba zabito.

- Zaraz opowiesz mi coś więcej o radżach - rzekł Colin. Ale najpierw powiedz mi, o czym jeszcze myślałaś.

- Myślałam o tym, jak bardzo różnisz się od Dicka.

- Kto to jest Dick? - spytał. - Co za dziwaczne imię!

O Dicku chyba można mu powiedzieć nie wspominając o ogrodzie? Ona też lubiła, gdy jej Martha o nim opowiadała. Poza tym tęskniła za jego towarzystwem. Opowiadając będzie miała złudzenie, że jest bliżej niego.

- Dick to brat Marthy. Ma dwanaście lat - wyjaśniła. - Nie ma na świecie drugiego takiego chłopca jak on. Umie zaczarować lisy, wiewiórki i ptaki, zupełnie tak samo jak Hindusi zaklinają węże. Gra cichutko na fujarce, a one podchodzą do niego i słuchają.

Na stole leżało kilka dużych książek. Colin sięgnął nagle po jedną.

- Tu na obrazku jest Hindus zaklinający węże! - zawołał. Chodź i zobacz.

Była to piękna książka ze wspaniałymi, kolorowymi obrazkami. Wskazał na jeden z nich.

- Czy on to potrafi? - spytał z ożywieniem.

- Dick gra na fujarce, a one słuchają - wyjaśniała Mary. Ale on nie nazywa tego zaklinaniem. On mówi, że bywając dużo na wrzosowisku, zna zwyczaje zwierząt i tak je lubi, iż mu się czasami zdaje, że sam jest królikiem albo jakimś ptaszkiem. A rudzika to chyba pytał o różne rzeczy. Zupełnie jakby z sobą rozmawiali ćwierkaniem.

Colin oparł się o poduszki, oczy mu błyszczały, rumieńce paliły twarz.

- Opowiedz mi jeszcze o nim - poprosił.

- Dick wie wszystko o ptasich gniazdach - ciągnęła dalej Mary. - Wie, gdzie mieszkają lisy, wydry, borsuki. Trzyma to jednak w tajemnicy, żeby inni chłopcy nie znaleźli ich nor i nie wypłoszyli małych. Dick wie wszystko o wszystkim, co żyje i rośnie na wrzosowisku.

- Czy on lubi wrzosowisko? - spytał Colin. - Jak można lubić takie wielkie, smutne pustkowia!

- Ależ to cudowne miejsce! - zaprzeczyła Mary. - Rosną tam tysiące pięknych roślin, żyją tysiące miłych stworzeń, które budują gniazda, wykopują jamki, ćwierkają, śpiewają i

nawołują się wzajemnie. A wszystkie są takie zajęte i tak świetnie się bawią: pod ziemią, na drzewach, we wrzosach, wszędzie! To ich świat!

- Jak ty to wszystko dobrze znasz! - zawołał Colin.

- Prawdę mówiąc, wcale tam jeszcze nie byłam - rzekła Mary, jakby coś sobie nagle przypominając. - Przejeżdżałam tylko przez wrzosowisko po ciemku i wydało mi się okropne. Dopiero Martha zaczęła mi o nim opowiadać, a potem Dick. Jak Dick zacznie mówić, to tak, jakby się widziało i słyszało to wszystko, jakby się tam stało wśród wrzosów w pełnym słońcu, czuje się woń janowca, co pachnie jak miód - a wszędzie jest pełno pszczoł i motyli.

- Jak się jest chorym, to nic się nie widzi - powiedział Colin prędko.

Wyglądał jak ktoś, kto słyszy z daleka jakiś nieznany dźwięk, lecz nie wie, co on oznacza.

- Pewnie, że nic nie widzisz, jeśli nie opuszczasz swego pokoju - odparła Mary.

- Nie mogę pojechać na wrzosowisko - rzekł z bezsilnym smutkiem.

Mary milczała chwilę, potem odezwała się śmiało:

- Mógłbyś kiedyś pojechać.

Colin poruszył się zdumiony.

- Na wrzosowisko? Ja miałbym tam pojechać? Ja? Przecież niedługo mam umrzeć!

- Skąd wiesz? - rzekła Mary chłodno.

Nie podobał jej się jego sposób mówienia o śmierci, nie budził współczucia. Miała wrażenie, że Colin niemal pyszni się tym i chwali. - Ciągłe to słyszę - odparł zjadliwie. - Odkąd pamiętam, wszyscy szepcą o tym i zdaje im się, że to uchodzi mojej uwagi. Przy tym chcieliby, żebym umarł.

W Mary wstąpił duch przekory. Zacięła mocno usta.

- Gdyby to mnie życzyli śmierci - rzekła - tobym właśnie na złość nie chciała umrzeć. Zresztą kto chce, żebyś umarł?

- Cała służba, a także doktor Craven, bo wie, że wtedy odziedziczyłby Misselthwaite i byłby bogaty, a nie biedny jak teraz. Nie mówi tego, ale zawsze staje się weselszy i w lepszym humorze, gdy mnie jest gorzej. Jak miałem tyfus, to bardzo przytył. Myślę, że nawet ojciec wołałby, żebym umarł.

- Nie wierzę w to - zaprzeczyła Mary uparcie.

Colin znów się odwrócił i spojrzał na nią.

- Nie wierzysz? Naprawdę? - spytał.

Mocniej wsparł się o poduszki i milczał, jakby nad czymś rozmyślał. Nastąpiła długa cisza. Zapewne oboje myśleli o rzeczach dziwnych, o jakich nigdy dzieci nie myślą.

- Bardzo lubię tego sławnego doktora z Londynu za to, że ci kazał zdjąć ten żelazny przyrząd - odezwała się wreszcie Mary. - Czy i on powiedział, że umrzesz?

- Nie.

- A co mówił?

- Przede wszystkim nie szeptał - odparł Colin. - Może wiedział, że nie cierpię szeptów. Słyszałem, jak głośno powiedział: „Chłopiec będzie żył, tylko trzeba na niego odpowiednio oddziaływać, żeby był weselszy”. Sprawiał wrażenie oburzonego.

- Ja wiem, kto by cię na pewno rozweselił - rzekła po namyśle Mary. Chciała, by ta sprawa rozstrzygnęła się tak czy inaczej. - Dick by to potrafił. On mówi o życiu, o tym, co żyje. Nigdy nie mówi o śmierci lub chorobach. Patrzy zawsze w niebo, by się przyglądać ptakom, lub na ziemię, by zobaczyć, jak rosną kwiaty. Ma takie okrągłe, niebieskie oczy i tak serdecznie się śmieje. I ma takie szerokie usta i takie rumiane policzki jak wiśnie.

Przysunęła fotel bliżej sofy. Twarz jej się rozjaśniła na wspomnienie pełnych ust i szeroko otwartych oczu Dicka.

- Posłuchaj mnie - powiedziała. - Nie mówmy już o umieraniu. Nie lubię tego. Mówmy o życiu. Mówmy o Dicku. A potem będziemy oglądali obrazki.

Pomysł był doskonały. Mówić o Dicku znaczyło tyle, co mówić o wrzosowisku i o chacie, w której mieszka czternaścioro ludzi żyjących z szesnastu szylingów na tydzień, i o dzieciach, które żyły jak dzikie kuce na wrzosowiskach, i o matce Dicka, i o skakance, i o wrzosach, skąpanych w promieniach słońca, i o bladozielonych kielkach, wychylających główki z czarnej ziemi. A wszystko to było tak pełne życia, że Mary mówiła tyle, co nigdy. Colin też stał się bardziej rozmowny i słuchał coraz pilniej. Potem zaczęli się śmiać z niczego - zwyczajnie jak dzieci, które cieszą się, że są razem. A śmiejąc się narobili takiego hałasu, jakby byli dwojgiem zwykłych, zdrowych dziesięcioletnich dzieci, nie zaś niesympatyczną, wątłą dziewczynką i chorowitym chłopcem, przekonanym, że niebawem umrze.

Bawili się tak znakomicie, że zapomnieli o obrazkach, zapomnieli o czasie, Śmieli się do rozpuku z Bena Weatherstaffa i jego rudzika, a Colin siedział najzwyczajniej w świecie, jakby zapomniał, że ma słaby kręgosłup.

Naraz coś sobie przypomniła.

- Wiesz? Nie pomyśleliśmy o jednej rzeczy. Przecież my jesteśmy kuzynami!

Wydawało im się to szalenie zabawne, że tak dużo rozmawiali ze sobą, a o takiej prostej rzeczy zapomnieli; zaczęli się więc śmiać jeszcze głośniejszymi głosami niż poprzednio, wpadli bowiem już w taki doskonały humor, kiedy to człowiek śmieje się z niczego. Naraz wśród tych głośniejszych śmiechów otworzyły się drzwi i do pokoju wkroczyli doktor Craven i pani

Medlock.

Doktor Craven cofnął się przerażony, a pani Medlock o mało nie upadła, gdyż doktor cofając się, silnie ją popchnął.

- W imię Ojca i Syna! - krzyknęła pani Medlock, a oczy mało jej nie wyszły na wierzch. - W imię Ojca i Syna!

- Co to? - rzekł doktor Craven postępując naprzód. - Co to `ma znaczyć?

Mary ponownie przypomniał się młody radża, kiedy Colin odpowiedział z takim spokojem, jakby go zdumienie doktora i przerażenie pani Medlock zupełnie nie obeszły. Nie byłby bardziej opanowany, gdyby do pokoju wszedł na przykład jakiś kot lub pies.

- To moja kuzynka, Mary Lennox. Prosiłem, żeby przyszła trochę ze mną porozmawiać. Lubię ją. Będzie przychodzić tu do mnie, ilekroć będę miał ochotę.

Doktor Craven z wyrzutem spojrzał na panią Medlock.

- Och, panie doktorze! - westchnęła. - Nie wiem, jak to się mogło stać. Nie ma nikogo wśród służby, kto by śmiał o tym powiedzieć. Wszyscy mają rozkaz.

- Nikt jej nic nie mówił - przerwał Colin. - Usłyszała mój płacz i znalazła mnie. Bardzo się ucieszyłem, że przyszła. Dość tych głupstw, Medlock!

Mary widziała niezadowolenie doktora Cravena, ale było też jasne jak słońce, że i on nie śmie się sprzeciwić swemu pacjentowi. Usiadł przy chłopcu i wziął go za puls.

- Lękam się, że podniecenie było zbyt wielkie. Wszelkie wzburzenie jest dla ciebie niewskazane, mój chłopcze - dodał.

- Wzburzę się dopiero, jak Mary odejdzie - odparł Colin, a oczy poczęły mu błyszczeć złowrogo. - Teraz przyniosą jej kolację tutaj. Zjemy razem.

Pani Medlock i doktor Craven spoglądali na siebie zaniepokojeni, lecz widoczne było, że są bezradni.

- Może on rzeczywiście trochę lepiej wygląda, panie doktorze - odważyła się powiedzieć pani Medlock. - Co prawda, już rano - dodała po namyśle - zanim panienka tu przyszła, wyglądał lepiej.

- Mary przyszła tu dziś w nocy i była długo. Śpiewała mi hinduską piosenkę i to pomogło mi zasnąć - rzekł Colin. Czuję się dziś po przebudzeniu o wiele lepiej. Zjadłem chętnie śniadanie, a teraz zjem z apetytem kolację. Medlock, proszę zawołać pielęgniarkę.

Doktor Craven nie zabawił długo. Porozmawiał chwilę z pielęgniarką, gdy ta weszła do pokoju, potem dał parę przestróg chłopcu. Nie powinien za wiele mówić; nie powinien zapominać, że jest chory; nie powinien zapominać, że się łatwo męczy. Mary wydawało się, że tych niemiłych rzeczy, o których biedny Colin nie powinien zapominać, jest za dużo.

Colin powstrzymując gniew wysłuchał zaleceń doktora i utkwiał swe dziwne, ocienione długimi rzęsami oczy w jego twarzy.

- Ja właśnie chcę o tym wszystkim zapomnieć - rzekł wreszcie. - Dzięki niej zapominam. Oto dlaczego pragnę jej towarzystwa.

Doktor Craven nie był zadowolony, gdy opuszczał pokój. Zatrzymał nieco zdziwiony wzrok na dziewczynce, siedzącej w głębokim fotelu. Kiedy tylko wszedł do pokoju, Mary stała się znów sztywnym, milczącym dzieckiem, więc nie mógł zrozumieć, co Colina w niej pociągało. Chłopiec miał pogodny wygląd, natomiast doktor wzdychał ciężko, idąc przez korytarz.

- Oni mi zawsze kazać jeść, kiedy mi się nie chce - żalił się Colin, gdy pielęgniarka wniosła kolację i postawiła tacę na stole. - Ale jeśli ty będziesz jadła, to i ja zjem. Te ciastka wyglądają smacznie, są jeszcze ciepłe. Opowiedz mi o radzach.

ROZDZIAŁ XV

BUDOWANIE GNIAZDKA

Po całym tygodniu deszczu ukazała się znów pogodna błękitna kopuła niebieska, a słońce zaczęło silnie przygrzewać. Mary przez cały ten czas bawiła się doskonale, choć nie mogła marzyć o wyjściu do tajemniczego ogrodu i zobaczeniu Dicka. Tydzień prędko jej minął. Po kilka godzin dziennie spędzała z Colinem w jego pokoju, opowiadając mu o radzach albo o ogrodach, albo o Dicku i o chacie na wrzosowisku. Oglądali razem piękne książki z obrazkami, czasem Mary czytała Colinowi, to znów Colin jej trochę czytał. Gdy bywał zajęty i rozbawiony, nie wyglądał wcale na kalekę; to tylko jego twarz, przerażająco blada, oraz leżenie po całych dniach na sofie nadawały mu wygląd chorego.

- Z panienki to wścibskie stworzenie, żeby tak nasłuchiwać i z łóżka wstawać, i chodzić tam, gdzie się coś dzieje - rzekła raz pani Medlock. - Choć, po prawdzie, to błogosławieństwo dla nas wszystkich. Toć on nie miał ani razu napadu furii ani spazmów, odkąd przyjaźni się z panienką. Pielęgniarka już chciała rzucić miejsce, ale teraz chętnie zostanie, bo panienka ją zastępuje i jest przy nim na posterunku - dodała uśmiechając się.

W rozmowach z Colinem Mary była bardzo ostrożna, jeśli chodziło o tajemniczy ogród. Pragnęła dowiedzieć się od niego kilku rzeczy, ale czuła, że lepiej wprost nie pytać. Gdy już polubiła Colina, chciała przede wszystkim przekonać się, czy można powierzyć mu tajemnicę. Nie był ani odrobinę podobny do Dicka, lecz myśl o ogrodzie, o którym nikt nie wiedział, tak bardzo przypadła mu do gustu, że przypuszczalnie można mu będzie zaufać. Nie znała go jednak dostatecznie, by mieć zupełną pewność. Nurtowało ją jeszcze jedno: jeżeli mu można zaufać - całkowicie zaufać - to czy nie udałoby się wziąć go ze sobą do ogrodu, lecz tak, żeby się nikt o tym nie dowiedział? Ów sławny lekarz zalecił mu świeże powietrze, a Colin sam powiedział, że chętnie by się zgodził przebywać na świeżym powietrzu, ale w tajemniczym ogrodzie. Kto wie? Może gdyby miał dużo świeżego powietrza i znał Dicka i rudzika, i gdyby widział młode, wschodzące rośliny, to nie myślałby wciąż o śmierci.

Mary, przeglądając się w lustrze ostatnimi czasy, przekonała się, że zupełnie nie przypomina już wątłego dziecka, które przybyło z Indii. Była teraz o wiele ładniejsza. Nawet Martha dostrzegła w niej zmianę.

- Powietrze znad wrzosowiska na dobre panience wyszło - stwierdziła pewnego razu. - Już panienka nie jest ani taka żółta, ani taka wątła jak przedtem. Nawet włosy panienki już nie są takie ulizane. One też się ożywiły i zaczęły się trochę falować.

- Tak, przytyłam, a włosy stały się gęstsze - odpowiedziała - I pewnie są też o wiele dłuższe.

- O, to na pewno! - rzekła Martha, poprawiając jej grzywkę nad czołem. - Panienska teraz wcale nie jest szpetna i rumieńce ma na policzkach.

Jeśli ogród i świeże powietrze dobrze zrobiły jej, to może i na zdrowie Colina będą miały dodatni wpływ? Ale cóż! Jeśli on nie znosi, żeby na niego obcy ludzie patrzyli, to może nie zechce wcale widzieć Dicka.

- Czemu się gniewasz, gdy na ciebie patrzą? - zagadnęła Colina pewnego dnia.

- Nie cierpiałem tego nigdy - odparł - nawet gdy jeszcze byłem bardzo mały. Kiedy mnie wywieźli nad morze, leżałem zwykle w wózku i wszyscy na mnie patrzyli, a panie zatrzymywały się i rozmawiały z pielęgniarką. Zawsze zaczynały się szepty, a ja dobrze wiedziałem, o czym mówią: że rychło umrę. Czasami panie głaszały mi po głowie i mówiły: „Biedne dziecko. Razu pewnego, kiedy znów jakaś pani tak powiedziała, wrzasnąłem z całych sił i ugryzłem ją w rękę. Wystraszyła się tak, że uciekła.

- Myślała pewnie, że dostałeś wścieklizny jak pies - rzekła Mary bez zachwytu.

- Wszystko mi jedno, co myślała - oświadczył chłopiec marszcząc czoło.

- Ciekawa jestem, dlaczego nie wrzeszczałeś i nie gryzłeś, gdy weszłam do twego pokoju? - zapytała Mary z uśmiechem.

- Myślałem, że to duch albo zjawa senna - odparł. - Nie można ugryźć ani ducha, ani sennego widziadła, a z krzyku to one nic sobie nie robią.

- A czy mógłbyś znieść, gdyby... jakiś chłopiec na ciebie patrzył? - spytała Mary nieśmiało.

Colin leżał na poduszkach i milczał zamyślony.

- Jest taki chłopiec - zaczął mówić z wolna, jakby ważąc każde słowo - jedyny, którego wzrok nie byłby mi przykry. To ten chłopiec, który wie, gdzie mieszkają lisy: Dick.

- Jestem pewna, że to nie byłoby dla ciebie przykre - rzekła Mary.

- Nie boją się go przecież ani ptaki, ani inne zwierzęta - ciągnął dalej Colin - może więc i ja nie będę się bał jego spojrzenia. On jest jakby zaklinaczem zwierząt, a ja jestem chłopiec - zwierzątko.

Wybuchnął śmiechem, a Mary roześmiała się także. Myśl o chłopcu - zwierzątku, chowającym się w swojej norce, ubawiła ich szczerze.

Mary doznała miłego uczucia, że o Dicka może być spokojna.

Owego pierwszego ranka, gdy niebo się znów wypogodziło, Mary obudziła się bardzo wcześnie. Słońce wpadało do pokoju ukośnymi promieniami przez story, a było w tym świetle tyle jakiejś radości, że dziewczynka wyskoczyła z łóżka i pobiegła do okna. Odsunęła story, otworzyła okno. Świeże, wonne powietrze ogarnęło ją ciepłą falą. Wrzosowisko błękitniało i świat cały wyglądał jak zaczarowany. W powietrzu tu i ówdzie drgały jakieś ledwo dosłyszalne, a przecież wyraźne, czarowne tony i głosy, jakby setki ptaków nastrojały gardziołka, przygotowując się do rozpoczęcia wiosennego koncertu. Mary wystawiła rękę za okno i trzymała ją chwilę w słońcu.

- Jak ciepło! Jak ciepło! - zawołała. - Moje kielki będą rosnać i rosnać, a cebulki i korzenie dopiero teraz zaczną pracować pod ziemią!

Wychyliła się z okna, ile tylko zdołała, oddychając pełną piersią i wciągając w nozdrza woń powietrza, aż naraz poczęła się śmiać, przypomniało się jej bowiem to, co matka Dicka mówiła o czubku jego nosa, który się porusza jak u królika.

„Musi być chyba jeszcze bardzo wcześnie - pomyślała. Obłoki się różowią, a takiego koloru nieba nie widziałam dotąd nigdy. Nikt nie wstał, nawet chłopców stojących jeszcze nie słysząc”.

Nagłą myślą tknięta, oderwała się od okna.

„Nie mogę dłużej czekać. Pójdę obejrzeć mój ogród!”

Nauczyła się już ubierać sama, więc w pięć minut była gotowa. Odryglowała małe, boczne drzwi, zbiegła po schodach tylko w pończoszkach, w sieni dopiero włożyła buciki. Otworzyła ciężkie drzwi wejściowe z łańcucha, odryglowała i szeroko rozwarła, po czym jednym susem przeskoczyła stopnie i oto znalazła się na trawniku, który jakby nagle pozieleniał. Promienie słońca grzały, nad głową płynęły fale wonnego, ogrodowego powietrza. Z drzew i krzaków szedł ku niej śpiew i ćwierkanie ptaków. Klasnęła w dłonie z wielkiej radości i spojrzała w niebo, tak niebieskie, lekko różowe, perłowe i białe, tak przesycone światłem wiosennym, iż miała ochotę śpiewać głośno. Zrozumiała, że rudziki i skowronki też muszą śpiewać z radości. Pobiegła zaroślami i ścieżkami do tajemniczego ogrodu.

- Wszystko już inaczej wygląda - mówiła do siebie. - Trawa się zazieleniła, wszędzie coś kielkuje, coś rośnie, na gałązkach pokazują się zielone pączki. Pewna jestem, że Dick przyjdzie dzisiaj po południu.

Długotrwały, ciepły deszcz wywołał zmiany w kwietnikach pod murem. Różne rośliny zaczęły wypuszczać kielki, tu i ówdzie zabłysła królewska purpura i złoto rozkwitłe wśród łodyżek krokusów. Przed sześcioma miesiącami Mary nie dostrzegłaby, jak świat budzi

się z uśpienia - dzisiaj zauważała wszystko.

Kiedy dotarła do miejsca, gdzie znajdowała się ukryta pod bluszczem furtka, uwagę jej zwrócił donośny, obcy dźwięk, wołanie, dochodzące ze szczytu muru. Mary spojrzała w górę i dostrzegła siedzącego tam ptaka o błyszczącym, granatowoczarnym upierzeniu. Ptak spoglądał na nią z powagą. Mary nigdy przedtem nie widziała gawrona z tak bliska. Krakanie to denerwowało ją. W następnej jednak chwili ptak rozwinął skrzydła i, łopocąc nimi, poleciał przez tajemniczy ogród. Mary miała nadzieję, że ptak nie zatrzyma się tam na dobre, i otworzyła furtkę. Ale gdy znalazła się w ogrodzie, pomyślała, że gawron chyba tu jednak pozostanie, gdyż przysiadł na karłowatej jabłoni i, razem z siedzącym pod drzewem rudym stworzonkiem o puszystym ogonie, zaczął przyglądać się pochylonej postaci i rudej czuprynie Dicka, który klęczał na trawie, pracując w pocie czoła.

Mary jednym susem znalazła się przy nim.

- Och! Dicku! Dicku! - zawołała. - Jak zdołałeś tak wcześnie tu przyjść? Przecież słońce dopiero co wzeszło!

Powstał z klęcek uśmiechnięty, rozpromieniony, z potarganą czupryną i oczyma jak dwie plamy błękitu.

- Ojej! - odparł. - Wstałem dziś jeszcze przed świtem. Nie mogłbym wyleżeć w łóżku. Toć świat jakby się dziś na nowo narodził. Wszędzie tyle ruchu, brzęczenia, pisku, szumu i zapachów, że aż człowieka z łóżka wyciąga. Wrzosowisko oszalało z radości, gdy słońce się pokazało; byłem wśród wrzosów i sam jak oszalały biegłem pohukując i śpiewając. I przyszedłem prosto tutaj. Nie mogłem wytrzymać. Ten ogród na nas czeka!

Mary przycisnęła ręce do serca. Oddychała prędko, jakby po szybkim biegu.

- Och, Dicku! Dicku! - zawołała radośnie. - Jestem taka szczęśliwa, że tracę głowę.

Zwierzátko z puszystym ogonem, widząc chłopca rozmawiającego z kimś obcym, ruszyło spod drzewa i podeszło do niego blisko, gawron zaś sfrunął z gałązki i siadł mu na ramieniu.

- To ten młody lisek - objaśnił Dick, drapiąc łebek zwierzątka. - Nazywa się Kapitan. A to jest Sadza. I ona, i Kapitan biegli za mną przez wrzosa, jakby je charty goniły. Oboje czuli to samo, co ja.

Zwierzęta zdawały się wcale nie lękać Mary. Gdy Dick zaczął chodzić, Sadza siedziała mu spokojnie na ramieniu, Kapitan zaś dreptał u jego boku.

- Niech panienka spojrz, jak to tutaj podrosło - rzekł Dick. - Albo tu! Proszę teraz spojrzeć tutaj!

Mówiąc to Dick uklęknął, a Mary przyklęknęła obok niego. Natrafili na dużą kępę

różnobarwnych krokusów. Mary schyliła głowę i poczęła z zapalem całować kwiatki.

- Człowieka nie można by tak całować - rzekła podnosząc głowę. - Ale kwiaty to zupełnie co innego.

Chłopiec był zdumiony, lecz uśmiechnął się.

- O Boże! Nieraz tak całowałem matkę - mówił - gdy wracałem z wrzosowiska po całodzienniej bieżaninie, a ona stała w drzwiach, oblana słońcem, taka pogodna i dobra!

Biegali z jednej strony ogrodu na drugą i znajdowali tyle dziwów, iż wciąż musieli sobie przypominać, że przecież tutaj mówić mogą tylko szeptem. Dick pokazywał nabrzmiewające pączki liści na różanych krzakach, które wydawały się uschnięte, i niezliczone nowe kielki, wychylające się z czarnej gleby. Ciekawskie nosy przytykali blisko ziemi, wdychając jej wiosenne wonie, kopali, plewili i śmiali się radośnie, aż włosy Mary potargały się tak samo jak czupryna Dicka, a jej policzki rozkwitły jak dwa czerwone maki.

Tego ranka w tajemniczym ogrodzie było co niemiara radości, a wśród tego wesela zdarzyło się coś uroczego i zarazem zdumiewającego. Przez mur przefrunął łagodnie i jak strzała zapadł ukosem w najgłębszej zadrzewiony kąt cień ptaszka z czerwoną piersią, niosącego coś w dziobku. Dick stanął nieruchomo, kładąc rękę na ramieniu Mary, jakby naraz spostrzegł, że się śmieją w świątyni.

- Nie ruszajmy się! - szepnął. - Powinniśmy teraz nawet oddychać ostrożnie. Jak go ostatni raz widziałem, to zaraz domyśliłem się, że szuka sobie żony. To rudzik Bena. Zakłada gniazdo. Zostanie tutaj, jeśli go nie spłoszymy.

Usiedli na trawie i siedzieli nieporuszenie.

- Musimy udawać, że mu się nie przypatrujemy - mówił Dick. - Gdyby spostrzegł, że go podglądamy, nasza przyjaźń z nim skończyłaby się. On się zmienił, bo zakłada własne gospodarstwo. Będzie płochliwy i podejrzliwy. Nie ma czasu na wizyty i plotki. Musimy cichutko siedzieć i starać się wyglądać jak trawa, drzewo czy krzak. Potem, gdy przywyknie do naszego widoku, zaćwierkam cichutko. Będzie wtedy wiedział, że mu nic złego nie zrobimy i nie wejdziemy w drogę.

Mary nie była pewna, czy potrafi tak jak Dick upodobnić się do trawy, drzewa lub krzewu, lecz ponieważ mówił o tym jak o rzeczy najzwyczajniejszej w świecie, Mary czekała przez kilka minut, czy naprawdę nie stanie się zielony i nie wypuści gałązek i liści. Ale Dick siedział tylko nieruchomo, a mówiąc zniżał głos do tonów tak cichych i miękkich, że ledwo mogła go dosłyszeć.

- Budowanie gniazd także należy do wiosny - mówił. Ręczę, że tak samo było od początku świata. Ptaki mają swoje sposoby myślenia i działania, a ludzie nie powinni się do

nich mieszać. Wiosną można łatwiej stracić przyjaciela niż w jakiegokolwiek innej porze roku, jeśli się jest zbyt ciekawym.

- Nie rozmawiajmy o rudziku, bo będę mimowolnie na niego patrzeć - rzekła Mary, jak mogła najciszej. - Mówmy o czym innym. Chcę ci coś powiedzieć.

- On by też wołał, żebyśmy mówili o czym innym. Co mi panienka chce powiedzieć?

- Co wiesz o Colinie? - spytała szeptem.

Odwrócił głowę i spojrzał na nią.

- A co panienka wie o nim? - zapytał.

- Widziałam go. Przez ten tydzień co dzień z nim rozmawiałam. On chce, bym do niego przychodziła. Mówi, że gdy mnie widzi, to zapomina o tym, że jest chory i umierający.

Gdy pierwsze zdumienie minęło, Dick doznał uczucia wielkiej ulgi.

- Bardzo się z tego cieszę - powiedział. - Z całego serca się cieszę. Teraz będzie mi łatwiej. Wiedziałem, że mi o nim mówić nie wolno, a nie lubię nic ukrywać.

- A nasza tajemnica tego ogrodu? - złękła się Mary.

- Nigdy bym jej nie wyjawiał - odrzekł. - Ale powiedziałem matce: „Mamo, mam tajemnicę, której nie mogę wydać. Nie jest to nic złego ani brzydkiego. To tak, jakbym ukrywał, gdzie znajduje się gniazdo jakiegoś ptaka. Nie gniewasz się na mnie, prawda?”.

Mary zawsze była ciekawa słów matki Dicka.

- A cóż ci odpowiedziała? - zapytała, nie obawiając się usłyszeć czegoś nie po swojej myśli.

Dick uśmiechnął się błogo.

- Z góry można było przewidzieć, co powie - odparł. - Poglaskała mnie po głowie, roześmiała się i rzekła: „Moje dziecko, wolno ci mieć swoje sekrety - przecież znam cię już dwanaście lat”.

- A skąd dowiedziałeś się o Colinie? - dopytywała się Mary.

- Każdy, kto zna pana Cravena, wie, że ma syna, który będzie kaleką, i wszyscy wiedzą, że pan Craven nie lubi, gdy się o tym mówi. Ludzie żałują jaśnie pana, bo pani Craven była śliczna i młoda i oni bardzo się kochali. Pani Medlock zatrzymuje się zawsze u nas, gdy jedzie do Thwaite, i rozmawia z matką w naszej obecności, bo wie, że matka nas tak wychowała, że nam można zaufać. Ale jak się panienka o nim dowiedziała? Martha była okropnie kiedyś przerażona, gdy przyszła do nas. Mówiła, że panienka słyszała, jak on krzyczał, i pytała, co to znaczy, a ona nie wiedziała, co odpowiedzieć.

Wtedy Mary opowiedziała mu, jak pewnej nocy obudził ją wiatr, jak usłyszała daleki płacz, który ją prowadził przez ciemne korytarze, jak zawędrowała ze świeczką aż do tamtych

drzwi. Opowiedziała, jak otworzywszy te drzwi znalazła się w przyćmionym pokoju z ozdobnym łóżem z baldachimem wspartym na czterech kolumnkach. Gdy poczęła opisywać bladą, jakby rzeźbioną w kości słoniowej twarzyczkę i dziwne, ocienione czarnymi rzęsami oczy, Dick tylko głową kręcił.

- Mówią, że ma takie same oczy jak jego matka, tylko że jej oczy były roześmiane i wesołe - powiedział. - Mówią też, że pan Craven nie może znieść widoku syna, kiedy ten nie śpi, a to właśnie przez te oczy - takie podobne do oczu matki, a jednak takie inne w tej smutnej, wymizerowanej twarzy.

- Czy myślisz, że pan Craven chciałby, żeby jego syn umarł? - szepnęła Mary.

- Nie, ale w każdym razie wolałby, żeby się nigdy nie był urodził. Matka mówi, że to jest najgorsze, co może być dla dziecka. Dzieci, których się nie pragnie, rzadko kiedy długo żyją. Pan Craven kupiłby Colinowi wszystko, co za pieniądze dostać można, ale wolałby zapomnieć, że jego syn żyje. Przy tym boi się, że Colinowi pewnego dnia wyrośnie garb.

- Colin sam tak się tego boi, że nawet nie chce siadać - rzekła Mary. - Zawsze mówi, że gdyby poczuł, iż mu coś rośnie na plecach, toby zwariował i na śmierć się zapłakał.

- Nie powinien lamentować i rozmyślać o takich rzeczach - zauważył Dick. - Najzdrowszy chłopiec mógłby się rozchorować, gdyby ciągle myślał tylko o tym.

Tymczasem lisek leżał w trawie przy Dicku, spoglądając na niego przymilnie, jakby prosząc, aby go od czasu do czasu pogłaskać. Dick pochylił się i łagodnie gładził go po grzbiecie, potem kilka minut rozmyślał w ciszy, w końcu podniósł głowę i rozejrzał się po ogrodzie.

- Gdyśmy tu przyszli pierwszy raz - rzekł - wszystko wydawało się szare. Niech panienka teraz spojrzy i powie, czy jest różnica.

Mary spojrzała i głęboko odetchnęła.

- Och! Ta szara ściana zaczyna się zmieniać! - odparła. Wygląda, jakby ją przesłaniała zielona mgiełka, jakby wszystko otulała zielona gaza.

- No! Tej zieloności będzie coraz więcej i więcej, aż cała szarość zniknie. Czy panienka zgadnie, o czym teraz myślałem?

- Na pewno o czymś ładnym i dobrym - z przekonaniem powiedziała Mary. - Sądzę, że myślałeś o Colinie.

- Przyszło mi do głowy, że gdyby mógł być tu razem z nami, toby wcale nie myślał o swoich plecach. Patrzyłby na pączki róż, które się mają rozwinać, i czułby się zaraz zdrowszy - tłumaczył Dick. - Ciekaw jestem, czyby nam się kiedy udało wprowadzić go w dobry humor i namówić, żeby posiedział sobie tutaj, pod tymi drzewami.

- Ja też już o tym myślałam, odkąd pierwszy raz z nim rozmawiałam - rzekła Mary. - Ciekawa tylko jestem, czy potrafiłby zachować tajemnicę i czyby się nam udało przyprowadzić go tutaj tak, by o tym nikt nie wiedział. Myślałam, że ty byś mógł pchać jego wózek. Doktor powiedział, że Colin powinien przebywać na świeżym powietrzu, i on także chciałby wyjść, ale tylko razem z nami, a jego muszą wszyscy słuchać. On z nikim innym nie chce wychodzić, więc może będą nawet radzi, jeżeli zechce wyjść z nami. Ogrodnikom można kazać nie wchodzić do parku, więc nikt by nas nie podpatrywał.

Dick rozmyślał głęboko, gładząc grzbiet liska.

- Ręczę, że to byłoby znakomite dla jego zdrowia - powiedział. - My przecież wcale nie myślimy, że lepiej, gdyby się wcale nie urodził. Jesteśmy po prostu dwojgiem dzieci, które lubią patrzeć, jak się rozwijają rośliny w ogrodzie, a on byłby trzecim. Dwóch chłopców i jedna dziewczynka, którzy przyglądają się wiośnie. Ręczę, że to byłoby dla niego lepsze niż wszystkie mikstury.

- On od tak dawna leży ciągle w swoim pokoju i tak się lęka o swoje plecy, że zdziwaczał trochę - mówiła Mary. - Z książek dowiedział się różnych rzeczy, ale tak naprawdę, to nic nie wie. Mówi, że był zbyt chory, żeby móc przyglądać się światu naokoło, a zresztą nienawidzi wychodzenia na dwór, nie cierpi parku i ogrodników. Lubi jednak słuchać o naszym ogrodzie, bo to ogród tajemniczy. Nie mogłam opowiadać mu za wiele, ale koniecznie chciałby go zobaczyć.

- Już my go tutaj dostawimy, wszystko będzie dobrze - rzekł Dick. - Dla mnie to drobiazg pchać jego wózek. Widziała panienka, jak rudzik i jego samiczka pracowali przez cały czas? Niech panienka spojrzy, jak siedzi i wypatruje, gdzie by złożyć tę gałązkę, co trzyma w dziobku.

Powiedziawszy to Dick wydał cichy dźwięk, jakby łagodne ćwierkanie, rudzik zaś odwrócił główkę i spojrzał pytająco, wciąż trzymając w dziobku gałązkę. I Dick zaczął przemawiać do ptaka jak Ben Weatherstaff, tonem łagodnie pouczającym.

- Gdziekolwiek zbudujesz gniazdko, wszędzie będzie dobrze. Wiedziałeś, jak się gniazdko buduje, zanim jeszcze z jajka się wyklułeś. No, śmiało, mój mały, do roboty. Nie trać czasu!

- Och, jak ja lubię, kiedy z nim rozmawiasz! - śmiała się Mary uszczęśliwiona. - Ben Weatherstaff daje mu ciągle nauki i wyśmiewa się z niego, a on skacze z miną, jakby każde słowo rozumiał, i widać, że to bardzo lubi. Ben mówi, iż on jest taki próżny, że raczej wolałby, aby ciśnięto w niego kamieniem, niż nie zauważono.

Dick śmiał się i mówił dalej do rudzika:

- Dobrze wiesz, że my oboje przeszkadzać ci nie będziemy. My też jesteśmy jakby dwoje zwierzątek albo dwie roślinki. My także budujemy tu sobie gniazdko. Pilnuj się tylko, żebyś nas nie wydał! A choć rudzik nie odpowiedział, bo miał dziobek zajęty, to przecież, gdy odlatywał z gałązką do swojego zakątka w ogrodzie, Mary poznała po jego oczkach błyszczących jak dwa czarne diamenty, że ptaszek za żadne skarby nie zdradziłby ich tajemnicy.

ROZDZIAŁ XVI

„NIE CHCĘ” - POWIEDZIAŁA MARY

Dick i Mary mieli mnóstwo pracy tego rana i Mary spóźniła się na obiad, potem zaś tak się spieszyła z powrotem do swych zajęć, że dopiero w ostatniej chwili przypomniała sobie o Colinie.

- Powiedz Colinowi, że jeszcze nie mogę przyjść do niego - rzekła do Marthy. - Ogromnie jestem zajęta w ogrodzie.

Martha była przestraszona.

- O mój Boże! Panienko! Kiedy powiem to paniczowi, gotów strasznie się rozgniewać.

Ale Mary nie bała go się tak, jak się bali inni, a przy tym nie lubiła się poświęcać.

- Nie mogę siedzieć w domu - odrzekła. - Dick na mnie czeka - i pobiegła.

Popołudnie było jeszcze milsze i pracy było więcej niż rano. Powyrywali już prawie wszystkie chwasty, a drzewa i róże obkopali i oczyścili z suchych gałęzi. Dick przyniósł swoją łopatę, Mary zaś nauczył, do czego służą inne narzędzia i w jaki sposób posługiwać się nimi. Już teraz było widoczne, że choć to urocze, dzikie miejsce nie będzie podobne do wypiełgnowanego ogrodu, stanie się jednak przepięknym gąszczem kwitnącym przez całą wiosnę.

- Będziemy mieli nad głowami powódź kwiatów jabłoni i wisien - rzekł Dick pracując zawzięcie. - Na murach zakwitną porozpinane drzewa brzoskwiniowe i winorośl, a trawniki wyglądać będą jak dywan z różnobarwnych kwiatów.

Kapitan i Sadza były równie zadowolone i zajęte jak Dick i Mary, rudzik zaś i jego samiczka fruwały nieustannie jak dwa lśniące, czerwone płatki maku. Sadza raz po raz łopotała skrzydłami i przelatywała na drzewa parkowe za murem. Wracając z wędrowki siadała blisko Dicka i krakała, jakby mu opowiadała swoje przygody. Dick zaś przemawiał do niej, jak zwykł był przemawiać do rudzika. Gdy za którymś razem, będąc bardzo czymś zajęty, nie odpowiedział jej natychmiast, Sadza usiadła mu na ramieniu i szerokim dziobem pociągnęła go lekko za ucho.

Mary, zmęczona, zapragnęła trochę odpocząć, Dick usiadł z nią na trawie pod drzewem, wyjął fujarkę i cicho zagrał kilka tonów, a w tejże chwili ukazały się na murze dwie wiewiórki patrząc i nasłuchując.

- Panienka jest już teraz o wiele mocniejsza - rzekł Dick, który obserwował ją podczas

pracy. - Panienka teraz zupełnie inaczej wygląda.

Mary promieniała.

- Jestem z dnia na dzień tęzsza - powiedziała radośnie. Pani Medlock będzie musiała sprawić mi szersze sukienki. Martha mówi, że mi włosy urosły i nie są już takie przyklepane i rzadkie.

Kiedy wracali do domu, słońce zaczynało już zachodzić, rzucając na ziemię i drzewa ukośne, czerwonożłote promienie.

- Na jutro zapowiada się piękny dzień - rzekł Dick. O wschodzie słońca będę już przy robocie.

- Ja także - odparła Mary.

Mary biegła do domu co sił. Pragnęła opowiedzieć Colinowi o lisku i o gawronie Dicka, i o cudach wiosny, pewna, że chętnie wszystkiego wysłucha. Toteż nie ucieszyła się wcale, gdy w swoim pokoju zastała Marthę, która na nią czekała ze smutnym wyrazem twarzy.

- No co? - spytała. - Co mówił Colin, gdy mu powiedziałaś, że nie mogę przyjść?

- O mój Boże! - odparła Martha. - Lepiej, żeby panienka do niego poszła. Będzie znów miał z pewnością napad. Miałam z nim całe popołudnie niemało kłopotu, aby go uspokoić. Ciągłe tylko spoglądał na zegarek.

Mary zacisnęła usta. Ona tak samo jak Colin nie zwykła była oglądać się na innych i nie widziała powodu, dlaczego złoścący się i rozkapryszony chłopak miałby jej przeszkadzać w tym, co właśnie chciała robić. Nie rozumiała wrażliwości osób wiecznie chorych i zdenerwowanych, nie umiejących panować nad sobą i doprowadzających otoczenie do rozpacz. Kiedy ją samą dawniej - w Indiach - bolała głowa, robiła wszystko, aby jej ból głowy udzielił się otoczeniu, i uważała, że tak być powinno; teraz wszakże widziała jasno, że Colin zupełnie nie miał racji.

Colin nie siedział na sofie, gdy Mary weszła do pokoju. Leżał na wznak w łóżku i nie odwrócił ku niej głowy. Był to zły znak; dziewczynka podeszła do niego sztywno.

- Dlaczego nie wstałeś? - spytała.

- Rano wstałem, bo myślałem, że przyjdiesz - odrzekł nie patrząc na nią. - Jednak po południu kazałem się zaprowadzić do łóżka. Plecy mnie bolały i głowa i czułem się zmęczony. Czemu nie przyszedłaś?

- Pracowałam w ogrodzie z Dickiem - odparła.

Colin zmarszczył czoło i raczył na nią spojrzeć.

- Zabronię temu chłopakowi pokazywać się tutaj, jeśli będziesz z nim przestawała

zamiast przychodzić rozmawiać ze mną - rzekł wyniośle.

Mary zapienila się ze złości. Potrafiła wpadać w cichą furję, bez hałasu. Stawała się wtedy zjadliwa, uparta i nie dbała o to, co z tego wyniknie.

- Jeśli odeślesz stąd Dicka, moja noga nie postanie już nigdy w tym pokoju! - oświadczyła.

- I tak będziesz musiała przyjść, jeśli ja zechcę! - rzekł Colin.

- Nie przyjdę! - odpowiedziała Mary.

- Ja cię zmuszę! - zawołał Colin. - Każę cię tu przywlec siłą.

- Jesteś aż tak potężny?! - zasyczała wściekła. - Mogą mnie tu przywlec siłą, ale nikt mnie nie zmusi do mówienia. Usiądę i zacisnę zęby, i nigdy, nigdy nie odezwę się do ciebie. Nie zechcę nawet patrzeć na, ciebie. Będę ciągle patrzyła na podłogę!

Razem stanowili rozkoszną parę dzieciaków, gotowych skoczyć sobie do oczu. Gdyby byli ulicznikami, wzięliby się za czupryny i zbili na kwaśne jabłko. Na razie czynili ku temu wstępne kroki.

- Jesteś wstrętnym samolubem! - krzyczał Colin.

- A ty kim jesteś?! - zawołała Mary. - Kto sam jest samolubem, zawsze tak mówi o innych. Każdy jest dla niego samolubem, jeśli nie robi tego, co on chce. Ty jesteś gorszym samolubem ode mnie. Jesteś najbardziej samolubnym chłopakiem, jakiego znam.

- Kłamiesz! - wykrzyknął Colin. - Nie jestem takim samolubem jak twój nadzwyczajny Dick. Zatrzymuje cię w ogrodzie, żebyś z nim się w błocie babrała, choć wie, że ja tu jestem sam. Daruj, ale to on jest najgorszym samolubem!

Oczy Mary ciskały płomienie.

- Dick jest miłszy i grzeczniejszy od wszystkich innych chłopców! - zawołała. - To jest... to jest anioł! Może... może to śmieszne, co powiedziałam, ale mniejsza o to.

- Piękny mi anioł! - sapał wściekły Colin. - Nie anioł, tylko zwyczajny chłopak z wrzosowiska!

- Lepszy on niż nadzwyczajny radża! - odcięła się Mary. Tysiąc razy lepszy!

Była odporniejsza z nich dwojga i zaczęła brać nad chłopcem górę. Co prawda Colin nigdy w życiu nie miał utarczki z nikim równym sobie, lecz Bogiem a prawdą całe to zajście było nawet dla niego z pożytkiem, choć ani on, ani Mary nie zdawali sobie z tego sprawy. Odwrócił głowę i zamknął oczy, a wielkie łzy popłynęły mu po policzkach. Zaczynał rozrzewniać się i użalać nad sobą.

- Nie jestem takim samolubem jak ty, choć zawsze leżę chory i wiem na pewno, że mi się tworzy garb - mówił. I przy tym umrę niedługo.

- Wcale nie umrzesz! - sprzeciwiła się Mary.

Zrobił wielkie oczy z oburzenia. Nigdy przedtem nic podobnego nie słyszał. Był równocześnie i wściekły, i trochę uradowany, jeśli można pogodzić te dwa sprzeczne uczucia.

- Nie umrę?! - krzyknął. - Właśnie że umrę! Wiesz, że umrę! Wszyscy to mówią!

- A ja nie wierzę! - obojętnie odrzekła Mary. - Mówisz tak umyślnie, żeby mnie złościć. Ty się tym pysznisz! Ale i tak ci nie wierzę! Gdybyś był bardzo dobry, może byłaby to prawda! Ale ty jesteś zbyt niegodziwy!

Pomimo chorych pleców Colin usiadł na łóżku, rozzłoszczony jak najzdrowszy człowiek.

- Idź precz z mego pokoju! - krzyknął, chwycił poduszkę i rzucił w Mary.

Nie miał dość siły, więc poduszka upadła u nóg dziewczynki, która miała twarz taką, jakby chciała go ugryźć.

- Dobrze, pójdę - rzekła spokojnie - i już nigdy nie wrócę!

Poszła do drzwi, po czym odwróciła się i dodała:

- Chciałam ci opowiedzieć mnóstwo ładnych rzeczy. Dick przyprowadził swojego liska i gawrona i chciałam ci o nich poopowiadać, ale teraz nic z tego, nic!

Wyszła z pokoju, zamykając za sobą drzwi. Ku swemu zdumieniu ujrzała „wykwalifikowaną pielęgniarkę”, która podsłuchiwała pod drzwiami, a co gorsza, zaśmiewała się. Była to silna, młoda, przystojna kobieta, która nie miała powołania do swego zawodu, nie zносиła bowiem chorych i kalek i wiecznie znajdowała wymówki, by Colina zostawić pod opieką Marthy albo kogokolwiek, kto by ją zechciał zastąpić. Mary jej nie lubiła, teraz zaś stała i patrzyła, jak tamta chichocze w chustkę do nosa.

- Z czego się śmiesz? - spytała.

- Z was obojga - odparła pielęgniarka. - Nie można wymyślić nic lepszego dla tego wychuchanego gagatka, jak przeciwstawić mu drugie dziecko, równie złe jak on sam - powiedziała i znów zaczęła chichotać. - Żeby miał siostrę złośnicę, z którą by się mógł bić, toby zaraz był zdrow.

- Czy on umrze?

- Nie wiem i jest mi to całkiem obojętne - rzekła pielęgniarka. - Cała jego choroba to histeria i humory.

- Co to znaczy: histeria? - spytała Mary.

- Sama panienska zobaczy, jak Colin po tym, co zaszło, wpadnie w furję. Ale w każdym razie dała mu panienska powód do napadu i bardzo jestem z tego rada.

Mary wróciła do swego pokoju z całkiem innymi uczuciami niż te, z jakimi tu

przyszła z ogrodu. Była zła i rozczarowana, ale wcale nie żałowała Colina. Zamierzała opowiedzieć mu wiele rzeczy, chciała zbadać i upewnić się, czy naprawdę można mu powierzyć ich wielką tajemnicę. Zaczynała myśleć, że jest to możliwe, lecz teraz zmieniła zdanie. Już mu nic nie powie, nigdy, niech sobie siedzi w swoim pokoju, bez świeżego powietrza, i niech umiera, jeśli chce! Dobrze mu tak! Była taka zła i bezlitosna, że na chwilę zapomniała nawet o Dicku, o delikatnej zielonej szacie, którą świat zaczął się okrywać, i o łagodnym powiewie wiatru idącym od wrzosowiska.

Martha czekała na nią, a przestrach w jej twarzy ustąpił miejsca ciekawości. Na stole stało drewniane pudło, pokrywa była zdjęta, wewnątrz widać było kilka ładnie zawiniętych paczek.

- Pan Craven to przysłał dla panienki - wyjaśniła Martha. Myślę, że tam będą książki z obrazkami.

Mary przypomniała sobie pytanie wuja, gdy była w jego pokoju: „Chciałabyś zabawek, lalek, książek?”.

Rozwinęła paczkę, ciekawa, co jej przysłał, i myśląc, co pocznie z lalką, jeśli znajdzie ją w przesyłce. Ale lalki nie było. Było natomiast kilka pięknych książek, takich, jakie miał Colin, a dwie z nich były poświęcone ogrodnictwu i pełne świetnych rycin. Poza tym pudło zawierało jeszcze kilka gier i prześliczną teczkę do listów ze ślicznym monogramem, złotą obsadkę i kałamarzyk.

Wszystko było takie śliczne, że radość zaczęła łagodzić jej gniew i zły humor. Nie myślała, że wuj aż tak o niej pamięta, i jej małe, zatwardziałe serduszko uczuło wdzięczność.

„Przecież ja umiem pisać - pomyślała. - Pierwszą rzeczą, jaką tym piórem napiszę, będzie list do wuja z podziękowaniem za jego dobroć”.

Gdyby przyjaźń z Colinem trwała, natychmiast pobiegłaby do niego pokazać mu prezenty; byliby razem oglądali obrazki, poczytali o ogrodnictwie, może by pograli w którąś z gier, a on rozerwałby się, nie myślał o śmierci i nie macał się ciągle po plecach, by sprawdzić, czy mu nie rośnie garb. Robił to przy tym w taki sposób, że Mary znieść tego nie mogła. Napawała ją strachem przerażona twarz Colina. Mówił, że jeśli poczuje kiedyś pod palcami najmniejszą krostkę na plecach, będzie to znaczyło, że garb zaczyna się tworzyć. Myśl tę nasunęły mu szeptu pani Medlock z pielęgniarką; z początku myślał o tym tylko przelotnie, ale potem obraz ten utrwalił się w jego wyobraźni. Pani Medlock powiedziała, że plecy jego ojca zaczęły krzywić się w ten sam sposób, gdy był jeszcze dzieckiem. Colin nikomu prócz Mary nie mówił o tym, że większa część tak zwanych napadów miała źródło w owym panicznym strachu. W pierwszej chwili Mary zrobiło się żal Colina, gdy jej to powiedział.

- On zawsze zaczyna rozmyślać o tym, jak jest zły albo zmęczony - rzekła do siebie. -
A dzisiaj był zły i może... może całe popołudnie o tym myślał?

Stała cicho, zapatrzona w dywan i zamyślona.

- Powiedziałam, że już nigdy do niego nie pójde - zawahała się ściągając brwi - lecz
może... może właśnie pójde... spytać go, czy chce, żebym przyszła rano. A może znów rzuci
we mnie poduszką? Wszystko jedno, myślę, że lepiej jednak pójść.

ROZDZIAŁ XVII

NAPAD

Mary wstała tego dnia bardzo rano, cały dzień napracowała się w ogrodzie, była więc zmęczona i śpiąca; toteż zaraz po kolacji położyła się do łóżka. Zasypiając mruczała jeszcze do siebie:

- Jutro wyjdę znów przed śniadaniem i będę pracowała z Dickiem, a potem... potem pewnie jednak pójdę odwiedzić Colina.

Około północy zbudziły ją tak straszliwe wrzaski, że zerwała się na równe nogi. Co się dzieje? Po chwili domyśliła się. Otwierano i zamykano drzwi, słychać było bieganinę w korytarzu, ktoś płakał i krzyczał wniebogłosy.

„To Colin - pomyślała. - Ma znów napad, to, co pielęgniarka nazywa histerią. Jakież to okropne!”

Słyszając teraz te szlochy i jęki nie dziwiła się, że mu pozwalali na wszystko, byle tych wrzasków uniknąć. Zatkąła uszy palcami. Było jej bardzo nieprzyjemnie, drżała na całym ciele.

- Co robić, co robić? - powtarzała. - Nie mogę tego znieść!

Przyszło jej do głowy, że może by przestał krzyczeć, gdyby do niego poszła, lecz potem przypomniała sobie, jak ją wyprosił z pokoju, i pomyślała, że jej widok może jeszcze pogorszyć sprawę. Choć z całych sił zaciskała uszy, nie mogła odgrodzić się od okropnych krzyków. Tak ich nienawidziła i tak ją przerażały, że nagle sama wpadła w złość. A może i ona dostanie takiego napadu i nastraszy go tak samo jak on ją. Nie przywykła do czyichkolwiek złych humorów prócz własnych. Odjęła ręce od uszu, skoczyła i zaczęła tupać nogami.

- Należy mu zakazać tak wrzeszczeć! Należy go powstrzymać. Ktoś powinien go mocno zbić! - krzyczała.

Wtem usłyszała, że ktoś biegnie korytarzem, drzwi się otworzyły i weszła pielęgniarka. Tym razem nie było jej do śmiechu. Była bardzo błada.

- Znów dostał napadu hysterii - rzekła pośpiesznie. To może mu bardzo zaszkodzić. Nie możemy sobie z nim dać rady. Niech panienska spróbuje uspokoić go, on panienkę lubi.

- Wyrzucił mnie dziś z pokoju - rzekła Mary, tupiąc nogą ze złości.

Tupnięcie to spodobało się pielęgniarce. Lękała się, że zastanie Mary płaczącą i chowającą głowę w poduszki.

- Oj, to, to! - mówiła. - Panienska ma w sam raz odpowiedni humor! Proszę iść zwymyślać go. Niech mu panienska poda jakiś nowy pomysł! Moja złota! Niech się panienska śpieszy!

Później dopiero Mary spostrzegła, jakie to wszystko było i okropne, i zabawne równocześnie - zabawne, gdyż dorośli ludzie byli tak przestraszeni, że wołali na pomoc dziewczynkę, wyczuwając w niej naturę podobną do natury Colina.

Mary popędziła korytarzem, a im bardziej zbliżała się do krzyków, w tym większą wpadała złość, ogarnęła ją po prostu furia: Dopadła do drzwi, otworzyła je z trzaskiem i podbiegła wprost do łóżka.

- Cicho bądź! - huknęła ostro. - Milcz! Nienawidzę cię! Wszyscy cię nie cierpią! Chciałabym, żeby wszyscy wyszli z domu, a ty żebyś się tu na śmierć zakrzyczał! I zaraz się na śmierć zakrzyczysz - zaraz! Bardzo bym tego chciała!

Żadne dobre, spokojne dziecko nie zdołałoby ani wypowiedzieć, ani nawet pomyśleć takich słów, lecz właśnie wstrząs, jaki wywołały, był najlepszym lekarstwem dla rozhisteryzowanego chłopca, któremu nikt nigdy nie śmiał się sprzeciwić.

Leżał na poduszkach, bijąc wokoło rękami i miotając się jak wściekły - teraz na pełen złości głos Mary odwrócił się nagle. Jego twarz była przerażająco blada, z plamami na policzkach, i nabrzmiała. Szlochał i jęczał, ale Mary, zła jak dzika kotka, nic sobie z tego nie robiła.

- Jak mi jeszcze raz piśniesz - mówiła - to ja też wrzasnę, a umiem krzyczeć głośniejsz niż ty! Przekonasz się!

Tak go przeraziła, że umilkł. Krzyk mu uwiązł w gardle. Wielkie łzy toczyły mu się po twarzy. Wątlým ciałem wstrząsały łkania.

- Nie mogę przestać płakać! - zawodził. - Nie mogę! Nie m - m - mogę!

- Możesz! - krzyknęła Mary. - Cała twoja choroba to histeria i złość. Histeria! Histeria! - krzyczała tupiąc nogą.

- Poczułem coś na plecach... po - czułem, że coś rośnie - wykrztusił Colin. - Wiedziałem, że tak będzie. Będę miał garb, a potem umrę!

Znów zaczął się więc i wykrzywiać twarz. Szlochał i jęczał, lecz nie krzyczał.

- Nieprawda! - zaprzeczyła Mary. - Mogłeś poczuć tylko narastającą histerię. Nic nie masz na tych twoich obrzydliwych plecach - nic prócz hysterii. Odwróć się zaraz, to sama sprawdzę!

Podobało się jej słowo „histeria i czuła, że i na nim robi ono wrażenie. Być może, iż on również nigdy go przedtem nie słyszał.

- Proszę tu podejść - rozkazująco rzekła do pielęgniarki - i pokazać mi jego plecy!

Pielęgniarka, pani Medlock i Martha stały w drzwiach przytulone do siebie, patrząc na Mary z oszołomieniem. Wszystkim trzem dech zapierało ze strachu. Pielęgniarka zbliżyła się przestraszona. Colinem wstrząsały łkania.

- Nie wiem, czy panicz mi pozwoli - rzekła cicho.

Colin jednak usłyszał i wyjąkał między dwoma szlochami:

- Pokaż jej! N - niech zo - zobaczy sa - sama!

Obnażone plecy były tak chude, że można było policzyć wszystkie żebra i wszystkie kręgi pacierzowe. Lecz panna Mary ich nie liczyła, gdy pochyliła nad nimi rozwścieczoną twarz i gdy się im z powagą przyglądała. Wyglądała przy tym tak zabawnie, że pielęgniarka z trudem opanowała śmiech. Nastąpiła chwila ciszy, bo nawet Colin starał się zatrzymać oddech, gdy Mary oglądała jego plecy z największą uwagą, zupełnie jakby była owym sławnym lekarzem z Londynu.

- Nic na nich nie ma! - rzekła w końcu. - Nie ma nawet krostki takiej jak główka szpilki. Czujesz pod palcami tylko kręgi pacierzowe, boś chudy. Ja miałam takie same kości i tak samo mi wystawały, dopóki nie przytyłam, a nawet teraz nie jestem na tyle tęga, żeby nie można mi było kręgow namacać. Nic nie masz na plecach. Jak jeszcze raz wspomnisz o garbie, to cię wyśmieję!

Tylko Colin wiedział, jakie wrażenie zrobiły na nim te wypowiedziane w złości słowa. Gdyby miał przed kim wygadać się ze swych urojonych, tajonych obaw, gdyby pozwolił komuś mówić do siebie, gdyby miał towarzystwo dzieci, a nie leżał po całych dniach w łóżku w tym ogromnym, pustym domu, żyjąc w atmosferze lęku ludzi, po większej części niemądrych, a przy tym bardzo nim znużonych, rozumiałby, że jego obawy i niedomagania są głównie płodem jego wyobraźni. Lecz on leżał i rozmyślał o sobie, o swoich bólach, o swoim zmęczeniu przez całe dni, miesiące, lata. I teraz dopiero, gdy inne, równie jak on niesympatyczne dziecko uparcie twierdziło, że nie jest on tak chory, jak sobie wyobraża - Colinowi zaświtała myśl, że może Mary ma rację.

- Nie wiedziałam - nieśmiało wtrąciła pielęgniarka - że panicz Colin myślał, iż ma garb. Krzyż ma słaby, bo nie chce nawet spróbować usiąść prosto. Byłabym mu sama powiedziała, że nie ma ani śladu garbu.

Colin połykał łzy i lekko odwrócił twarz, by na nią spojrzeć.

- Na - naprawdę? - wyjąkał.

- Tak jest, sir!

- No, więc widzisz! - rzekła Mary.

Colin znów wtulił twarz w poduszki i leżał spokojnie, tylko łzy cicho płynęły mu z oczu, a ciałem od czasu do czasu wstrząsały tłumione łkania, jakby ostatnie poddmuchy wichru po burzy. Łzy były najlepszym znakiem, że przyszła ulga i ukojenie. Odwrócił się nagle, znów spojrzał na pielęgniarkę i - o dziwo! - przemówił do niej wcale nie jak radza.

- Czy myślisz, że będę żył i że urosnę? - spytał.

Pielęgniarka nie była ani sprytna, ani nie miała szczególnie miękkiego serca, więc powtórzyła słowa londyńskiego lekarza:

- Pewnie, że panicz będzie żył, jeśli będzie robił to, co mu każą, to znaczy, jeśli będzie panował nad sobą i przebywał dużo na świeżym powietrzu.

Napad minął. Colin był teraz osłabiony i wyczerpany płaczem i może dlatego złagodniał. Wyciągnął nieśmiało rękę ku Mary, a ponieważ na szczęście i jej złość już minęła, przeto podała mu swoją i tak zapanowała między nimi zgoda.

- Wyjdę na dwór z tobą, Mary - powiedział. - Nie będę już nienawidził świeżego powietrza, a jeśli odnajdziemy...W sam czas powstrzymał się, by nie powiedzieć „jeśli odnajdziemy tajemniczy ogród”, i dokończył: - Chętnie z tobą wyjdę, jeśli Dick będzie pchał mój wózek. Tak bym chciał zobaczyć Dicka i lisa, i gawrona.

Pielęgniarka poprawiła łóżko, strzepnęła poduszki, potem przyrządziła dla Colina filiżankę bulionu i poczęstowała nim Mary, której ciepły napój ogromnie się przydał po wzruszeniach tej przykrej nocy. Pani Medlock i Martha już poszły, a kiedy wszystko wróciło już do porządku, pielęgniarka również miała ochotę wysunąć się jak najprędzej. Ta zdrowa, młoda kobieta była zła, że jej przerwano sen. Ziewała ciągle, patrząc na Mary, która przysunęła sobie fotel do łóżka Colina i trzymała go za rękę.

- Niech panienka idzie się położyć - rzekła. - Jeżeli panicz nie jest zbyt zdenerwowany, to zaraz zaśnie. A potem i ja się położę w sąsiednim pokoju.

- Chciałbyś usłyszeć tę kołysankę, którą śpiewała mi Ayah? - szeptem spytała Mary chłopca.

Przyciągnął lekko jej rękę ku sobie i zwrócił na nią zmęczone, błagalne spojrzenie.

- Och, tak! To taka słodka melodia. Z pewnością zaraz zasnę.

- Przypilnuję, żeby zasnął - zwróciła się Mary do ziewającej wciąż pielęgniarki. - Możesz odejść, jeśli chcesz.

- Dobrze - odparła tamta z ulgą. - Gdyby panicz za pół godziny nie usnął, to proszę mnie zawołać.

- Doskonale - powiedziała Mary.

Pielęgniarka śpiesznie opuściła pokój, a skoro tylko wyszła, Colin przyciągnął znów

Mary za rękę.

- O mało się nie wygadałem - powiedział - ale w porę się spostrzegłem. Nie mogę teraz rozmawiać, bo chciałbym zasnąć, ale mówiłaś, że masz mi mnóstwo ładnych rzeczy do opowiedzenia. Czy... czy nie znalazłaś może jakiegoś śladu furtki do tajemniczego ogrodu?

Mary spojrzała na jego biedną, drobną i zmęczoną twarz, na zapadnięte oczy i serce wezbrało jej żalem.

- Ta - ak - odrzekła z wolna - zdaje mi się, że znalazłam ślad. Jeśli szybko uśniesz, to jutro wszystko ci opowiem.

Ręka mu drżała.

- Och, Mary, Mary! - zawołał. - Gdybym tam mógł się dostać, na pewno bym wyzdrowiał. Czy zamiast piosenki Ayah nie mogłabyś mi po cichu jeszcze raz opowiedzieć, jak sobie wyobrażasz tajemniczy ogród? Jestem pewny, że to mi pomoże zasnąć.

- Dobrze - odparła Mary. - A teraz zamknij oczy.

Colin przymknął powieki i leżał zupełnie spokojnie, ona zaś trzymając go za rękę zaczęła mówić wolno i bardzo cicho:

- Myślę, że ten ogród tak długo był sam, że wszystko tam rozrosło się w cudowny gąszcz. Róże zaczęły pewnie się piąć, piąć i piąć po gałęziach, drzewach, murach, a nawet pełzać po trawie, a ich gałęzie utworzyły jakby zasłonę z szarej mgły. Niektóre pousychały, lecz wiele jeszcze żyje i kiedy nadejdzie lato, będą tam całe kaskady róż. Myślę, że jest tam pełno krokusów, narcyzów, przebiśniegów, lilii i irysów, które rosną w ciemnej ziemi i zaczynają kiełkować. Wiosna już przyszła na dobre, więc być może... być może...

Łagodna monotonia głosu usypiała stopniowo chłopca. Mary spostrzegła to i ciągnęła dalej:

- Może widać je już w trawie, może są już całe kępki purpurowych i żółtych krokusów. Może listki już poczynają pękać i rozwijać się, a może... szarość gałązek zaczyna się zamieniać w welon z zielonej gazy i pnie się, i pnie się wszędzie wokół. A ptaki przylatują przyglądać się tym cudom, gdyż czują, że tam jest zaciszenie i bezpiecznie. A może, może - dodała zupełnie cicho i bardzo wolno - może rudzik znalazł samiczkę i zakłada gniazdko...

Tymczasem Colin zasnął.

ROZDZIAŁ XVIII

„NIE TRAĆMY CZASU”

Mary, oczywiście, nie obudziła się wcześniej następnego dnia. Spała długo, gdyż była bardzo zmęczona, Martha zaś przynosząc jej śniadanie opowiedziała, że Colin jest zupełnie spokojny, lecz chory i ma gorączkę, co zwykle bywa, gdy się wyczerpie krzykami i płaczem. Mary słuchała, wolno spożywając śniadanie.

- Panicz prosi, żeby panienka przyszła do niego, jak tylko będzie mogła - mówiła Martha. - Aż dziwne, jak sobie panienkę upodobał. To pewnie po tej ostatniej awanturze, co? Nikt inny nie śmiałby tak z nim postąpić. Biedny chłopiec! Tak go zepsuli, że już święty Boże nie pomoże. Matka mówi, że najgorsze dla dziecka, jak zawsze robi to, co chce, albo jak nigdy nie może robić tego, co chce. Nie wiadomo, co gorsze. Ale panienka to też nie najgorzej potrafi się złościć! A panicz, jakem weszła do jego pokoju, powiada: „Proszę poprosić pannę Mary, aby była tak dobra i przyszła do mnie”. Pomyśleć tylko - on mówiący „proszę”! Pójdzie panienka?

- Najpierw pobiegnę zobaczyć Dicka - odparła Mary. - Albo nie: najpierw pójść odwiedzić Colina i powiem mu... już wiem, co mu powiem - dodała w nagłym natchnieniu.

Gdy weszła do pokoju w kapeluszu na głowie, Colin przez sekundę doznał uczucia rozczarowania. Leżał w łóżku, twarz miał przerażająco bladą i wielkie, sine kręgi pod oczyma.

- Cieszę się, że przyszedłeś - powiedział. - Głowa mnie boli i wszystkie kości, bo jestem bardzo zmęczony. Czy idziesz gdzieś?

Mary podeszła blisko i oparła się o łóżko.

- Nie zabawię długo - rzekła. - Idę na razie do Dicka, ale zaraz wrócę. Colin, wiem już coś o ogrodzie!

Twarz mu pojaśniała i zaróżowiła się lekko.

- Och! Naprawdę?! - zawołał. - Całą noc mi się śnił. Słyszałem, jak mówiłaś, że szarość przemienia się w zieleń, i śniłem, że znajduję się w zielonej gęstwinie drobnych, drżących listków, a w niej pełno jest gniazd, w których siedzą ptaki i śpiewają. Będę teraz o tym myślał, dopóki nie wrócisz.

Pięć minut potem Mary była już z Dickiem w tajemniczym ogrodzie, a towarzyszyli im nie tylko Kapitan i Sadza, lecz także dwie oswojone wiewiórki.

- Dziś przyjechałem na moim kucyku - mówił Dick. Poczciwy konik ten mój Skoczek!

A te dwie psotnice przyjechały w moich kieszeniach. Ta nazywa się Orzeszek, a tamta Łupinka.

Na dźwięk imienia: Orzeszek, jedna z wiewiórek wskoczyła mu na prawe ramię, a gdy padło imię: Łupinka - druga wdrapała się na lewe.

Usiedli na trawie z Kapitanem skulonym u ich nóg, Sadzą słuchającą z drzewa, Orzeszkiem i Łupinką węszącymi obok nich. Mary zdawało się, że nie będzie miała siły porzucić tak miłych towarzyszy, ale gdy zaczęła opowiadać i spojrzała na wesołą zazwyczaj twarz Dicka, zmieniła zdanie. Widziała, jak chłopcu żal było Colina - o wiele więcej niż jej. Zerknął na niebo, potem rozejrzał się dokoła.

- Niech panienka posłucha ptaków. Cały świat pełny jest ich świergotu i śpiewu. Proszę popatrzeć, jak przelatują, proszę posłuchać ich nawoływań. Wydaje się, że wiosną cały świat woła. Może panienka zobaczyć, jak się listki rozwijają. A ten zapach! - ciągnął Dick, ruszając swym zadartym nosem. - A ten biedak leży tam i leży zamknięty w pokoju i widzi tak mało, że pozostaje mu tylko rozmyślanie o różnych rzeczach, które mu wyciskają łzy z oczu. Niech będzie, co chce, musimy go tu sprowadzić. Niech patrzy i słucha, niech wacha to cudowne, świeże powietrze, niech się wykąpie w słońcu. Nie traćmy czasu!

Gdy Dick był bardzo czymś przejęty, wpadał w jorkszyrską gwarę, choć na ogół starał się mówić poprawnie, by go Mary mogła lepiej rozumieć. Lecz Mary lubiła tę gwarę i nawet usiłowała ją sobie przyswoić. I teraz popróbowwała swoich sił.

- Nie traćmy czasu - powtórzyła, naśladując zabawnie wymowę Dicka. - Powiem ci, co najpierw musimy zrobić - ciągnęła dalej, a Dick się uśmiechał. - On cię bardzo polubił z mojego opowiadania. Chciałby cię poznać, a także Kapitana i Sadzę. Pójdę teraz do domu i spytam go, czy możesz jutro rano przyjść do niego i przyprowadzić swoje zwierzęta, a potem, gdy będzie już więcej listków i pączków wiosennych, sprowadzimy go tu. Koniecznie! Przywieziemy go tutaj, ty będziesz pchał jego fotel na kółkach, i wszystko mu pokażemy.

Mary skończyła mówić, dumna, że wszystko to powiedziała tutejszą gwarą.

- Musi panienka pomówić w ten sam sposób z paniczem - zachichotał Dick. - Uśmieje się, a dla chorych śmiech to najlepsze lekarstwo. Matka mówi, że pół godziny śmiechu i wesołości od samego rana może ustrzec od najgorszej choroby.

- Jeszcze dzisiaj, zaraz, przemówię do niego tak, jak ty mówisz - odparła Mary.

Ogród tymczasem rozwijał się i co dnia się zdawało, iż jakaś dobra wróżka czarodziejską różdżką wyczarowuje cuda z ziemi i gałązek. Ciężko było stąd odchodzić, tym bardziej że Orzeszek wdrapał się Mary na ramię, Łupinka zaś weszła na pień jabłoni, pod którą siedzieli, i patrzyła na dziewczynkę pytająco. Ale Mary wróciła do domu, a gdy usiadła

przy łóżku Colina, chłopiec począł węszyć jak Dick, choć nie z takim jak on doświadczeniem.

- Pachniesz jak kwiaty i świeża zieleń! - zawołał radośnie. - Czym tak pachniesz? To woń chłodna, gorąca i słodka równocześnie.

- To wiatr z wrzosowiska - odparła Mary. - A pachnę tak, gdyż siedziałam pod drzewem z Dickiem, Kapitanem, Sadzą, Orzeszkiem i Łupinką. Wiosną wszystko na dworze tak pachnie jak ziemia rozgrzana w słońcu.

Mówiła szeroko, rozwlekłe, gwarą, którą trzeba słyszeć, by rozumieć, jak zabawnie brzmi. Colin zaczął się śmiać.

- Jak ty mówisz? Nie słyszałem nigdy takiej wymowy w twoich ustach. To strasznie zabawne.

- Daję ci próbkę gwary jorkszyrskiej - odpowiedziała Mary triumfująco. - Nie umiem mówić tak ładnie jak Dick i Martha, ale trochę się już poduczyłam. Czy ty mnie rozumiesz? To byłby wstyd, gdybyś nie rozumiał, przecież tu się urodziłeś i wychowałeś!

Zaczęła się śmiać, a potem już śmieli się oboje serdecznie, nie mogąc się opanować.

Cały pokój tak rozbrzmiewał ich śmiechem, że pani Medlock otworzywszy drzwi cofnęła się śpiesznie na korytarz i poczęła nasłuchiwać zdumiona.

- Jak Boga kocham! - rzekła do siebie. - Niesłychane rzeczy! I kto by pomyślał!

A tymczasem tyle było ciekawych tematów! Zdawało się, że Colin nigdy nie będzie miał dosyć opowiadań o Dicku, Kapitanie, Sadzy, Orzeszku i Łupince i o koniku, który zwał się Skoczek. Mary była z Dickiem w lesie, by go zobaczyć. Kudłaty kucyk z wielką grzywą, opadającą mu na oczy, miał miły pyszczek i ruchliwe, aksamitne nozdrza. Właściwie był chudy, bo żywił się jedynie trawą na wrzosowisku, lecz taki sprężysty i muskularny, jakby drobne jego nóżki były ze stali. Skoro tylko ujrzał Dicka, podniósł głowę i lekko zarżał. A potem przydreptał do niego i oparł mu głowę na ramieniu; Dick szepnął mu coś na ucho, Skoczek zaś odpowiedział rzeniem, parszaniem i zabawnym sapaniem. Dick kazał mu podać Mary przednią nóżkę i pocałować dziewczynkę swym aksamitnym pyszczkiem.

- Czy on naprawdę rozumie wszystko, co mówi Dick? - spytał Colin.

- Zdaje się, że rozumie - odpowiedziała Mary. - Dick mówi, że z każdym stworzeniem można się porozumieć, jeśli się jest jego przyjacielem. Ale trzeba być prawdziwym przyjacielem.

Colin chwilę leżał bez ruchu, zapatrzony w ścianę, lecz Mary wiedziała, że coś rozważał.

- Chciałbym bardzo być przyjacielem zwierząt - powiedział wreszcie. - Ale nie umiem. Nigdy z nikim nie byłem w przyjaźni. Nie znoszę ludzi.

- A mnie znosisz? - spytała Mary.

- Owszem, znoszę - odparł. - To bardzo zabawne, ale ciebie nawet bardzo lubię.

- Ben Weatherstaff powiedział, że jestem do niego podobna w tym, że mam równie nieprzyjemny charakter - rzekła Mary. - A mnie się zdaje, że i ty jesteś do niego podobny. Wszyscy troje jesteśmy sobie równi - ty i ja, i Ben Weatherstaff. On mi wtenczas powiedział, że mamy równie niemiły wyraz twarzy, jak charakter i że dlatego przykro na nas patrzeć. Ale ja na przykład myślę, że nie jestem już taka niemiła, odkąd poznałam rudzika i zaprzyjaźniłam się z Dickiem.

- Czy zdaje ci się czasem, że nienawidzisz ludzi? - spytał Colin.

- Owszem - odparła Mary szczerze. - Ciebie bym na pewno nie cierpiała, gdybym cię była poznała przed tym ptaszkiem i Dickiem.

Colin wyciągnął drobną, chudą rękę i dotknął jej ramienia.

- Mary - rzekł - wolałbym, żeby nigdy z moich ust nie padło to, co powiedziałem o Dicku: że chcę go wyrzucić stąd. Nienawidziłem cię, kiedy powiedziałaś, że on jest jak anioł, i wyśmiewałem się z ciebie, ale myślę, że może on naprawdę jest aniołem.

- Tak naprawdę to chyba wtedy powiedziałam głupstwo - przyznała Mary otwarcie. - Jak na anioła, to on ma zbyt zadarty nos, za szerokie usta i zanadto połatane ubranie, no i mówi gwarą. Ale gdyby w Yorkshire był anioł i gdyby ten jorkszyrski anioł mieszkał na wrzosowisku, to myślę, że i on rozumiałby mowę kwiatów, wiedziałby, jak je hodować, i umiałby przemawiać do zwierząt tak, jak czyni to Dick, a one wiedziałyby, że ten anioł jest ich prawdziwym przyjacielem.

- Widok Dicka wcale nie byłby mi przykry - rzekł Colin - bardzo go pragnę zobaczyć.

- Cieszę się, że to mówisz - odparła Mary - bo widzisz... bo...

Uprzymomniła sobie nagle, że stosowna chwila nadeszła. Colin zaś również poczuł, że zaraz nastąpi coś ważnego.

- Bo co? - dopytywał się niecierpliwie.

Mary była tak wzruszona, a jednocześnie ogarnął ją taki lęk, że wstała z krzesła, podeszła do Colina i ujęła go za rękę.

- Czy mogę ci zaufać? Zaufałam Dickowi, bo jemu nawet ptaki ufają. Ale czy mogę zaufać tobie tak zupełnie? - spytała błagalnie.

Jej twarz miała tak uroczysty wyraz, że chłopiec tylko wyszeptał:

- Możesz!

- A więc Dick przyjdzie tu do ciebie jutro rano i przyprowadzi z sobą swoje zwierzaki.

- O Boże! - zawołał Colin uszczęśliwiony.

- Ale nie koniec na tym - ciągnęła Mary uroczyście, blada ze wzruszenia. - Powiem ci coś o wiele ważniejszego. Wiem, gdzie jest furtka do tajemniczego ogrodu. Znalazłam ją. Była ukryta w murze pod bluszczem.

Gdyby Colin był silnym, zdrowym chłopcem, zawołałby na cały głos: „Hura”, lecz że był słaby i nerwowy, źrenice jego poczęły się rozszerzać i nie mógł schwycić tchu.

- Och, Mary! - zawołał, prawie szlochając. - Czy będę mógł ten ogród zobaczyć? Czy będę mógł tam wejść? Czy będę żył, aby móc tam wejść? - a mówiąc to, czepiał się rękami jej sukienki, ciągnąc ją ku sobie.

- Naturalnie, że go zobaczysz! - z oburzeniem rzuciła Mary. - I będziesz żył! Będziesz! No, nie bądź niemądry!

A była przy tym taka naturalna, spokojna i dziecięca, że Colin uspokoił się i zaczął się śmiać. W kilka minut potem siedziała już w swym fotelu i opowiadała mu nie o tym, jak sobie wyobraża tajemniczy ogród, lecz o tym, jaki jest w rzeczywistości; Colin zaś zapomniał o bólach i znużeniu i słuchał oczarowany.

- Wyobrażałaś go sobie zupełnie tak samo - powiedział po chwili. - Już wtedy miałem wrażenie, że naprawdę w nim byłaś. Pamiętasz? Powiedziałem ci to, gdyś opowiadała mi o tym ogrodzie pierwszy raz.

Mary zawahała się chwilę, po czym śmiało wyznała:

- Widziałam już wtedy ten ogród, byłam w nim wcześniej. Znalazłam klucz i od kilku tygodni tam chodzę. Ale nie mogłam ci wtedy powiedzieć, bo nie wiedziałam, czy mogę ci zaufać!

ROZDZIAŁ XIX

„NADESZŁA CHWILA”

Po doktora Cravena posłano zaraz rano po nocnym napadzie Colina. Zazwyczaj wzywano go w takich wypadkach niezwłocznie, za każdym zaś razem, gdy przyjeżdżał, znajdował bladego, wymizowanego chłopca, leżącego na łóżku, wstrząsanego łkaniem, nadęsanego i tak zdenerwowanego, że za lada słowem gotów był wybuchnąć na nowo płaczem. W gruncie rzeczy doktor Craven nie znoślił tych niemiłych wizyt. Dlatego tym razem przybył do Misselthwaite dopiero po południu.

- Jak się ma pacjent? - spytał panią Medlock nie kryjąc rozdrażnienia. - Pęknię mu kiedy naczynia krwionośne w czasie takiego napadu. Cała choroba tego chłopaka to histeria i brak panowania nad sobą.

- Pan doktor oczom swoim nie będzie chciał uwierzyć - odparła pani Medlock. - Otóż ta niemiła dziewczynka, równie dziwaczna i nieznosna jak Colin, po prostu czary na niego rzuciła. Jak to się stało, trudno zrozumieć. Bóg widzi, że niepozorne to i niemowne, a jednak zrobiła coś, czego by nikt z nas zrobić nie śmiał. Dziś w nocy wpadła do niego jak dziki kot. Tupiała nogami i kazała mu natychmiast przestać krzyczeć. Tak go jakoś przeraziła, że ucichł, a dzisiaj po południu... Ale niech pan doktor wejdzie i sam zobaczy. Zupełnie nie do wiary.

To, co doktor Craven ujrzał, przestąpiwszy próg pokoju swego pacjenta, istotnie bardzo go zdziwiło. Gdy pani Medlock otworzyła drzwi, usłyszał śmiechy i chichoty. Colin siedział na sofie, ładnie ubrany i zupełnie wyprostowany, i oglądał obrazki w jednej z książek przyrodniczych, rozmawiając z ową niepozorną, niemiłą dziewczynką, którą w tej chwili trudno by nazwać niemiłą, gdyż promieniała radością.

- Widzisz te długie, wijące się, niebieskie? Tych jest dużo - mówił Colin. - To *Delphinium*.

- Dick mówi, że to ostróżki wyhodowane sztucznie! - zawołała Mary. - Jest już ich pełno.

Naraz ujrzeli doktora Cravena i zamilkli. Mary siedziała cicho, Colin był zły.

- Zmartwiłem się, słysząc, żeś był chory dziś w nocy, moje dziecko - odezwał się nerwowo doktor Craven, w ogóle dość nerwowo z natury.

- Czuję się lepiej, o wiele lepiej - oznajmił Colin wyniośle jak młody radża. - Jutro lub za dwa dni, jeśli będzie ładnie, pojedę w fotelu na kółkach do ogrodu. Potrzeba mi świeżego powietrza.

Doktor Craven usiadł przy nim i zbadał puls, przyglądając się chłopcu uważnie.

- Dobrze, ale musi być ładnie i ciepło - powiedział - i musisz bardzo uważać na siebie, by się nie przemęczyć.

- Świeże powietrze mnie nie zmęczy - odparł młody radża.

Ponieważ niejednokrotnie tenże sam młody panicz, wrzeszcząc wniebogłosy z wściekłości, upierał się, że na powietrzu zaziębi się i umrze - przeto nic dziwnego, że doktor był nieco zaskoczony.

- Myślałem, że nie lubisz świeżego powietrza - powiedział.

- Nie lubię, jak jestem sam - odparł radża - ale moja kuzynka wyjdzie razem ze mną.

- No i oczywiście pielęgniarka? - poddał doktor Craven.

- Nie, pielęgniarka zostanie w domu - rzekł Colin tak wyniośle, że Mary mimo woli znów przypomniał się młody książę hinduski w szacie naszywanej drogimi kamieniami, w pierścieniach z ogromnymi rubinami, dający ciemną dłonią znak, który dozwalał służbie zbliżyć się do niego z pokłonami po rozkazy. - Moja kuzynka wie, jak się ze mną obchodzić. Zawsze czuję się lepiej, kiedy ona jest ze mną. Ostatniej nocy pomogła mi bardzo. A pewien chłopiec będzie pchał mój fotel.

Doktor Craven przeląkł się nie na żarty. Kto wie? Jeśli temu anemicznemu chłopcu uda się wyzdrowieć, wówczas on sam straci na zawsze nadzieję odziedziczenia Misselthwaite. Lecz doktor, jakkolwiek słabego charakteru, nie był jednak człowiekiem bez sumienia i nie chciał, aby życiu Colina coś poważnie zagrażało.

- Dobrze, lecz ten chłopak musi być silny i uważny - powiedział. - Koniecznie muszę wiedzieć o nim coś niecoś. Kto to jest? Jak się nazywa?

- To Dick - powiedziała nagle Mary.

Zdawało jej się, że każdy, kto zna tutejsze wrzosowiska, musi oczywiście znać Dicka. I miała rację. Twarz doktora Cravena rozpogodził uśmiech.

- Ach! Więc to Dick! - powiedział. - Jeśli to on, mogę być całkiem spokojny. Jest silny i zręczny jak te dzikie kuczki z wrzosowiska.

- A przy tym jest rzetelny. To najuczciwszy, najrzetelniejszy chłopiec w Yorkshire - dodała Mary, wpadając bezwiednie w gwarę Dicka.

- Czy to od Dicka nauczyłaś się tak mówić? - spytał doktor Craven, śmiejąc się z rozbawieniem.

- Uczę się tego tak samo, jakbym się uczyła po francusku - chłodno odparła Mary. - To tak, jak z językiem tubylców w Indiach, ludzie zdolni starają się go nauczyć. Mnie się tutejsza gwara podoba i Colinowi również.

- No dobrze, dobrze - rzekł doktor. - Jeśli was to bawi, to sobie tak mówcie, szkody wam to nie robi. Colinie, czy w nocy zażywałeś brom?

- Nie - odpowiedział Colin. - Najpierw nie chciałem zażyć, a potem Mary mnie uspokoiła i uśpiła, opowiadając przyciszonym głosem o cudach, jakie czyni w ogrodzie wiosna.

- To pięknie - rzekł doktor Craven, coraz bardziej zdumiony, spoglądając na Mary z ukosa, panna Mary zaś cichutko siedziała na fotelu zapatrzona obojętnie w dywan. - Widać, że jesteś znacznie zdrowszy, lecz nie wolno ci zapominać...

- Właśnie, że chcę zapomnieć - przerwał znów młody radża. - Kiedy sam tu leżę i rozmyślam, to zaczyna mnie wszystko boleć i myślę o takich rzeczach, że muszę płakać i krzyczeć, bo ich nienawidzę. Gdyby był gdzieś w pobliżu lekarz, który kazałby zapominać mi o nich zamiast pamiętać, to chciałbym, by go zaraz do mnie sprowadzono. - I Colin zrobił ruch ręką, która powinna była być ozdobiona rubinami. - Kuzynka moja pomogła mi przez to, że przy niej zapominam.

Nigdy jeszcze wizyta doktora Cravena nie była tak krótka. Zazwyczaj po takim napadzie musiał zostawać na dłużej i stosować wiele różnych zabiegów. Tego popołudnia jednak nie przepisał żadnego lekarstwa, nie dał żadnych zleceń i oszczędzono mu scen nieprzyjemnych. Był bardzo zamyślony, gdy schodził ze schodów, a pani Medlock zauważyła, że miał zakłopotaną minę, gdy z nią rozmawiał w bibliotece.

- Prawda, panie doktorze, że to nie do wiary? - rzekła nieśmiało.

- To pewne, że zaszedł zasadniczy zwrot w stanie jego zdrowia - odparł doktor. - I nie można zaprzeczyć, że jest z nim teraz znacznie lepiej.

- Myślę, że Susan Sowerby ma rację - mówiła pani Medlock. - Wczoraj zatrzymałam się u niej jadąc do Thwaite i pogawędziłyśmy trochę. A ona powiedziała tak: „No, Saro Ann, być może, że Mary nie jest dobra ani ładna, ale zawsze to dziecko, a dziecko ciągnie do dziecka”. Susan Sowerby i ja chodziłyśmy razem do szkoły.

- To najlepsza pielęgniarka, jaką znam - rzekł doktor Craven. - Jak ona jest gdzieś przy chorym, z góry wiem, że pacjent wyzdrowieje.

Pani Medlock uśmiechnęła się życzliwie, bo bardzo lubiła Susan Sowerby.

- Ona tak dobrze potrafi wytłumaczyć każdemu swoje myśli - mówiła dalej. - Dzisiaj całe rano zastanawiałam się nad jedną rzeczą, o której wczoraj mi opowiedziała tak: „Kiedy moje dzieci pobiły się raz między sobą, dałam im taki przykład: ~~Jakem była w szkole, to mnie na geografii uczyli, że ziemia ma kształt pomarańczy, a zanim skończyłam dziesięć lat, doszłam do przekonania, że ta cała pomarańcza do nikogo nie należy. Nikt nie ma na

własność więcej nad ten kawałek, na którym żyje. I niech żadne z was nie waży się myśleć, że cała pomarańcza do niego należy, bo tak nie jest, a przekonacie się o tym wtenczas, kiedy was kto mocno potrąci<~. Dziecko trzeba uczyć, że nie ma sensu chcieć zagrabić całą pomarańczę ze skórą i ze wszystkim. Jakby tak które chciało zrobić, toby i pestek nie dostało, a choćby je i dostało, to zbyt one gorzkie, by je można jeść”.

- To rozumna kobieta - rzekł doktor Craven nakładając płaszcz.

- Tak, tak, ona świetnie wyraża swoje myśli - kończyła pani Medlock ogromnie kontenta. - Nieraz mówiłam, że gdyby nie ta jej gwara, to byłyby to po prostu same mądrości.

*

Następnej nocy Colin spał zdrowym snem, a gdy rano otworzył oczy, leżał cicho i uśmiechał się, nie wiedząc nawet, że się uśmiecha. Było mu jakoś dziwnie dobrze i przyjemnie. Przewracał się i przeciągał z poczuciem błogości. Miał wrażenie, że przysły jakieś cienkie, niewidzialne nici, które go dotąd trzymały na uwięzi. Doktor Craven byłby powiedział, że jego nerwy uspokoiły się i wypoczęły. Zamiast leżeć, patrzeć na sufit i żałować, że się w ogóle obudził, jak to dawniej bywało, Colin rozmyślał o planach, które układał z Mary poprzedniego dnia, głowę miał pełną obrazów ogrodu, Dicka i jego zwierząt. Tak przyjemnie było o tym myśleć! Nie leżał dłużej niż dziesięć minut, gdy posłyszał tupot nóg na korytarzu. To Mary stanęła pod drzwiami. W sekundę potem była w pokoju i podbiegła do łóżka, przynosząc z sobą wiew świeżego powietrza, przesyconego wonią wiosennego poranka.

- Byłaś na dworze! Byłaś, prawda? Znów pachniesz listkami i świeżością! - wołał Colin.

Mary biegła szybko, włosy miała rozplecione i rozwiane, cała jaśniała i promieniała radością, twarz miała zaróżowioną.

- Na dworze jest cudownie! - mówiła zdyszana szybkim biegiem. - Nigdy w życiu nie widziałeś czegoś takiego! Przyszła! Już wtedy rano myślałam, że nadeszła, ale ona dopiero się zbliżała. Teraz już jest! Przyszła wiosenka, jak mówi Dick!

- Naprawdę przyszła! - zawołał Colin, i serce mu żywiej bić zaczęło, choć w rzeczywistości o wiosnie nie miał przecież wyobrażenia. Usiadł na łóżku. - Otwórz okno! Może usłyszymy granie złotych trąb! - dodał, śmiejąc się trochę z radosnego podniecenia, trochę z własnego konceptu.

Mówił to tylko dla żartu, ale Mary podskoczyła natychmiast do okna i otworzyła je w

okamgnieniu na oścież, a pokój w tejże chwili zapełniać się począł świeżością, łagodnym powiewem, wiosenną wonią i śpiewem ptasząt.

- Czujesz? To świeże powietrze! - rzekła. - Połóż się na wznak i wdychaj je całą piersią. Dick tak robi, kiedy czasami kładzie się na wrzosach. Mówi, że wtedy czuje to powietrze w żyłach i że ma takie uczucie, jakby miał żyć zawsze, bez końca. Wdychaj je więc, wdychaj.

Słowa Dicka opanowały całkiem wyobraźnię Colina.

- Żyć zawsze? Bez końca? - spytał, wdychając pełną piersią świeże, wonne powietrze i czując, że dzieje się z nim coś nieznanego a cudownego.

Mary podeszła do łóżka.

- Wszystko zaczyna wypuszczać kielki - mówiła śpiesznie. - Kwiaty się rozwijają, gałązki okrywają się zielonymi pąkami, świeża zieleń przysłania już szarość, a ptaki tak śpieszą z budowaniem gniazd, że walczą o miejsca w tajemniczym ogrodzie. Nasze krzewy róż żyją, że radość spojrzeć! W lesie pełno pierwiosnków i sasanek. Te nasiona, któreśmy zasiali, wszystkie powschodziły. A Dick przyprowadził liska, gawrona, wiewiórkę i malutkie jagniątko.

Mary umilkła i zaczerpnęła powietrza. Trzy dni temu Dick znalazł wśród krzaków janowca na wrzosowisku nowo narodzone jagnię - leżało przy martwej matce. Nie było to pierwsze jagniątko bez matki, jakie znalazł, toteż wiedział, jak się z nim obchodzić. Zabrał je z sobą do chaty, zawinął w swoją kapotę, położył blisko pieca i nakarmił ciepłym mlekiem. Było to urocze stworzonko ze ślicznym pyszczkiem i bardzo długimi nóżkami. Dick przyniósł je na rękę. Butelkę ze smoczkiem miał w tej samej kieszeni, co wiewiórkę. Mary siedziała pod drzewem z jagniątkiem skulonym na kolanach i ze wzruszenia mówić nie mogła. Jagniątko, jagniątko! Żywe jagniątko, które trzymała na ręku jak maleńkie dziecko!

Opisywała to wszystko Colinowi, który leżał zasluchany, głęboko oddychając. Do pokoju weszła pielęgniarka. Widok otwartego okna przeraził i zdumiał ją nieco. Nieraz w upalne dni dusiła się z braku powietrza, gdyż pacjent jej upierał się, że przy otwartym oknie może się zaziębić.

- Czy panicz pewny, że się nie zaziębi? - zapytała.

- Wdycham świeże powietrze, a to wzmacnia - brzmiała odpowiedź. - Do śniadania wstanę. Moja kuzynka zje razem ze mną.

Tłumiąc uśmiech pielęgniarka wyszła dać dyspozycję, aby przyniesiono dwa śniadania. Uważała, że w kredensie jest daleko zabawniej niż w pokoju chorego, a w danej chwili każdy był tam żądny wiadomości, co się dzieje na piętrze. Żartowali sobie z małego

odludka, o którym kucharz mówił, że teraz trafiła kosa na kamień”. Służba znudzona była już setnie napadami” Colina, a kamerdyner, który miał liczną rodzinę, nieraz wygłaszał zdanie, że „mały inwalida” byłby dawno zdrow, gdyby go krócej trzymano.

Gdy chłopiec siedział już na sofie i śniadanie dla obojga zostało podane, oznajmił pielęgniarce wyniośle niczym prawdziwy radża, co następuje:

- Przyjdzie mnie tu dzisiaj odwiedzić pewien chłopiec i przyprowadzi lisa, gawrona, dwie wiewiórki i nowo narodzone jagniątko. Proszę ich tu wpuścić, skoro się tylko zjawią. Nie wolno zatrzymywać ich w kredensie i bawić się ze zwierzętami. Proszę zaraz ich tu przyprowadzić.

Pielęgniarka otworzyła usta ze zdumienia.

- Do usług, sir - odparła.

- Możesz powiedzieć Marcie, by ich tu wprowadziła - dodał Colin. - Ten chłopiec bowiem to brat Marthy. Na imię ma Dick i jest zaklinaczem zwierząt.

- Mam nadzieję, że te zwierzęta nie ugryzą panicza - rzekła pielęgniarka.

- Mówiłem ci przecież, że on jest zaklinaczem - rzucił Colin ostro. - Zwierzęta zaklinaczy nigdy nie gryzą.

- W Indiach są zaklinacze węzów - wtrąciła Mary. - Mogą oni głowę węża kłaść sobie do ust.

- O mój Boże! - wstrząsnęła się pielęgniarka.

Spożyli śniadanie przy otwartym oknie, wśród wiosennego powiewu. Colin zjadał z apetytem, a Mary przyglądała mu się z powagą i z zainteresowaniem.

- Zobaczysz, że teraz przytyjesz, tak samo jak ja - mówiła. - W Indiach nigdy nie miałam apetytu, a tutaj wciąż, i jedzenie sprawia mi przyjemność.

- Ja też cieszyłem się myśląc o dzisiejszym śniadaniu - odrzekł Colin. - Może to już skutek świeżego powietrza. Jak sądzisz, kiedy przyjdzie Dick?

Lecz Dick nie kazał na siebie długo czekać. Nie upłynęło dziesięć minut, jak Mary podniosła palec.

- Posłuchaj! - zawołała. - Słyszysz gawrona?

Colin zaczął nasłuchiwać i uszu jego doszło ochryple krakanie - głos, jaki rzadko można usłyszeć wewnątrz domu.

- Słyszę.

- To Sadza - wyjaśniła Mary. - Posłuchaj teraz! Czy słyszysz ciche beczenie?

- Och! Słyszę! - zawołał Colin zarumieniony z radości.

- To jagniątko - rzekła Mary. - Już idą!

Dick był w grubych, ciężkich butach i choć starał się stąpać jak najostrożniej, to przecież odgłos jego kroków rozbrzmiewał donośnie w długim korytarzu. Mary i Colin słyszeli, jak szedł, szedł, aż wszedł przez osłonięte kotarą drzwi do wyłożonego miękkim dywanem przedpokoju Colina...

- Proszę panicza - mówiła Martha otwierając drzwi - oto jest Dick ze swoimi zwierzakami.

Dick wszedł, mając na ustach swój najszczęśliwszy uśmiech. Niósł na ręku jagniątko, a obok niego dreptał rudy lisek. Orzeszek siedział mu na lewym ramieniu, Sadza na prawym, z kieszeni zaś wyglądał figlarny pyszczek i łapki Łupinki.

Colin wolno usiadł i patrzył, patrzył, tak jak wtedy, gdy po raz pierwszy ujrzał Mary; tym razem jednak było to spojrzenie pełne podziwu i radości. Pomimo tego, co słyszał, nie miał pojęcia, jak Dick wygląda, a ponadto nie wyobrażał sobie, że lis i gawron, i wiewiórki, i jagnię mogą być tak blisko chłopca, jakby stanowiły z nim całość. Colin w życiu swoim nigdy jeszcze nie rozmawiał z żadnym chłopcem i tak był olśniony tym widokiem, że w ogóle zapomniał o rozmowie.

Lecz Dick nie czuł się ani skrępowany, ani zawstydzony. Przecież gdy pierwszy raz spotkał się z gawronem, on też nie rozumiał jego mowy i tylko się na niego gapił. Każde stworzenie musi się wprawdzie upewnić, z kim ma do czynienia. Dick podszedł śmiało do sofy i złożył Colinowi jagnię na kolanach, stworzonko zaś przytuliło się od razu do ciepłego, welwetowego ubrania i, lekko trącając go kędzierzawym łebkiem w bok, poczęło czegoś szukać noskiem. Rzecz prosta, że rozmowa nawiązała się sama przez się.

- Co ono robi? - spytał Colin. - Czego chce?

- Chce do matki - odpowiedział Dick coraz bardziej uśmiechnięty. - Przyniosłem je trochę głodne, bom wiedział, że panicz chętnie popatrzy, jak się je będzie karmić.

Ukląkł przy sofie i wyjął z kieszeni butelkę ze smoczkiem.

- Pójdź tu, maleńki - powiedział, odwracając delikatnie kędzierzawy łebek jagnięcia opaloną ręką. - Wiem, czego ci się chce! Z tego tu więcej wyciągniesz niż z aksamitnego ubrania. Masz! - i włożył smoczek w miękki pyszczek jagnięcia, które poczęło chciwie ssać.

Teraz już tematu do rozmowy nie brakło. Pytania posypały się jak grad, a tymczasem jagnię zasnęło. Dick opowiadał, jak znalazł jagniątko o wschodzie słońca trzy dni temu. Był na wrzosowisku, słuchał śpiewu skowronka i przyglądał się, jak ptaszek wzlatuje coraz wyżej i wyżej ku niebu, aż stał się jak maleńki punkcik na błękitnie.

- Byłbym go z oczu całkiem stracił, gdyby nie śpiewał, i myślałem sobie, jak też można go słyszeć, gdy go wcale nie widać - aż tu naraz usłyszałem w pobliskich krzakach

janowca ciche beczenie, więc zaraz wiedziałem, że to głodne jagniątko i że nie byłoby głodne, gdyby nie straciło matki. Zacząłem go więc szukać i rozglądać się dokoła. Łaziłem tam i sam po zaroślach, ale ciągle mi się zdawało, że idę w złym kierunku. Nareszcie pod skałą na końcu wrzosowiska zobaczyłem coś białego; wdrapałem się i znalazłem to maleństwo na pół żywe z zimna, zmęczone beczaniem.

W czasie opowiadania Sadza uroczyście wylatywała i wlatywała przez okno i krakała, jakby chciała opowiedzieć, co tam widzi na dworze, gdy tymczasem Orzeszek i Łupinka robiły wycieczki wśród starych drzew w ogrodzie - biegały po pniach, zwiedzały gałęzie. Kapitan leżał skulony obok Dicka siedzącego na podłodze przy kominku. Oglądali ryciny w książkach przyrodniczych, a Dick podawał popularne nazwy wszystkich kwiatów i wiedział, które z nich rosną w tajemniczym ogrodzie.

- U nas mówią na to: orlik - powiedział wskazując na kwiat, pod którym było napisane: Aquilegia - a tamto to lwie paszcze albo lnianki; oba rosną dziko, lecz odmiany ogrodowe są większe. Orlików jest dużo tu w ogrodzie. Jak się rozwiną, to będą wyglądały jak mnóstwo białe - niebieskich motyli.

- Muszę je zobaczyć! - zawołał Colin. - Muszę je zobaczyć!

- Musisz koniecznie - odrzekła Mary bardzo poważnie. Więc nie traćmy czasu.

ROZDZIAŁ XX

„BĘDĘ ZAWSZE ŻYŁ! ZAWSZE! ZAWSZE!”

Tymczasem musieli czekać przeszło tydzień, ponieważ najpierw nastały bardzo wietrzne dni, potem zaś Colinowi zbierało się na katar; te dwie przeszkody razem wzięte niewątpliwie doprowadziłyby go do pasji, gdyby nie to, że było tyle tajemniczych planów do układania, i gdyby nie Dick, który przychodził codziennie, choćby na parę minut, opowiedzieć o wszystkim, co się działo na wrzosowisku, w lesie, na polankach, w zaroślach i na brzegach strumieni. To, co opowiadał o borsukach, wydrach, szczurach wodnych, nie mówiąc już o przeróżnych ptakach, wystarczyło, aby wprowadzić w zachwyt, zwłaszcza że zaklinacz zwierząt nie szczędził poufnych szczegółów, tak że można było wyobrazić sobie, z jaką gorliwością i zapalem trudił się ten pracowity, nieznany świat.

- One są takie jak my - mówił Dick - tylko że zwierzęta muszą sobie co roku budować nowe domy. I tyle z tym mają pracy, że się ciągle muszą spieszyć.

Najwięcej jednak pochłaniały ich przygotowania do tego, by przewieźć Colina do tajemniczego ogrodu. Nikt nie mógł widzieć fotela na kółkach, Dicka i Mary za pewnym zakrętem w krzewach i po przejściu na dróżkę, okalającą porośnięty bluszczem mur tajemniczego ogrodu.

W miarę jak dni mijały, Colin utwierdzał się coraz mocniej w przekonaniu, że tajemniczość otaczająca ogród stanowi jeden z największych jego uroków. Nie można tego uroku zniszczyć. Niech nikt nawet nie podejrzewa, że oni mają jakieś sekrety. Niech wszyscy myślą, że ot po prostu wychodzi z Mary i Dickiem do ogrodu, ponieważ wyjątkowo nie drażni go, że tych dwoje na niego patrzy. Odbywali z sobą długie, tajemnicze rozmowy o przyszłej wyprawie. Więc tak: pójdą najpierw w górę tą ścieżką, potem w dół tamtą, później w poprzek owej dróżki - naokoło fontanny - obejdą klomby i będą udawali, że ich bardzo zajmuje przyglądanie się flancowaniu kwiatów pod dozorem pana Roacha. To będzie zupełnie naturalne i nikomu do głowy nie przyjdzie, że mają jakieś inne zamiary. Potem wejdą na wysadzone krzewami ścieżki, zginą wszystkim z oczu i dotrą do wielkiej alei.

Plan wyprawy opracowali w najdrobniejszych szczegółach, tak jak wielcy generałowie opracowują plany bitew.

Wiadomości o tym, co się działo w pokoju „chorego”, nabierały tymczasem rozgłosu i dotarły przez służbę kredensową do chłopaków stajennych i ogrodników - niemniej jednak zdumiał się pewnego dnia pan Roach, gdy otrzymał polecenie stawienia się osobiście w

pokoju Colina, którego nigdy nie dane mu było oglądać, a który teraz nagle zapragnął z nim rozmawiać.

- No, no - powtarzał, śpiesznie zmieniając ubranie - co z tego wyniknie? Jego Królewska Mość przywołuje do siebie kogoś, kogo w życiu nie widział!

Nie można twierdzić, że pan Roach nie był ciekawy. Nigdy nawet z daleka okiem nie rzucił na Colina, a słyszał mnóstwo przesadnych wersji o dziwnym wyglądzie i wybrykach chorego. Najczęściej wszakże mówiono, że chłopiec lada moment może umrzeć, i fantazjowano na temat jego garbatych pleców i bezwładnych nóg. Opowieści te rozsiewane były przez ludzi, którzy nigdy Colina nie widzieli.

- Wszystko się zmienia w tym domu, panie Roach - mówiła pani Medlock, prowadząc ogrodnika tylnymi schodami na korytarz wiodący do niedostępnych dlań dotąd apartamentów.

- Miejmy nadzieję, że zmieni się na lepsze - odparł.

- Trudno, żeby tu mogło się co odmienić na gorsze - ciągnęła dalej - a choć to wszystko dość jest osobliwe, to jednak wypełnianie obowiązków jest teraz dla wielu łatwiejsze. Niech się pan tylko nie dziwi, panie Roach, że nagle znajdzie się pan wśród menażerii i ujrzy Dicka Sowerby'ego rządzącego się jak we własnym domu i śmielszego niż pan albo ja.

Osobę Dicka istotnie otaczało coś magicznego, jak w to święcie wierzyła Mary, pan Roach bowiem uśmiechnął się życzliwie, słysząc jego imię.

- Ten czułby się jak u siebie zarówno w Buckingham Palace*, jak w kopalni węgla. I to nie przez zuchwalstwo i arogancję, lecz po prostu dlatego, że jest uroczym chłopcem.

Może jednak dobrze się stało, że pana Roacha ostrzeżono. Skoro bowiem otworzyły się drzwi sypialni, duży gawron, siedzący spokojnie na poręczy wysokiego, rzeźbionego krzesła, zaanonsował przybysza głośnym krakaniem. Pan Roach w samą porę powstrzymał się, by nie uskoczyć w tył.

Młody radża nie leżał na łóżku ani na sofie. Siedział w fotelu, a przy nim stało młode jagnię merdając ogonkiem z zadowoleniem, Dick bowiem klęczał obok, dając mu mleko z butelki. Wiewiórka przycupnęła na pochylonym grzbiecie Dicka i chrupała orzech. A dziewczynka z Indii siedziała na szerokim podnóżku i przyglądała się temu wszystkiemu spokojnie.

- Oto jest pan Roach, paniczu - oznajmiła pani Medlock.

Młody radża odwrócił się i zmierzył swego poddanego od stóp do głów - takie

* Buckingham Palace - rezydencja królewska w Londynie.

przynajmniej wrażenie miał pan Roach.

- To pan? - powiedział. - Prosiłem o przyjęcie, bo mam do pana kilka ważnych spraw.

- Do usług, sir - odparł Roach, myśląc sobie w duszy, że pewno otrzyma rozkaz wykarczowania w parku wszystkich dębów lub zamienienia sadu na stawy rybne.

- Dzisiaj po południu wybieram się do ogrodu - mówił Colin. - Jeśli mi świeże powietrze posłuży, będę przebywał tam codziennie. Niechaj żaden z ogrodników nie kręci się w tym czasie w pobliżu wielkiej alei i murów ogrodowych. Wyruszę około drugiej po południu, a im wolno będzie wrócić dopiero wtedy, gdy wydam odpowiednie polecenie.

- Wedle rozkazu, sir - odparł pan Roach z widoczną ulgą, że dęby zostaną nie naruszone, a sady nie zmienione.

- Mary - rzekł Colin zwracając się do niej - jak to się mówi w Indiach po skończonej rozmowie, gdy się chce zostać samemu?

- Mówi się: możecie odejść - rzekła Mary.

Radza skinął ręką.

- A teraz możecie odejść, Roach - powiedział. - Proszę nie zapominać, że to bardzo ważne.

- Kra - kra - potwierdził gawron trochę ochryple, lecz uprzejmie.

- Do usług, sir! - rzekł pan Roach i pani Medlock wyprowadziła go z pokoju.

Na korytarzu zaczął się uśmiechać, a potem zaśmiał się serdecznie, był bowiem z natury człowiekiem dobronurzym.

- Słowo daję! - powiedział. - A to dopiero nabrał wielkopańskich manier! Myślałby kto, że to cała rodzina królewska w jednej osobie!

- Mój Boże! - zawołała pani Medlock. - Tańczył nam po głowie, odkąd się urodził, nic więc dziwnego, że mu się zdaje, iż ludzie na to zostali stworzeni, by mógł nimi rządzić!

- Jeśli będzie żył, to może z tego wyrośnie - zauważył pan Roach.

- Jedno wiem na pewno - rzekła pani Medlock. - Jeżeli będzie żył, a ta indyjska panna będzie tu mieszkała, na pewno go nauczy, że nikt nie ma całej pomarańczy, jak mówi Susan Sowerby. Powoli i on uświadomi sobie, że tylko jedna częśćka jest jego własnością.

Colin zaś siedział w pokoju wsparty na poduszkach.

- Wszystko załatwione - powiedział. - Dzisiaj po południu zobaczę ten ogród, dzisiaj tam się znajdę!

Dick ze swymi zwierzętami wrócił do ogrodu, a Mary została z Colinem, który nie wyglądał na zmęczonego, lecz był niesłychanie spokojny cały czas przed śniadaniem i w trakcie jedzenia. Mary nie mogła się nadziwić tej odmianie i wręcz go zapytała.

- Jak jesteś zamyślony, Colinie - powiedziała - czy ci się robią takie ogromne. O czym tak dumasz?

- Nie mogę przestać myśleć o tym, jak ona wygląda - odpowiedział.

- Kto? - spytała Mary.

- Wiosna. Myślałem właśnie, że nigdy jej jeszcze nie widziałem. Rzadko kiedy wychodziłem, a jeśli już, to nie zastanawiałem się nigdy, jak wygląda.

- W Indiach to i ja wiosny nie widziałam, bo jej tam nie było - rzekła Mary.

Zamknięty całe życie w czterech ścianach i chorowity, miał Colin wyobraźnię bardziej rozbudzoną niż jego kuzynka, dużo czasu bowiem spędzał nad książkami i rycinami.

- Dzisiaj rano, gdy tu wbiegłaś i powiedziałaś, że wiosna już przyszła, doznałem dziwnego uczucia. Zdawało mi się, że ona kroczy uroczyście, przy dźwiękach trąb i muzyce. W jednej z moich książek jest taki obrazek - tłum ślicznych pań i panów, i dzieci z girlandami z gałązek okrytych kwiatem, a wszyscy się śmieją, tańczą, przygrywają na fujarkach. Dlatego ci powiedziałem: że może usłyszycie złote trąby i prosiłem, abyś szeroko otworzyła okno.

Zaśmieli się oboje nie dlatego, że ta myśl była śmieszna, lecz dlatego, że im obojgu bardzo się podobała.

Chwilę później pielęgniarka ubrała Colina. Zauważyła, że zamiast leżeć jak kłoda podczas ubierania, usiadł i nawet starał się sam sobie radzić, a cały czas śmiał się i rozmawiał z Mary.

- Panicz ma swój dobry dzień, sir - powiedziała pielęgniarka do doktora Cravena, który przyszedł na zwykłą wizytę. Jest w takim doskonałym humorze, że zaraz czuje się silniejszy.

- Zajrzę tu jeszcze po południu, kiedy już wróci ze spaceru - rzekł doktor Craven. - Muszę zobaczyć, jak mu posłuży ten spacer. Wolałbym - dodał bardzo cicho - żeby Colin pozwolił pani iść ze sobą.

- Nawet nie chcę być przy tym, sir, jak mu się to zaproponuje - odparła pielęgniarka z determinacją.

- Nie upieram się - ustąpił doktor z odcieniem irytacji. Zróbmy doświadczenie. Dick to porządny chłopak; powierzyłbym mu nowo narodzone niemowlę.

Najsilniejszy ze służących zniósł Colina ze schodów, usadowił w fotelu na kółkach, przy którym już czekał Dick, a gdy okrył panicza pledem i obłożył poduszkami, radza skinął jemu i pielęgniarce wyniośle ręką.

- A teraz pozwalam wam odejść - powiedział.

Tamci zaś zniknęli czym prędzej, by móc swobodnie pośmiać się w domu.

Dick począł wolno i statecznie pchać fotel, Mary szła obok, Colin zaś oparł głowę na poduszkach i wzniosł oczy ku niebu. Błękitna kopuła wydawała się dzisiaj ogromnie wysoka, a małe śnieżne obłoczki wyglądały jak stado białych gołębi szybujących z rozpostartymi skrzydłami po błękitnym przestworzu. Od wrzosowiska szły łagodne podmuchy, przesycone dziwnie czystą i słodką wonią. Colin wdychał wątlą piersią tę woń, a jego szeroko rozwarte oczy wyglądały jakby zasluchane.

- Ile śpiewu, brzęczenia, różnych odgłosów! - mówił. - Co to za zapach wiatr niesie od wrzosowiska?

- Janowiec zakwitł - odparł Dick. - Ile tam dzisiaj pszczoł przy nim pracuje!

W parku przez całą drogę nie zobaczyli żywej duszy. Bo też istotnie wypędzono na ten czas wszystkich ogrodników i ich pomocników. Pomimo to kluczyli tu i tam wśród krzewów, objechali fontannę i klomby, posuwając się dokładnie zaplanowaną drogą - tylko po to, by przedłużyć przyjemność oczekiwania. A gdy wreszcie skręcili w wielką aleję wzdłuż obrosłych bluszczem murów, opanowało ich dziwne wzruszenie. Nie umiając wytłumaczyć sobie przyczyny, zaczęli mówić szeptem.

- Tutaj zwykle spacerowałam i rozmyślałam - odezwała się Mary.

- Tutaj? - zapytał Colin, szukając gorliwie wzrokiem wśród bluszczów. - Nic nie mogę dostrzec. Tu nie ma żadnej furtki.

- I ja tak myślałam - odparła Mary.

Nastąpiła chwila uroczystego, skupionego milczenia. Gromadka przesunęła się jeszcze kawałek naprzód.

- W tym ogrodzie pracuje Ben Weatherstaff - objaśniała dalej Mary.

- Tu, gdzie jesteśmy? - pytał Colin.

Uszli kilka kroków, po czym Mary znów wyszeptała:

- Tutaj rudzik przeleciał wtedy przez mur.

- Jakże bym chciał, aby teraz przyfrunął! - zawołał Colin.

- A tu - wskazywała Mary z uroczystym przejęciem na duży krzak bzu - przysiadł na grudce ziemi i pokazał mi miejsce, gdzie zagrzebany był klucz.

Colin usiadł w swoim fotelu.

- Gdzie? Gdzie? - pytał, a jego oczy były wielkie jak u wilka w „Czerwonym Kapturku”.

Dick natychmiast przystanął, fotel na kółkach zatrzymał się w miejscu.

- Tutaj zaś - ciągnęła dalej Mary, kierując kroki na rabatę tuż przy samym bluszczu - poszłam za nim, a on zaczął wierzyć do mnie z wierzchołka muru. Te oto gałązki bluszczu

odgarnął wiatr. I ujęła zwisającą zieloną zasłonę.

- Och! Naprawdę! - szeptał Colin.

- A tutaj jest klamka i... furtka. Dicku, pchnij wózek! Prędko, prędko!

Dick uczynił to jednym silnym, spokojnym ruchem.

Colin w tym momencie opadł na poduszki i, głośno oddychając z wrażenia, zakrył oczy dłońmi i nie patrzył, dopóki nie znaleźli się w tajemniczym ogrodzie i dopóki nie zamknięto furtki, a jego fotel nie stanął. Wtedy dopiero odjął ręce od oczu i począł się rozglądać, tak jak niegdyś Mary i Dick. Teraz jednak świeża zieloność, powiewna jak welon, zaczęła okrywać mur, ziemię i drzewa, w trawie zaś, pod drzewami, w szarych kamiennych wazonach pełno było złocistych i purpurowych plam, drzewa nad ich głowami okryte były śnieżnym i różowym kwiatem, a wszędzie słychać było śpiew ptaków i brzęczenie owadów, zewsząd też płynęły najróżniejsze zapachy. Słońce ciepłymi promieniami niczym kochającą ręką pieściło twarz Colina. Mary i Dick przyglądali mu się zdumieni. Kolory niby płomień objęły go całego, zaróżowiły twarz, szyję, ręce...

- Będę zdrow! Będę zdrow! Będę zdrow! - zawołał. - Mary! Dicku! Będę zdrow! I będę zawsze żył! Zawsze! Zawsze!

ROZDZIAŁ XXI

BEN WEATHERSTAFF

Takie uczucie, że będzie się żyć zawsze, nadchodzi tylko czasem - kiedy człowiek zbudzi się ze snu o świtaniu, znajdzie się sam na sam z naturą i spojrzy ku niebu. Wtedy ujrzy, jak jego błądy seledyn z wolna się rozjaśnia, gdy tymczasem na wschodzie dzieją się rzeczy niezwykle, narastające jakby w jeden okrzyk triumfu. Serce przestaje bić wobec niezmiernego, potężnego majestatu wschodzącego słońca, chociaż zjawisko powtarza się każdego ranka od milionów lat. Wtedy - na chwilę - zapomina się o wszystkim. Czasem znów opanowuje owo uczucie, gdy człowiek znajdzie się sam w lesie o zachodzie słońca, a tajemnicza, przesycona złotymi promieniami cisza przenika poprzez konary drzew, jak gdyby opowiadała o sprawach odległych i pięknych. Czasem zaś ogrom ciszy nocnej z miliardami mrugających gwiazd daje nam poczucie, że żyć będziemy zawsze, czasem utwierdza nas w tej wierze piękna muzyka, czasem spojrzenie drogich nam oczu.

Uczucie to opanowało Colina, gdy po raz pierwszy usłyszał i poczuł wiosnę pośród murów tajemniczego ogrodu. Zdawało się, że tego popołudnia cały świat poprzysiągł okazać się wspaniałomyślny, radosny i dobry dla jednego chłopca. Być może, iż to dzięki tej dobroci świata wiosna przyszła i skupiła wszystkie swoje cuda w tym jednym miejscu. Dick raz po raz przystawał i z rosnącym podziwem w oczach potrzasał głową.

- Jak tu pięknie! - mówił. - Mam już dwanaście lat, zacząłem trzynasty, ale zdaje mi się, że jeszcze w życiu nie było na świecie tak pięknie!

- Cudowny dzień! Naprawdę cudowny! - dorzuciła Mary i westchnęła z wielkiej radości. - Ręczę, że to najcudowniejszy dzień, jaki dotąd był na świecie.

- Czy nie sądzicie - zaczął wolno Colin, starając się mówić jorkszyrską gwarą - czy nie sądzicie, że to może specjalnie dla mnie jest tak pięknie?

- O mój Boże! - zawołała Mary z zachwytem. - Jak ślicznie po jorkszyrsku to powiedziałeś! Pierwsza próba i taka dobra!

Zapanowała ogólna radość.

Ustawili fotel pod śliwą, białą od kwiecica i rozbrzmiewającą brzęczeniem pszczoł. Jej gałęzie tworzyły niby baldachim nad tronem królewicza z bajki. Opodał były czereśnie i jabłonie okryte blad różowymi pączkami, gdzieś ukazywały się rozwinięte kwiaty. Poprzez ukwiecone gałązki przebiegał błękit nieba niby czyjeś modre oczy.

Mary i Dick wzięli się do pracy, Colin się przyglądał. Znosili mu różne rzeczy do

obejrzenia: to rozwijające się pączki, to znów inne, mocno jeszcze stulone, to gałązki zaczynające wypuszczać listki, to piórko dzięcioła znalezione na trawie, to pustą skorupkę wcześniej wyklutego jajka. Dick obwoził Colina po ogrodzie, zatrzymując się co chwila, by mógł popatrzeć na cuda, wyrastające z ziemi lub zwieszające się z drzew. Dla chłopca było to niczym wyprawa do zaczarowanej krainy i oglądanie jej skarbów i bogactw.

- Ciekaw jestem, czy zobaczymy rudzika - powiedział Colin.

- Trzeba trochę poczekać, jeszcze mu się panicz dosyć napatrzy - odparł Dick. - Jak się jajka wylęgną, to biedak będzie strasznie zapracowany. Będzie latał to tu, to tam i znosił robaki, niemal takie duże jak on sam. A ile będzie hałasu i pisków, kiedy je do gniazda doniesie! Tyle dziobków się otworzy, że nie będzie wiedział, komu wpierw dać. Moja matka mówi, że kiedy widzi, ile taki ptak musi się napracować, żeby te wszystkie rozwarte dziobki nakarmić, to zdaje jej się, że sama jest wielką panią, która nie ma nic do roboty. Mówi, że się taki biedak musi dobrze napocić, choć ludzie tego nie widzą.

To opowiadanie tak im się spodobało, że zaczęli się głośno śmiać, a potem usta rękami zatykać, przypomnieli sobie bowiem, iż nie powinien ich nikt słyszeć. Colinowi dawali już od kilku dni lekcje cichego mówienia i szeptu. Tajemniczość ta była mu miła i stosował się do wskazówek, jak umiał najlepiej, lecz wśród radosnego ożywienia trudno czasem nie roześmiać się głośniej.

Każda chwila tego popołudnia obfitowała w nowe niespodzianki, a słońce z każdą godziną stawało się bardziej złote. Fotel ustawiono znów pod baldachimem. Dick usiadł w trawie i wyciągnął właśnie z kieszeni fujarkę, gdy Colin ujrzał coś, czego dotąd nie zauważył.

- To drzewo tam musi być bardzo stare, prawda? - zapytał.

Dick i Mary spojrzeli na drzewo i zapadło milczenie.

- O tak - odpowiedział po chwili Dick.

Mary patrzyła na drzewo i zamyśliła się.

- Gałęzie są zupełnie szare, nie mają ani jednego listka - ciągnął Colin. - Chyba całkiem uschły, prawda?

- Ale za to - mówił Dick - pnące róże tak je osłoniły, tak owinęły swymi gałązkami ze wszystkich stron, że jak liście się rozwina, a róże zakwitną, tego starego, uschniętego drzewa wcale nie będzie widać. Już nie będzie wyglądać jak martwe, będzie najładniejsze ze wszystkich.

Mary wciąż patrzyła na drzewo zamyślona.

- Zdaje mi się, że z jednej strony musiał się odłamać od pnia wielki konar - zauważył Colin. - Ciekawe, jak się to stało.

- To już bardzo, bardzo dawno temu - odparł Dick. - Ale, ale! - zawołał z ulgą, trącając lekko Colina. - Niech panicz spojrzy! Już jest! Przyniósł jedzenie samiczce.

Colin nie zdążył się przyjrzeć, dostrzegł tylko jakby cień ptaszka z czerwoną piersią, niosącego coś w dziobku. Przeleciał przez zieleń do swego zacienionego kąta i zniknął im z oczu. Colin znów odchylił się na poduszki i zaśmiał wesoło.

- On poszedł do niej na herbatę. Może to już piąta? Jedzą podwieczorek. Zdaje mi się, że i ja bym coś zjadł z apetytem.

Na razie zatem niebezpieczeństwo minęło.

- To jakiś czarodziej przysłał rudzika - mówiła później Mary do Dicka. - Na pewno!

Oboje lękali się, że Colin zacznie wypytywać o drzewo, którego gałąź złamała się dziesięć lat temu, i zagadywali go, jak mogli. Dick podrapał się zaniepokojony po głowie.

- Musimy udawać, że to coś zwykłego - powiedział wreszcie. - Nie możemy mu przecież powiedzieć, jak to było z tym złamaniem. Biedny chłopiec! Jeśli jeszcze zacznie kiedy mówić o tej gałęzi, musimy nadrabiać miną.

- Tak, tak, naturalnie - przyznała Mary.

Lecz jednocześnie czuła, że trudno jej zmusić się do wesołej miny, gdy patrzy na to drzewo.

Długo jeszcze rozmyślała, czy jest jakiś cień prawdy w tym, co Dick potem powiedział. Długo targał rudą czuprynę, a wyraz zamyślenia zaczął się w jego oczach zmieniać w łagodną słodycz.

- Pani Craven była śliczna i dobra - mówił jakby z wahaniem. - Matka myśli, że może ona nieraz patrzy na panicza, tak jak czynią matki, gdy je Pan Bóg od małych dzieci do siebie zabierze. Ona pewnie tu wraca czasami. Może była w ogrodzie, przywiodła nas tu i kazała nam pracować, abyśmy tu jej syna sprowadzili?

Mary była pewna, że Dick ma na myśli czary. Ona sama święcie w nie wierzyła. W głębi duszy była przekonana, że Dick czarował - naturalnie w sposób nie czyniący zła, ale zaczarowywał wszystko naokoło i dlatego tak go wszyscy lubili, a zwierzęta czuły, że im nic złego nie zrobi. Wydawało się jej bardzo prawdopodobne, że to on sprowadził rudzika w najdrażliwszym momencie, gdy Colin miał zadać pytanie, na które trudno byłoby odpowiedzieć. Czuła, że czary Dicka działały całe popołudnie i zupełnie odmieniły Colina. Trudno było uwierzyć, że to ten sam nieznośny chłopiec, wrzeszczący wniebogłosy i rzucający poduszkami. Nawet jego bladość zdawała się mijać. Lekkie kolory, jakie mu zabarwiły twarz, szyję i ręce, gdy tylko znalazł się w ogrodzie, sprawiły, że wyglądał na dziecko z krwi i kości, nie zaś na lalkę z wosku lub kości słoniowej.

Widzieli, jak rudzik kilka razy przynosił pożywienie samiczce i to natarczywie przypomniało Colinowi o podwieczorku.

- Idź do domu i powiedz komuś ze służby, by przyniesiono nam w koszyku podwieczorek do alei rododendronowej - poprosił Mary. - A potem oboje z Dickiem przyniesiecie go tutaj.

Pomysł przypadł im do gustu: wykonanie było łatwe, a gdy rozłożono biały obrus na trawie i podano gorącą herbatę i sucharki oraz grzanki z masłem, dzieci rzuciły się na to wszystko z radosnym apetytem; ptaszki zerkały z oddali, sprawdzając, co się dzieje, po czym skwapliwie zabrały się do sprzątania resztek. Orzeszek i Łupinka skakały po drzewach z kawałkami ciasta w pyszczkach, Sadza zaś porwała całą skórkę chleba z masłem, uciekła z nią do kąta i dziobała, przyglądała jej się, odwracała na wszystkie strony i ochryplym głosem robiła uwagi, aż wreszcie zdecydowała się połknąć ją od razu.

Dzień miał się ku schyłkowi. Złoto promieni słonecznych stawało się coraz bardziej czerwone, pszczoły wróciły do ula, ptasie śpiewy zaczęły milknąć. Dick i Mary siedzieli na trawie, opróżniony koszyk był gotowy do zabrania, Colin zaś leżał wsparty na poduszkach, loki miał odgarnięte z czoła, cerę niemal zdrową.

- No, dzisiaj chyba już czas do domu - powiedział - ale jutro tu wrócę. I pojutrze, i popojutrze.

- Zasmakowało ci świeże powietrze, prawda? - spytała Mary.

- Niczego innego już nie pragnę - odparł. - Zobaczyłem wiosnę, a niedługo zobaczę lato. Będę patrzył, jak tutaj wszystko się rozwija. I sam będę rosnać i się rozwijać.

- O, co to, to prawda! - rzekł Dick. - Chcielibyśmy oboje, żeby panicz biegał jak wszyscy.

Colin zaczerwienił się z wrażenia.

- Biegać! Czy to możliwe?! - zawołał.

Dick spojrzał na niego uważnie. Ani on, ani Mary nie pytali nigdy, co mu jest w nogi.

- Naturalnie, że możliwe - odpowiedział z przekonaniem Dick. - Pan Bóg dał paniczowi takie same nogi jak innym.

Mary przestraszyła się, ale odpowiedź Colina uspokoiła ją.

- Co prawda, to mnie nogi nigdy nie bolały - potwierdził - ale są cienkie i słabe. Drżą mi, więc się boję stanąć.

Mary i Dick odetchnęli z ulgą.

- Jak się panicz przestanie bać, to stanie z pewnością - rzekł Dick uśmiechając się. - A bać przestanie się panicz lada chwila.

- Mówisz to o mnie? - rzekł Colin i jakby nad czymś rozmyślał.

Zapanowała cisza. Słońce miało się ku zachodowi. Była to chwila, gdy wszystko po pracy przycicha; a oni istotnie mieli dzień zajęty i pełen wrażeń. Colin wypoczywał z rozkoszą. Nawet zwierzaki przestały biegać i kręcić się i leżały spokojnie obok. Sadza usiadła na niskiej gałęzi, podkuliła jedną łapkę i opuszczała sennie powieki. Mary pomyślała, że jeszcze chwila, a zaczną chrapać.

Nagle drgnęli, gdy wśród tej ciszy Colin podniósł głowę i zapytał tłumionym przez strach głosem:

- Co to za człowiek?

Dick i Mary zerwali się na równe nogi.

- Człowiek? - spytali prędko szeptem.

Colin wskazał na wysoki mur.

- Patrzcie! - szeptał podniecony. - No, popatrzcie tam!

Mary i Dick podeszli bliżej i ujrzeli Bena Weatherstaffa, patrzącego na nich z oburzeniem ze szczytu drabiny po tamtej stronie muru. Stary począł wygrażać Mary pięścią.

- Żeby miał taką córkę - krzychał - tobym jej porządnie skórę wygarbował!

Wszedł jeszcze o szczebel wyżej z groźną miną, jakby powziął mocny zamiar, by zeskoczyć i rozprawić się z Mary. Kiedy jednak dziewczynka podeszła bliżej, rozmyślił się widocznie, stanął na najwyższym szczeblu drabiny, wygrażając jej wciąż pięścią.

- Nigdy o panience dobrego wyobrażenia nie miał! - prawił. - Znosić jej nie mogłem, odkąd mi się pierwszy raz na oczy pokazała. Chude to jak miotła, blade jak serwatka, a tylko by się ciągle pytała i wtykała nos, gdzie nie potrzeba. Nie wiedzieć dlaczego to panienka się ze mną tak spoufaliła. To tylko wszystko przez...

- Benie Weatherstaff! - zawołała Mary, odzyskując całą przytomność umysłu. Stała na ziemi i musiała wołać ku niemu w górę. - Benie Weatherstaff! Rudzik pokazał mi drogę!

Zdawało się, że Ben jednym susem zeskoczy z muru, tak był oburzony.

- Jaka zła, przewrotna dziewczyna! - krzychał na całe gardło. - Panienska śmie jeszcze na ptaszka swoją winę zwać? Nie mówię, żeby on nie był nicponiem, ale znów nie do tego stopnia. Rudzik drogę pokazał! No, proszę! Rudzik! Co za przewrotne stworzenie! - Naraz przemogła w nim ciekawość, więc zapytał: - Ale jak, u licha, panienska się tu dostała?

- Rudzik pokazał mi drogę - powtórzyła Mary z uporem. - Nie wiedział prawdopodobnie, że to robi, a jednak pokazał. Ale przecież nie mogę wam tego opowiadać, skoro mi wygrażacie pięścią.

W tejże chwili Ben nagle opuścił pięść, otworzył usta i zaczął zdumiony przyglądać się czemuś zbliżającemu się do nich przez trawnik.

Kiedy Ben wybuchnął potokiem słów, Colin był tak zaskoczony, że usiadł i słuchał jak zahipnotyzowany. Po krótkiej jednak chwili opamiętał się i rozkazująco skinął na Dicka.

- Zawieź mnie tam natychmiast - polecił. - Podwieź mnie zupełnie blisko i ustaw prosto twarzą w twarz z tym starym!

To właśnie było przyczyną, dla której Ben Weatherstaff szeroko otworzył usta ze zdziwienia. Podjeżdżał ku niemu fotel na kółkach, wyłożony przepyszными poduszkami i pledami, wyglądający jak ekwipaż dworski, wewnątrz bowiem siedział rozparty młody radża o majestatycznym wyrazie wielkich, ocienionych czarnymi rzęsami oczu i wyciągał ku staremu ruchem rozkazującym cienką, białą rękę. Fotel zatrzymał się pod samym murem, nic dziwnego więc, że Ben aż usta otworzył.

- Czy wiecie, kim jestem? - spytał radża.

Ben Weatherstaff zmartwiał! Zmrużył stare, zaczerwienione oczy i utkwiał je w zjawisku, które miał przed sobą, jakby ujrział ducha. Patrzył, łykał ślinę i nie mógł słowa przemówić.

- Czy wiecie, kim jestem? - pytał Colin coraz bardziej rozkazująco. - Odpowiedzcie!

Ben Weatherstaff spracowaną, grubą dłońią przetarł oczy i czoło, po czym odparł drżącym głosem:

- Kim panicz jest? O, wiem dobrze, skoro z panicza twarzy patrzą na mnie oczy mojej pani. Jeden Pan Bóg chyba wie, jakim sposobem się tu panicz dostał. Tak, to przecież nasz biedny panicz - kaleka.

Colin zapomniał, że kiedykolwiek miał chore plecy. Twarz stanęła mu w pąsach i nagłym ruchem usiadł prosto.

- Nie jestem wcale kaleką! - wykrzyknął wściekły. - Ani trochę!

- On nie jest kaleką - wtórowała mu Mary z oburzeniem. - Colin wcale nie ma garbu! Widziałam na własne oczy jego plecy, są najzdrowsze w świecie!

Ben Weatherstaff znów przetarł oczy i patrzył ciągle, jakby się nie mógł napatrzeć. Drżały mu ręce i usta, drżał głos. Biedny stary nie wiedział dobrze, powtarzał tylko to, co słyszał od innych.

- To... to panicz nie ma garbu? - wyrzekł ochryple.

- Nie! - wybuchnął Colin.

- I nie jest panicz kulawy? - skrzeczał dalej ochryple stary.

Tego już było nadto! Ta sama moc, która przyprawiała Colina o „napady”, objawiła się w tej chwili w całkiem nowy sposób. Nigdy dotąd nie był posądzony o kalectwo nóg, nawet szeptem, więc prosto i szczerze wypowiedziane pytanie Bena wzburzyło go. Złość i obrażona duma kazały mu zapomnieć o wszystkim, dodały obcej mu dotąd energii i niezwyklej siły.

- Chodź tutaj! - krzyknął na Dicka i począł zrzucać z nóg pledy. - Chodź tutaj! Chodź!

Dick w sekundę był przy nim. Mary oddychała prędko i blada była jak płótno.

- On może sam stać! On może sam stać! On może, może! - mruzczała do siebie wzruszona.

Krótki, gwałtowny wysiłek - pledy spadły na ziemię. Dick podtrzymał Colina pod rękę, cienkie nóżki wysunęły się i spoczęły na trawie. Colin stanął wyprostowany jak struna i dziwnie wysoki. Głowę odrzucił do tyłu, jego oczy ciskały błyskawice.

- Przypatrzcie mi się! - krzyknął do Bena Weatherstaffa. - Przypatrzcie się! No, dalej!

- Panicz jest prosty! - zawołał Dick. - Prosty jak wszyscy chłopcy w Yorkshire!

To, co stało się z Benem Weatherstaffem, wydało się Mary niezwykle dziwne. Stary sapał, połykał ślinę, gdy naraz łzy zaczęły płynąć po jego pomarszczonej twarzy.

- Hej! - wybuchnął, składając ręce jak do modlitwy. - Jak też to ludzie kłamią! Cienki panicz jak patyczek i blady jak widmo, ale prościuchny jak trzcina. Wyrośnie panicz na ludzi! Bogu dzięki! Bogu dzięki!

Dick silnie podtrzymywał pod rękę Colina, lecz chłopiec nie osłabł. Stał coraz równiej, coraz pewniej i patrzył Benowi prosto w oczy.

- Kiedy mego ojca nie ma, ja tu jestem panem. Musicie słuchać mnie! - powiedział. - To mój ogród. Nie wolno wam o tym wszystkim słówka komukolwiek pisać! Zlećcie zaraz z tej drabiny i idźcie wielką aleją, a panna Mary przyprowadzi was tutaj. Chcę z wami pomówić. Nie pragnęliśmy was tu wcale widzieć, ale skoroście już nas podpatrzyli, musicie poznać naszą tajemnicę. Dalej, prędko!

Stara, pomarszczona twarz Bena wciąż mokra była od łez. Zdawało się, że oczu oderwać nie może od szczupłej, wyprostowanej postaci Colina stojącego z dumnie podniesionym czołem.

- Dziecko! - wyszeptał. - Moje drogie dziecko! - Potem opamiętał się, przyłożył rękę do czapki i rzekł: - Słucham panicza! - i szybko zszedł z drabiny, znikając wszystkim z oczu.

ROZDZIAŁ XXII

O ZACHODZIE SŁOŃCA

Gdy głowa starego zniknęła za murem, Colin zwrócił się do Mary:

- Wyjdź mu na spotkanie - powiedział i Mary pośpieszyła przez trawnik do ukrytej furtki.

Dick przyglądał się bacznie Colinowi, który miał wypieki na twarzy, wyglądał na podnieconego, lecz nie znać było po nim zmęczenia.

- Mogę stać - wyrzekł z głową podniesioną i odcieniem dumy w głosie.

- Przecież mówiłem, że panicz będzie mógł stać i chodzić, jak się przestanie bać - odrzekł Dick. - No i przestał się panicz bać.

- Tak jest, przestałem - przyznał Colin.

Nagle przypomniał sobie coś, o czym niejednokrotnie wspominała Mary.

- Czy ty naprawdę jesteś czarodziejem? - spytał ostro.

Usta Dicka rozszerzyły się w uśmiechu.

- To takie same czary jak te, które każą im kielkować pod ziemią - odparł, wskazując na klomb krokusów.

Colin spojrzał na kwiaty.

- Tak - rzekł wolno. - Tak! Chyba nie ma większych czarów na świecie.

Wyprostował się jeszcze bardziej.

- Poczekaj, dojdę do tego drzewa - rzekł, wskazując na oddaloną o kilka kroków lipę. - Chcę koniecznie stać, gdy Ben tu wejdzie. W razie potrzeby oprę się o drzewo. Jak będę chciał usiąść, to usiądę, ale mi wprzód przynieś pled z fotela.

Podszedł do drzewa, pewnie stawiając kroki, jakkolwiek Dick podtrzymywał go wciąż jeszcze pod rękę. Colin stanął pod lipą i nieznacznie oparł się o jej pień, trzymał się zaś tak prosto, iż wydawał się wysoki nad wiek.

Ben Weatherstaff wszedł przez furtkę do ogrodu, ujrzał Colina stojącego i usłyszał, jak Mary mruczała coś pod nosem.

- Co panienska mówi? - spytał trochę szorstko, nie chciał bowiem, by cokolwiek odwracało jego uwagę od wysokiej, smukłej postaci chłopca o dumnej twarzyczce.

Lecz dziewczynka nie odpowiedziała, tylko dalej cicho mówiła do siebie:

- Możesz stać! Możesz stać! Mówiłam ci, że możesz stać! I możesz! Możesz! Możesz! Mówiła to niby do Colina, chcąc także rzucić na niego czar i utrzymać go na nogach,

zwłaszcza w tak doskonałej postawie. Nie mogła po prostu znieść myśli, by Colin mógł zachwiać się na oczach Bena. Lecz on się nie zachwiał. Naraz uprzytomniła sobie, że Colin, mimo swego wycieńczenia, wygląda pięknie. Chłopiec zaś skierował wzrok na Bena Weatherstaffa, w swój zabawnie władczy sposób.

- Spójrzcie na mnie - rozkazał. - Przyjrzyjcie mi się dobrze! Czy jestem garbaty? Czy mam nogi bezwładne?

Ben Weatherstaff nie opanował jeszcze wzruszenia, lecz uspokoił się na tyle, że odpowiedział:

- Mowy nie ma! Ani garbu, ani nic podobnego! Czemu panicz krył się przed oczami ludzkimi i pozwalał na to, by gadano, że panicz jest kaleką i niespełna rozumu?

- Niespełna rozumu! - zawołał Colin rozniewany. - Kto to wymyślił?

- Czereda półgłówków - odrzekł Ben. - Świat jest pełen osłów, co to łżą, jak potrafią. Ale czemu, u licha, panicz się tak ukrywał?

- Bo wszyscy przypuszczali, że rychło umrę - krótko rzucił Colin. - Ale ja nie umrę!

Powiedział to tak stanowczo, że Ben Weatherstaff zaczął go oglądać od stóp do głowy.

- Panicz miałby umierać! - zawołał wesoło. - Co za głupstwo! Tyle w paniczu energii i życia! Zobaczyłem, jak panicz szybko nogi z wózka zdjął, i zaraz pomyślałem, że wszystko, co mówili, było głupim wymysłem. A teraz niech panicz usiądzie sobie na derce, odpocznie trochę i wyda mi rozkazy.

W jego głosie wyczuwało się szorstką czułość i tkliwe zrozumienie stanu chłopca. Mary opowiedziała mu o Colinie, ile tylko zdążyła, kiedy szli razem przez wielką aleję parku. Najważniejszą rzeczą, którą Ben miał zapamiętać, było to, że Colin jest już zupełnie, ale to zupełnie zdrow, a działał to ogród, i że nie należy już mówić o kalectwie i śmierci.

Radza zgodził się łaskawie na zajęcie miejsca na rozłożonym pod drzewem pledzie.

- Robię wszystko to, co mi każą - odparł Ben Weatherstaff. - Jestem na łaskawym chlebie, bo ona mnie lubiła.

- Jaka: ona? - spytał Colin.

- Matka panicza - odparł Ben.

- Moja mama? - Colin rozglądał się wokół w skupieniu. To był jej ogród, prawda?

- Tak, to był jej ogród! - rzekł Ben Weatherstaff i też zaczął się rozglądać dookoła. - Bardzo go kochała.

- Teraz ten ogród jest mój. Ja go też kocham. Będę tu codziennie przychodził - oświadczył Colin. - Ale ma to pozostać tajemnicą. Nikt nie może wiedzieć, że tutaj

przychodzimy. Dick i moja kuzynka pracowali tu i przywrócili go do życia. Będę posyłał po was, żebyście nam pomogli, ale musicie koniecznie przyjść tak, by nikt was nie widział.

Twarz Bena wykrzywiła się zabawnym uśmiechem.

- Przychodziłem tu przedtem i też nikt mnie nie widział - powiedział.

- Co takiego?! - wykrzyknął Colin. - Kiedy to było?

- Ostatni raz - mówił Ben trąc brodę i rozglądając się - byłem dwa lata temu.

- Ależ tu od dziesięciu lat nikt nie wchodził! = zawołał Colin. - Przecież furtka była zamknięta.

- Nie jestem niedołęgą - stwierdził oschle Ben. - Nie wchodziłem przez furtkę, tylko przechodziłem przez mur. Ale ostatnie dwa lata tak dokuczał mi reumatyzm, że nie mogłem przeleźć.

- Aha! To wy przycinaliście gałązki! - powiedział Dick. Nie mogłem zgadnąć, kto mógł to zrobić.

- Nieboszczka pani tak ten ogród lubiła, tak lubiła - wolno mówił Ben Weatherstaff. - A taka była młoda, śliczna! „Benie - mówi raz do mnie i uśmiecha się - jeśli bym zachorowała albo umarła, musisz opiekować się moimi różami”. Lecz gdy pani odeszła, rozkazano, żeby tu nikt nie wchodził. Ale ja przychodziłem i przychodzę - dodał z uporem - przełaziłem przez mur, dopóki mi reumatyzm nie przeszkodził, i co rok najpilniejsze roboty wykonywałem. Rozkaz nieboszczki był wcześniejszy, więc się go trzymałem.

- Róże by pomarniały, gdybyście ich nie opatrywali - rzekł Dick. - To pewne.

- Cieszę się, żeście to robili, Weatherstaff - odezwał się Colin. - Ale czy potraficie dochować naszej tajemnicy?

- Pewno, że potrafię, sir - odparł Ben. - A staremu, z reumatyzmem, zawsze łatwiej będzie wejść przez furtkę.

Mary podniosła leżącą na trawie łopatkę, a Colin wyciągnął po nią rękę. Jego twarz nabrała dziwnego wyrazu, kiedy zaczął poruszać ziemię. Wychudzone ręce nie miały siły, lecz Colin - na oczach wszystkich, a zwłaszcza Mary, która na niego patrzyła z ogromnym przejęciem i wzruszeniem - wbił łopatkę w ziemię i odwrócił skibę.

„Możesz kopać! Możesz kopać! - powtarzała Mary w myśli. - Mówię ci, że możesz kopać”.

Okrągłe oczy Dicka pełne były zaciekawienia, lecz chłopiec nic nie mówił. Ben Weatherstaff przyglądał się z zainteresowaniem.

Colin kopał wytrwale. Po skopaniu kawałka ziemi odezwał się wesoło do Dicka czystą jorkszyrską gwarą:

- Powiedziałeś, że chciałbyś, abym chodził jak wszyscy ludzie i kopał ziemię. Myślałem, że chciałeś mi tylko zrobić przyjemność. To dopiero pierwszy dzień, a już chodziłem i teraz nawet kopię!

Ben Weatherstaff otworzył usta, jakby chcąc coś powiedzieć, lecz uśmiechnął się tylko.

- Olaboga! - zawołał wreszcie. - Sprytu ma panicz dosyć, jak widzę. Panicz naprawdę jest nasz, tutejszy, jak tak mówi ładnie po naszemu. I kopie panicz niezgorzej... Chciałby panicz co zasadzić? Mogę przynieść różę w donicze.

- Dobrze, przynieście! - radośnie zawołał Colin kopiąc zawzięcie. - Tylko prędko!

Rzeczywiście wszystko poszło prędko. Ben Weatherstaff pobiegł zapominając o reumatyzmie. Dick wziął swoją łopatkę, pogłębił i rozszerzył dołek, czego nie umiał niewprawny ogrodniczek o białych i delikatnych rękach. Mary co tchu popędziła po konewkę z wodą. Colin przerzucał i poruszał świeżo wykopaną ziemię. Patrzył w niebo, zaczerwieniony od wysiłku przy tej nowej, nie znanej sobie, choć właściwie łatwej robocie.

- Chciałbym zasadzić, zanim słońce całkiem zajdzie - powiedział.

Mary pomyślała, że dzisiaj słońce na pewno zajdzie parę minut później. Ben Weatherstaff przyniósł z oranżerii różę w donicze. Przykuśtykał przez trawnik, jak umiał najprędzej, i jego zaczęło to wszystko wciągać. Przyklęknął przy wykopanym dołku i wyjął różę z doniczki.

- Proszę - rzekł wręczając ją Colinowi. - Niech ją panicz sam w ziemię wsadzi, tak jak czyni to król, gdy pierwszy raz przybywa w jakieś miejsce.

Drobne, białe ręce Colina drżały trochę, a silniejszy rumieniec pokrył jego twarz, gdy trzymał różę w dołku, podczas gdy stary Ben obsypywał ją ziemią i ubijał. Dołek był już wypełniony, ziemia ubita. Mary patrzyła klęcząc, podparta na dłoniach. Sadza sfrunęła z drzewa, spacerowała wokoło nich i zerkając, co robią. Orzeszek i Łupinka widocznie wymieniały uwagi, przyglądając się wszystkiemu z pobliskiej wiśni.

- Już zasadzona! - rzekł wreszcie Colin. - A słońce dopiero chowa się za mur. Dicku, pomóż mi wstać. Chcę patrzeć, jak będzie zachodziło. To też należy do czarów.

Dick podparł Colina, a potem czary czy nie czary dały Colinowi na tyle sił, że gdy słońce chowało się za horyzont, kończąc ten cudowny dla nich dzień, chłopiec stanął prosto i mocno na nogach, szczęśliwy i roześmiany.

ROZDZIAŁ XXIII

CZARY

Kiedy dzieci wróciły do domu, doktor Craven czekał już od dość dawna, zastanawiając się nawet, czy nie należy wysłać kogoś dla zbadania, gdzie się podziewają. Gdy Colin znalazł się wreszcie w pokoju, doktor zaczął mu się bacznie przyglądać.

- Nie powinienesz być zostawać tak długo w ogrodzie - powiedział. - Nie trzeba się przemęczać.

- Nie czuję się ani trochę zmęczony - odparł Colin. - Doskonale mi to zrobiło. Jutro wyjdę i rano, i po obiedzie.

- Nie wiem, czy mogę ci na to pozwolić - rzekł doktor Craven. - Lękam się, że to bardzo nierozsądne.

- Byłoby bardzo nierozsądne chcieć mnie zatrzymać w domu - powiedział Colin z powagą. - Tak czy owak, pójdę.

Nawet Mary zauważyła, że jedną z głównych wad Colina było to, że zupełnie sobie nie zdawał sprawy, jak niemądry i nie na miejscu był jego rozkazujący ton. Żyjąc dotąd jakby na odludnej wyspie i panując na niej niepodzielnie, wyrobił sobie własny sposób postępowania, którego w swym odosobnieniu nie mógł porównać z innym. Sposób bycia Mary bardzo był podobny, ale po przyjeździe do Misselthwaite dziewczynka zaczęła stopniowo przekonywać się, że zachowanie jej odbiega od ogólnie przyjętych zwyczajów. Zrobiwszy takie spostrzeżenie, uznała za konieczne podzielić się nim z Colinem. Teraz skorzystała z okazji. Kiedy doktor Craven wyszedł, zaczęła się chłopcu pilnie przyglądać. Chciała, żeby spytał, dlaczego tak na niego patrzy, i dopięła celu.

- Dlaczego tak na mnie patrzysz? - spytał.

- Bo tak sobie myślę, że bardzo mi żal doktora Cravena.

- Mnie go równie żal - spokojnie, lecz z widocznym zadowoleniem odparł Colin. - Musi biedak zrezygnować z odziedziczenia Misselthwaite.

- No tak, to też - powiedziała Mary - ale mnie przyszło na myśl, że dla niego musiało być okropnie męczące przez dziesięć lat traktować uprzejmie chłopca, który zawsze zachowywał się wobec niego grubiańsko. Ja bym tego nie zniosła.

- Uważasz, że jestem grubiański? - zapytał Colin obojętnie.

- Gdybyś był jego synem, a on takim ojcem, co to lubi bić - odparła - to powinien cię porządnie przetrzepać.

- Nie miał prawa zrobić tego - rzekł Colin.

- Tak, nie miał prawa - potwierdziła Mary bezstronnie. Nikomu nie było wolno sprzeciwić ci się, bo niby to miałeś rychło umrzeć, i co tam jeszcze. Byłeś taki biedny!

- Ale teraz już nie będę biedny - oświadczył Colin z uporem. - I nie chcę, by ludzie tak o mnie myśleli. Przecież dziś po południu stałem na własnych nogach.

- Ale to, że wszyscy zawsze ci ulegali, zrobiło z ciebie dziwadło - ciągnęła Mary, głośno myśląc.

Colin odwrócił się i zmarszczył brwi.

- Uważasz, że jestem dziwadłem? - spytał.

- Tak - rzekła Mary - i to strasznym. Nie gniewaj się - dodała spokojnie. - Ja też jestem dziwadłem i Ben Weatherstaff również. Ale ja nie jestem już taka, jaka byłam, zanim zaczęłam lubić ludzi, zanim odkryłam ten ogród.

- Nie chcę być dziwadłem - rzekł Colin. - I nie będę - dodał, marszcząc czoło z silnym postanowieniem.

Colin był chłopcem bardzo dumnym. Chwilkę leżał cicho, rozmyślając, po czym Mary dostrzegła uśmiech, rozjaśniający i przeobrażający zupełnie jego twarz.

- Przestanę być dziwadłem, jeśli będę co dzień chodzić do ogrodu - mówił. - Tam panują czary, wiesz, takie dobre czary. Pewien tego jestem.

- Ja także jestem pewna - przytaknęła Mary.

- A jeśli nawet ich nie ma, możemy udawać, że są. W każdym razie coś tam jest.

- Magia - odrzekła Mary - ale nie czarna, tylko biała jak śnieg.

Istotnie, następne miesiące były jakby zaczarowane - zadziwiająco promienne, pogodne. Mój Boże! Ileż to cudownych rzeczy zdarzyło się w ogrodzie! Jeśli nigdy nie widzieliście takiego ogrodu, nie zdołacie tego zrozumieć; jeśli zaś widzieliście, to wiecie, że trzeba by napisać grube tomisko, aby opowiedzieć, co się tam działo. Najpierw zdawało się, że nie będzie końca kiełkowaniu i ukazywaniu się coraz to nowych roślin na ziemi, na trawie, na klombach, nawet w zagłębieniach muru. Potem owe rośliny zaczęły okrywać się pączkami, pączki poczęły się rozwijać i ukazywać kolory: wszystkie odcienie błękitu, wszystkie odcienie purpury, karmazynu i fioletu. Podczas owych szczęśliwych dni sadzono troskliwie kwiaty w każdym kącie, w każdym wolnym miejscu. Ben Weatherstaff przyglądał się, potem usunął wapno spomiędzy cegieł w murze, wypełnił zagłębienia ziemią i sadził rośliny. Irysy i białe lilie można było zbierać snopami, klomby napełniły się masą białych, niebieskich i żółtych ostróżek, dzwonków, mieczyków.

- Jak pani je kochała! - mówił Ben Weatherstaff. - Lubiła wszystko, co spogląda ku

niebu. Ziemię pani też kochała, owszem, ale mówiła, że to błękitne niebo zawsze zdaje się takie radosne.

Wysiane przez Dicka i Mary kwiaty rosły jak za dotknięciem różdżki czarodziejskiej. Setki jedwabistych maków wszystkich kolorów pochylało się przy powiewie wiatru; kwiaty, które od lat rosły w tym ogrodzie, zdawały się dziwić nowym opiekunom. A róże? Z dnia na dzień, z godziny na godzinę było ich coraz więcej. Pojawiały się na trawie, owijały się wokół pni, zwieszały z gałęzi drzew, pięły po murach i rozsypywały po nich kaskadą girland: Jasne, świeże liście i pączki - wpierw drobne, potem coraz większe, aż wreszcie rozwinięte w kielichy pełne woni, która przelewała się falami przez ogród i przesycała powietrze.

Colin obserwował wszystko, przyglądał się każdej zmianie. Co rano przywozili go tutaj i jeżeli nie padało, spędzał w ogrodzie całe dnie. Lubił nawet dnie pochmurne. Pragnął leżeć na trawie i przyglądać się, jak wszystko rośnie” - mawiał. Dodawał przy tym, że jeśli patrzeć bacznie, to można dostrzec, jak się pączki rozwijają, można poznać światek pracowitych owadów, biegających to tu, to tam po ścieżkach, noszących często żdźbła trawy, piórka i pożywienie lub wdrapujących się na łodyżki jak na drzewa, skąd można objąć wzrokiem okolicę. Kiedyś cały ranek zajęło Colinowi obserwowanie kreta budującego na końcu podziemnego korytarza szaniec uzbrojonymi w długie pazurki łapkami. Obyczajne mrówek, chrząszczy, pszczoł, żab, ptaków i roślin odkrywały przed nim nowe światy. A gdy Dick opisał mu obyczaje lisów, wyder, łasic, wiewiórek, pstrągów, szczurów wodnych i borsuków - nie było końca rozmowom i rozmyśleniom.

Ale to była zaledwie część czarów. Fakt, że stanął wtedy na własnych nogach, dał Colinowi powód do rozmyślenia, a gdy Mary wyjawiała mu, jak starała się go „zaczarować”, chłopiec bardzo się tym przejął i wzruszył, i wciąż powracał do tego w rozmowach.

- Naturalnie, że w świecie musi być mnóstwo czarów - rzekł pewnego dnia z powagą - tylko ludzie nie wiedzą, jak one wyglądają i jak je czynić. Może trzeba zacząć od tego, by uwierzyć, że stanie się coś dobrego, i wierzyć w to, dopóki się naprawdę nie stanie. Muszę spróbować robić doświadczenia.

Następnego dnia, gdy poszli do tajemniczego ogrodu, posłał natychmiast po Bena Weatherstaffa. Stary ogrodnik przyszedł, jak mógł najprędzej, i ujrzał radzę stojącego pod drzewem i miło uśmiechniętego.

- Dzień dobry, Benie! - powiedział. - Chciałbym, żebyście stanęli tu rzędem z panną Mary i Dickiem, chcę wam bowiem powiedzieć coś bardzo ważnego.

- Wedle rozkazu, sir! - odrzekł Ben dotykając czapki.

Ben Weatherstaff jako chłopiec służył kiedyś na okręcie i odbywał dalekie podróże,

umiał więc salutować jak marynarz, co stanowiło jeden z długo skrywanych uroków jego osoby.

- Chciałbym przeprowadzić pewne doświadczenie - tłumaczył tymczasem radza. - Gdy dorosnę, będę robił wielkie naukowe odkrycia, teraz zaś chciałbym rozpocząć od małego doświadczenia.

- Wedle rozkazu, sir! - śpiesznie rzekł Ben Weatherstaff, choć pierwszy raz w życiu słyszał o odkryciach naukowych.

Mary również słyszała o nich po raz pierwszy, niemniej jednak zaczynała nabierać pewności, że Colin był wprawdzie dziwakiem, ale przeczytał wiele książek, a ponadto miał dar przekonywania. Jeśli podniósł głowę i utkwiał w kimś swe dziwne, wielkie oczy, czuło się, że jakkolwiek ma dopiero dziesięć lat, trzeba mu wierzyć, czy się chce, czy nie chce. W tej chwili zaś był bardziej przekonywający niż zwykle, gdyż przejął się tym, że ma wygłosić mowę jak dorosły człowiek.

- Owe wielkie naukowe odkrycia, jakich zamierzam dokonać - mówił - dotyczyć będą czarów. Czary to potężna rzecz i mało kto o nich coś wie, wyjąwszy kilku ludzi, którzy czytali o tym w starych książkach. No i Mary wie o nich niejedno, ponieważ urodziła się w Indiach, gdzie są fakirzy. Myślę, że i Dick zna czary, choć może nawet nie wie, że je zna. Umie zaczarować zwierzęta i ludzi. Nie byłbym nigdy pozwolił, żeby przyszedł i spojrzał na mnie, gdyby nie był zaklinaczem zwierząt. Jestem przekonany, że czary tkwią we wszystkim, tylko ludzie nie mają dość sprytu, żeby zmusić je do wykonywania różnych rzeczy za nich, jak to czynią konie, elektryczność i para.

Brzmiało to tak imponująco, że Ben Weatherstaff wzruszył się, nie potrafiąc zapanować nad sobą.

- Wedle rozkazu, sir! - powiedział, prężąc się jeszcze bardziej.

- Gdy Mary odkryła ten ogród, był całkiem martwy - ciągnął dalej mówca. - Potem jakaś siła zaczęła wypychać rośliny z ziemi i z niczego zrobiło się coś. Jednego dnia nie było nic, nazajutrz już coś było. Przedtem niczego nie widziałem, za to teraz wszystko mnie interesuje. Ludzie nauki są bowiem zawsze ciekawi, a ja będę człowiekiem nauki. Ciągłe sobie mówiłem: Co to jest? Musi coś być. Nie może nic nie być. Nie wiem, jak się to coś nazywa, więc nazywam to czarami. Nie widziałem nigdy wschodu słońca, lecz widziała go Mary i Dick widział, a z tego, co mi opowiadali, pewny jestem, że to też czary. Coś pcha słońce i ciągnie. Czasami - odkąd przychodzę do ogrodu - patrzyłem przez gałęzie w niebo i doznawałem dziwnego uczucia szczęścia, jakby coś mnie pchało naprzód, dawało siłę i kazało prędzej oddychać. Czary zawsze do czegoś popychają, ciągną i tworzą coś z niczego.

Wszystko jest jakimś czarem - liście i drzewa, kwiaty i ptaki, borsuki i lisy, i wiewiórki, i ludzie. Zatem ta siła musi znajdować się wokół nas. I w tym ogrodzie, i na każdym miejscu. Czary tego ogrodu sprawiły, że stanąłem na nogi, i sprawiają, że będę żył i dorosną. A teraz chcę zrobić doświadczenie - chcę spróbować zmusić te czarodziejskie moce do tego, żeby wstąpiły we mnie i uczyniły mnie silnym. Nie wiem, jak się do tego zabrać, ale przypuszczam, że jeśli bez ustanku będę o nich myślał i przywoływał je, to może do mnie przyjdą. Kiedy pierwszy raz spróbowałem stanąć o własnych siłach, Mary wciąż powtarzała sobie: „Możesz stanąć, możesz stanąć!” - i stanąłem. Wprawdzie i ja wtedy tego chciałem, ale głównie pomogły mi czary, jej i Dicka. Teraz każdego wieczora i każdego rana, zawsze jak tylko sobie przypomnę, będę myślał: Czary są i działają! Uzdrawiają mnie! Będę silny jak Dick! I wy wszyscy musicie robić to samo. Oto moje doświadczenie. Czy pomożecie nam, Benie?

- Wedle rozkazu - rzekł Ben Weatherstaff. - Wedle rozkazu!

- Jeśli będziemy to robić codziennie, tak regularnie jak żołnierze ćwiczenia, wtedy przekonamy się, czy doświadczenie się udało. Wszystkiego uczymy się przecież w ten sposób, że powtarzamy, powtarzamy, dopóki sobie tego dobrze w pamięć nie wbijemy, i myślę, że tak samo będzie z czarami. Jeśli będziemy je wciąż przywoływać na pomoc, staną się w końcu częścią nas samych i pomagać będą w wielu sprawach.

- W Indiach słyszałam kiedyś, jak jakiś oficer opowiadał mamusi, że fakirzy po tysiąc razy powtarzają te same wyrazy - wtrąciła Mary.

- Ja też słyszałem, jak Bessy Fettleworth powtarzała tysiące razy to samo w kółko, mówiąc swojemu mężowi, że jest obrzydliwym pijakiem - dodał cierpko Ben Weatherstaff. - A że zawsze coś z tego musi wyniknąć, mąż wytłukł ją na kwaśne jabłko, a sam poszedł „Pod Niebieskiego Lwa” i popił sobie za wszystkie czasy.

Colin zmarszczył brwi i chwilę rozmyślał. Potem uśmiechnął się i rzekł:

- Zatem widzicie, że coś z tego powtarzania wynikło. Tylko ta kobieta używała czarów złych, więc mąż po prostu ją wytłukł. Gdyby użyła czarów dobrych i powtarzała mu coś ładnego, to może by nie tylko nie podpił sobie, ale może by jej kupił nowy czepek.

Ben Weatherstaff roześmiał się, a w jego małych oczkach odmalowało się uwielbienie.

- Z panicza rozumny chłopiec i zdrowy, z prostymi nogami - powiedział. - Jak na przyszły raz zobaczę Bessy Fettleworth, to jej napomknę o tym, co czary mogą dla niej uczynić. Byłaby okropnie kontenta, gdyby te doświadczone nauki dobrze podziałały na jej męża.

Dick przysłuchiwał się temu, co mówił Colin, z oczami błyszczącymi podziwem i radością. Orzeszek i Łupinka siedziały mu na ramieniu, na rękę zaś piastował białego królika. Zwierzątko kładło po sobie długie uszy i przeciągało się zadowolone, kiedy chłopiec je głaskał.

- Czy sądzisz, że doświadczenie się uda? - zapytał Colin, który nieraz chciałby wiedzieć, co Dick myśli, uśmiechając się promiennie i patrząc na niego lub na swoje stworzonka”.

Teraz też się uśmiechnął, a uśmiech jego był jaśniejszy niż zwykle.

- Ojej! Naturalnie, że się uda! - odpowiedział. - Czary będą działać tak samo jak słońce, kiedy ogrzewa ziemię. Działać będą na pewno. Czy mamy zaraz zacząć?

Colin był rozpromieniony. Mary również. Przypominając sobie fakirów i derwiszów z ilustrowanych książek, Colin poddał myśl, by wszyscy usiedli po turecku pod drzewem tworzącym nad nimi baldachim.

- To tak, jakbyśmy zasiedli w jakiejś świątyni - rzekł Colin. - Jestem trochę zmęczony i chciałbym usiąść.

- No, no! Paniczu! - rzekł Dick. - Nie wolno zaczynać od mówienia, że się jest zmęczonym, bo czary uciekną!

Colin odwrócił się i spojrzał w jego niewinne, okrągłe oczy.

- Tak, to prawda - wyrzekł z namysłem. - Muszę wciąż pamiętać o czarach.

Gdy zasiedli kołem pod drzewem, wyglądali naprawdę tajemniczo i uroczyście. Ben Weatherstaff miał wrażenie, że go gwałtem wprowadzili na jakieś nabożne zgromadzenie. Z zasady przeciwny był takim zgromadzeniom, ale ponieważ tym razem chodziło o młodego radcę, nie bronił się, a nawet pochlebiało mu, że go zaproszono do współudziału. Mary była w uroczystym nastroju. Dick trzymał królika na ręce i chyba dawał potajemnie jakieś znaki, kiedy bowiem usiadł po turecku jak inni, gawron, lisek, wiewiórki i jagnię zaczęły się z wolna przybliżać i wchodzić do koła, zajmując miejsca wedle własnego wyboru.

- Zwierzęta przyszły - rzekł Colin poważnie. - Chcą nam pomóc.

Mary zauważyła, że Colin wygląda prześlicznie. Głowę trzymał podniesioną dumnie, jakby się czuł jakimś kapłanem, a dziwne jego oczy rzucały tajemniczy blask. Promienie słoneczne oświeślały go poprzez baldachim z liści.

- Zaczynamy - powiedział. - Mary, czy będziemy się kiwać w tył i w przód, jak derwisze?

- Ja się nie mogę kiwać na różne strony, bo mi reumatyzm wlaźł w kości - rzekł Ben Weatherstaff.

- Czary was wyleczą - rzekł Colin tonem wielkiego maga - ale nie będziemy się kiwali, dopóki nie poczujemy się dobrze. Na razie będziemy śpiewali.

- Ja tam nie umiem śpiewać - rzekł Ben Weatherstaff trochę zły. - Jedyne raz próbowałem śpiewać w kościele, to mnie z chóru wyrzucili.

Nikt się nie roześmiał. Wszyscy zanadto byli przejęci. Przez twarz Colina nie przemknął nawet najlżejszy cień uśmiechu. Myślał tylko o czarach.

- Więc sam będę śpiewał - powiedział. I zaczął nucić. Wyglądał nie jak chłopiec z krwi i kości, lecz niczym jakieś zjawisko. - Słońce, cudowne słońce wiosenne świeci - to czary. Rozkwitają kwiaty, rozchylają się kielichy róż, ich korzonki czerpią życie z ziemi - to czary. Życie - to czary, być silnym to czary. Czary są we mnie, czary są ze mną. Są ze mną, są we mnie. Są w nas wszystkich. Czary są w plecach i chorych kościach Bena Weatherstaffa. Czary! Czary! Przybądźcie, pomóżcie!

Powtarzał to wiele, wiele razy - może nie tysiąc, ale w każdym razie bardzo dużo. Mary słuchała jak zahipnotyzowana. Wydało jej się to równocześnie dziwne i piękne i chciała, by tak powtarzał bez końca. Bena Weatherstaffa poczęła ogarniać dziwna, słodka senność. Brzęczenie pszczół wśród kwiecica w połączeniu z jednostajnością dziecięcego głosu usposabiało do snu. Dick siedział z uspiętym królikiem na kolanach, a jedną rękę oparł na grzbiecie jagniątki. Sadza odepchnęła wiewiórkę i przytuliła się do ramienia chłopca, szare powieki opadły jej na senne oczy.

W końcu Colin ucichł.

- Teraz obejdę ogród dokoła - oświadczył po chwili.

Ben Weatherstaff, kiwając się w najlepsze, obudził się nagle.

- Spaliście - rzekł Colin.

- Co znowu! - mamrotał Ben. - Kazanie było niezgorsze, ale muszę wyjść, nim zaczął zbierać na tacę.

Nie obudził się jeszcze na dobre.

- Przecież nie jesteście w kościele - rzekł Colin.

- Ja? W kościele? Nie - e - e - rzekł Ben prostując się. - Kto mówił, że jestem w kościele? Wszystkom słyszał. Panicz mówił, że czary są w moich kościach. Doktor to nazywa reumatyzmem.

Radza skinął ręką.

- To były niedobre czary - rzekł do Bena. - Teraz będzie wam lepiej. Możecie odejść do waszych zajęć, lecz wróćcie tu jutro.

- Chciałbym widzieć jeszcze, jak panicz będzie obchodził ogród dokoła - mruczał

stary bez złości.

Istotnie nie był zły, ale jako stary, zatwardziały uparciuch, nie wierzący w żadne „czary”, postanowił, że jeśli go stąd wyrzucą, wejdzie na drabinę i patrzeć będzie ponad murem, aby móc przykuśtykać z powrotem, gdyby Colin się potknął.

Radza jednak zgodził się na to, by stary pozostał, i pochód ruszył z miejsca uroczystą procesją. Colin szedł na czele z Dickiem i Mary po obu stronach, za nimi kroczył Ben Weatherstaff, a dalej cisnęły się stworzenia: jagnię i lisek, starające się być jak najbliżej Dicka, Sadza z powagą osoby mającej poczucie swej godności.

Procesja posuwała się wolno, lecz uroczyście, przystając co kilkanaście kroków dla odpoczynku. Colin wspierał się na ramieniu Dicka, Ben zaś w cichości pilnie baczył, by mu się co nie stało. Lecz chłopiec co pewien czas zdejmował rękę z ramienia swego przyjaciela i szedł kilka kroków o własnych siłach. Cały czas głowę miał podniesioną i wydawał się bardzo wysoki.

- Czary są we mnie! - wciąż powtarzał. - Czary mi dają siłę! Czuję je w sobie, czuję!

Zdawać by się mogło, że coś go rzeczywiście podnosiło na duchu i podtrzymywało. Przysiadł na ławeczkach w altanach, kilka razy odpoczywał na trawie, a kilka razy tylko zatrzymywał się na ścieżce i wspierał mocniej na ramieniu Dicka, lecz nie chciał dać za wygraną, póki nie obszedł ogrodu dokoła. Gdy powrócił pod swój baldachim, twarz miał zaróżowioną i minę triumfującą.

- Dopiąłem swego! Czary poskutkowały! - wołał radośnie.

- To moje pierwsze odkrycie.

- Co doktor Craven na to powie! - rzekła uszczęśliwiona Mary.

- Nic nie powie - odparł Colin - bo o niczym nie będzie wiedział. To będzie nasza tajemnica. Nikt nic nie powinien o tym wiedzieć, dopóki na tyle się nie wzmocnię, że będę mógł chodzić i biegać. Co dzień będziecie mnie przywozić i dowozić w fotelu. Nie chcę, żeby wokół szeptano i dopytywano się, i nie chcę by ojciec wiedział cokolwiek, zanim doświadczenie się uda. Za to kiedy wróci do Misselthwaite, wejdę nagle do jego pokoju i powiem: „To ja, tatusiu! Jestem jak inni chłopcy. Czuję się zupełnie zdrow i wyrosnę na dzielnego człowieka. A stało się to dzięki doświadczeniom naukowym”.

- Twój ojciec pomyśli, że to sen! - zawołała Mary. Oczom swoim nie będzie chciał wierzyć.

Colin uśmiechnął się triumfująco. Nakazał sobie uwierzyć, że będzie zdrow, i to było już połową wygranej. Na duchu podtrzymywała go głównie myśl o ojcu. Colin był ciekaw, co ojciec powie, jaką minę zrobi, gdy dowie się, że ma syna zdrowego i prostego jak inni

chłopcy. Największym strapieniem minionych, beznadziejnie smutnych dni była bezsilna nienawiść do choroby, która zabierała mu miłość ojca.

- Ojciec będzie musiał w końcu uwierzyć mi - powiedział. - Gdy czary już zrobią swoje i będę zdrow, moim pierwszym zajęciem, zanim się wezmę do odkryć naukowych, będzie gimnastyka.

- Jak dobrze pójdzie, to za tydzień lub dwa weźmie się panicz do boksu - rzekł Ben Weatherstaff. - I dojdzie panicz do tego, że zostanie championem.

Colin spojrzał na niego surowo.

- Weatherstaff! - zawołał. - To brak uszanowania. Nie wolno wam się ze mną spoufalać dlatego tylko, że dopuszczeni jesteście do tajemnicy. Choćby czary mi dały największą siłę, nigdy nie będę zawodowym atletą. Będę badaczem naukowym.

- Przepraszam, bardzo przepraszam, sir - odparł Ben dotykając czoła w ukłonie. - Powinienem był wiedzieć, że z tego żartować nie wolno.

Ben wesoło zamrugał małymi oczkami, serdecznie ubawiony. Chętnie zniósł naganę, i zniósłby wiele innych, byle jego panicz miał silne i zdrowe ciało, umysł i serce!

ROZDZIAŁ XXIV

„NIECH SIĘ ŚMIEJĄ”

Dick pracował nie tylko w tajemniczym ogrodzie - przy domku na wrzosowisku znajdował się kawałek gruntu otoczony niskim murkiem ze zwykłych kamieni polnych. Wczesnym rankiem i po zachodzie słońca, i każdego dnia, gdy nie przebywał z Mary i Colinem - Dick pracował w tym ogródku, sadząc dla swej matki kartofle, kapustę, rzepę, marchew i wszelkie inne warzywa. Otoczony „stworzeniami”, dokazywał tam wprost cudów, nigdy chyba nie czując zmęczenia. W czasie kopania lub pielienia pogwizdywał wesoło albo śpiewał piosenki, często rozmawiał z Sadzą i Kapitanem, a niekiedy ze swym rodzeństwem, które przyuczył sobie do pomocy.

- Nigdy nam się tak dobrze nie działo jak teraz - mówiła pani Sowerby - a to tylko dzięki ogródkowi Dicka. Jemu wszystko lepiej rośnie. Kartofle i kapusta są dwa razy większe niż u innych, a wszystko taki ma zapach, że aż w nosie kręci.

Pani Sowerby lubiła gawędzić z synem w wolnych chwilach. Długa, szara godzina po kolacji była jej wypoczynkiem. Siadała wtedy na niskim murku z kamieni, przyglądała się i słuchała opowiadania z całego dnia. Lubiała te chwile. W ich ogródku były nie tylko warzywa: Dick kupował nasiona kwiatów i wysiewał na rabatach, pomiędzy krzakami agrestu, a nawet między kapustą, cudownie pachnącą rezedę, goździki, bratki oraz rośliny, których nasiona udało mu się zebrać, pielęgnował te, których korzenie wypuszczały co roku na wiosnę nowe kielki. Niski murek kamienny stał się jednym z najładniejszych w całym Yorkshire, gdyż Dick w każdej szczelinie pomiędzy kamieniami posadził naparstnicę, paprocie i rzeżuchę, które rozrosły się ślicznie i tylko tu i ówdzie odsłaniały surowy kamień.

- Trzeba dbać o nie, żeby im było dobrze i żeby mogły sobie rosnąć - mawiał - a i one sprawiać będą przyjemność. One są jak zwierzaki. Jak im się chce pić, trzeba je napoić, jak są głodne, trzeba je nakarmić. One tak samo pragną żyć jak i my. Gdyby powiedły, miałbym wyrzuty sumienia, że byłem dla nich bez serca.

O szarej godzinie wysłuchiwała pani Sowerby opowieści o tym, co się działo w Misselthwaite. Najpierw dowiedziała się tylko, że panicz nabrał ochoty wyjść do ogrodu z panną Mary i że to dobrze wpłynęło na jego zdrowie. Lecz wkrótce potem dzieci postanowiły dopuścić do tajemnicy matkę Dicka. Nie wątpiły ani na chwilę, że można jej całkowicie zaufać.

I tak pewnego cichego, wiosennego wieczoru Dick opowiedział jej całą historię z

wszystkimi sensacyjnymi szczegółami: i o zagrzebanym w ziemi kluczu, i o rudziku, i o szarej mgielce, która zdawała się martwa, i o tajemnicy, której panna Mary nie chciała nikomu powierzyć. Mówił o tym, jak mu opowiedziała o ogrodzie, o wątpliwościach, które mieli co do panicza Colina. A w końcu opowiedział matce całą historię wprowadzenia Colina do tajemniczego państwa oraz o zejściu z Benem Weatherstaffem. Oburzona twarz Bena, wyglądająca znad muru, nagła, rozbudzona gniewem siła Colina, wszystko to wywoływało na przemian to rumieńce, to bladość na miłej twarzy pani Sowerby.

- Jak Boga kocham! - zawołała. - Jak to dobrze, że ta panienka przyjechała do Misselthwaite. Było to dobre dla niej i zbawienne dla Colina. A więc panicz stanął na nogach! A my tu wszyscy myśleliśmy, że to biedactwo jest jakimś półgłówkiem z krzywymi kośćmi.

Pani Sowerby zadawała mnóstwo pytań, a niebieskie jej oczy miały wyraz zamyślenia.

- Co mówią w pałacu na to, że Colin jest teraz taki zdrow i wesół, nie narzeka i nie jęczy? - pytała.

- Sami nie wiedzą, co o tym myśleć - odparł Dick. - Panicz każdego dnia lepiej wygląda. Twarz mu się wypełnia i rysy już nie są takie ostre, a bladość znikła. Ale zawsze przecież trochę jeszcze narzeka - dodał z bardzo ubawioną miną.

- Czemu, na litość boską? - spytała pani Sowerby.

Dick chytrze się uśmiechnął.

- Narzeka umyślnie, żeby nie odgadli, co się dzieje. Gdyby doktor się dowiedział, że panicz ma się dobrze i że może stanąć o własnych siłach, toby napisał o tym do jaśnie pana. A panicz chce sam wyjawic ojcu tę tajemnicę. Będzie robił co dzień czary ze swymi nogami, dopóki ojciec nie wróci, a potem wejdzie do jego pokoju i pokaże, że jest silny i prosty jak wszyscy chłopcy. Ale i panicz, i panna Mary myślą, że lepiej na razie trochę pokaprysić, pokrzyczeć i ponarzekać od czasu do czasu, żeby ludzie nie mogli niczego przewąchać.

Pani Sowerby serdecznie i szczerze się zaśmiała, zanim jeszcze Dick zdążył wypowiedzieć ostatnie zdanie.

- Oj! Dobrze się bawią - rzekła. - Doskonale grają, bo dzieci niczego tak nie lubią, jak grać komedię. No, opowiadaj mi jeszcze, synu.

Dick przestał grać, przysiadł na piętach i zaczął opowiadać. Oczy błyszczały mu z wesołości.

- Panicza wiezie się za każdym razem na fotelu - objaśniał. - A on gniewa się na służącego, że go wiezie nie dość uważnie. Taki się robi bezsilny, że głowy nigdy nie podnosi, dopóki nie jesteśmy już zupełnie sami. A stęka, a narzeka, gdy go w tym fotelu sadowią! I panicz, i panna Mary dobrze się bawią, a jak on narzeka i skarży się, to panienka mówi:

„Biedny Colin! Aż tak cię boli? Mój Boże! Taki słaby jesteś? Biedny Colin!” Bieda w tym, że czasem ledwo mogą się powstrzymać, żeby nie wybuchnąć śmiechem. Gdy już potem bezpieczni jesteśmy w naszym ogrodzie, aż się duszą ze śmiechu. Nieraz chowają głowy w poduszki panicza, żeby ich ogrodnicy nie usłyszeli, jeśli przypadkiem są w pobliżu.

- Im więcej się śmieją, tym lepiej dla nich - rzekła pani Sowerby, sama się śmiejąc. - Szczery śmiech jest dla dziecka zdrowszy niż pigułki i leki. Ci dwoje na pewno wyzdrowieją i przybiorą na wadze.

- Już przybrali - rzekł Dick. - Ciągłe są głodni, a nie wiedzą, co zrobić, żeby dostać więcej jedzenia, ale tak, aby nikt się nie domyślił. Panicz mówi, że jeśli pośle po więcej jedzenia, to nie będą chcieli wierzyć, że jest chory. Panna Mary znów mówi, że odda paniczowi swoją część, on zaś na to, że jak panienka będzie głodna, to schudnie, a oni chcą oboje przytyć.

Pani Sowerby tak się serdecznie śmiała słysząc o tych trudnościach, że tylko kiwała się naprzód i w tył w swej modrej sukni. Dick jej wtórował śmiechem.

- Powiem ci coś, synku - rzekła pani Sowerby, gdy się trochę uspokoiła. - Już wiem, jak im pomóc. Gdy rano do nich pójdziesz, zaniesiesz im bańkę świeżego mleka. Upiekę im też chleba wiejskiego albo bułeczek z rodzynekami, takich jak to wy lubicie. Nie ma nic lepszego jak świeże mleko i chleb. Będą mogli zaspokoić apetyt w ogrodzie, a to, co zjedzą w domu, będzie już tylko dodatkiem.

- Oj, matuś! - powiedział Dick z uwielbieniem. - Jakaś ty mądra! Zawsze wynajdziesz na wszystko radę. Wczoraj byli w wielkim kłopotcie. Nie wiedzieli zupełnie, co zrobić, jak wytrzymać, żeby nie zażądać więcej jedzenia - taką mieli pustkę w żołądku.

- Oboje rosną i oboje prędko wracają do sił i zdrowia. Dzieci są jak młode wilczki, a pożywienie to dla nich krew i ciało - mówiła pani Sowerby, a uśmiech podobny do uśmiechu Dicka okrasiał jej usta. - Ale sobie używają! - dodała.

Zacna kobieta miała całkowitą słuszość mówiąc, że dzieci chętnie grają komedię. Dla Colina i Mary było to źródłem wspaniałej rozrywki. Myśl o konieczności zachowania pozorów poddała im bezwiednie najpierw pielęgniarka, później doktor Craven.

- Apetyt się ogromnie paniczowi poprawił - rzekła pewnego dnia. - Dawniej nic panicz nie jadł i nie lubił różnych potraw!

- Teraz wszystko lubię - odparł Colin, ale widząc, że pielęgniarka przygląda mu się z zaciekawieniem, uświadomił sobie nagle, że nie powinien sprawiać wrażenia zbyt zdrowego. W każdym razie rzadziej mi coś nie smakuje. To skutek świeżego powietrza - dodał.

- Być może - powtórzyła nieufnie pielęgniarka. - Muszę pomówić o tym z doktorem

Cravenem.

- Jak ona na ciebie patrzyła! - odezwała się Mary, gdy tamta wyszła z pokoju. - Jak gdyby podejrzewała, że stało się coś, co należy zbadać.

- Nie chcę, by snuła jakieś domysły - rzekł Colin. - Na razie nikt niczego nie powinien się domyślać.

Doktor Craven, który przybył tego ranka, również wydawał się ogromnie zdziwiony. Ku niezadowoleniu Colina stawiał mu mnóstwo pytań.

- Dużo przebywasz w ogrodzie? - wypytywał. - Dokąd cię zwykle wożą?

Twarz Colina przybrała zwykły wyraz obojętności na sądy ludzkie.

- Nie chcę, żeby ktokolwiek wiedział, dokąd mnie wożą - odparł. - Jeżdżę tam, gdzie mi się podoba. Wszyscy otrzymali rozkaz, żeby mi nie wchodzili w drogę. Nie lubię, żeby mi się przyglądano.

- Zdaje mi się, że cały dzień przebywasz na dworze, ale chyba ci to nie szkodzi. Przeciwnie nawet. Pielęgniarka twierdzi, że jadasz teraz więcej niż kiedykolwiek.

- A może... - zaczął Colin natchniony nowym pomysłem a może to chorobliwy apetyt?

- Wątpię, bo pożywienie ci służy - rzekł doktor Craven. Zaczynasz nabierać ciała i cerę masz zdrowszą.

- A może... może to znaczy, że ja puchnę i mam gorączkę? - powiedział Colin przybierając stroskaną minę. - Ludzie skazani na śmierć nieraz bardzo się zmieniają.

Doktor Craven potrząsnął głową. Trzymając dłoń Colina, odchylił rękaw i ujął go za puls.

- Nie masz gorączki - stwierdził zamyślony - a twoje ciało wygląda zdrowo. Jeśli tak będzie dalej, mój chłopcze, to nie masz co myśleć o śmierci. Ojciec twój będzie uszczęśliwiony, gdy usłyszysz, jak ci się polepszyło.

- Nie chcę, żeby usłyszał! - wściekle wybuchnął Colin. Potem będzie się jeszcze bardziej martwił, jak mi się znów pogorszy, a mnie będzie gorzej już dziś w nocy. Będę miał napad z gorączką! Zdaje mi się, że już się zaczyna. Nie chcę, żebyście pisali do ojca, nie chcę, nie chcę! Wuj mnie irytuje, choć wie, że mi to szkodzi! Już mi się zaczyna robić gorąco. Nie cierpię, żeby o mnie mówili i żeby o mnie pisali, tak samo jak znieść nie mogę, by na mnie patrzono!

- Cicho, cicho, kochany chłopcze - uspokajał doktor Craven. - Nic nie będę pisać bez twojej zgody. Zanadto wszystko bierzesz do serca. Nie możesz psuć tego, co się w twoim zdrowiu poprawiło.

I doktor nie mówił już więcej o liście do pana Cravena, a pielęgniarkę ostrzegł na

uboczu, by o takiej możliwości nawet nie wspominała.

- Chłopcu jest bez porównania lepiej - mówił. - Ta zmiana w jego zdrowiu jest wprost niezrozumiała. Z własnej nie przymuszonej woli robi teraz to, do czego żadną siłą nie mogliśmy go nakłonić. Wciąż jednak łatwo ulega rozdrażnieniu. Nie trzeba więc mówić nic takiego, co by go irytowało.

Mary i Colin przerazili się jednak nie na żarty wzmianką o liście i zaczęli się naradzać. Od tej chwili rozpoczęło się ich granie komedii”.

- Wiesz co, zdaje mi się, że będę zmuszony mieć napad - mówił Colin z żalem. - Nie chcę tego. Czuję się teraz zbyt dobrze, by móc się wprowadzić w odpowiedni stan. Kto wie, czy mi się to w ogóle uda. Gardło nigdy mi się już teraz nie ściska, rozmyślam tylko o rzeczach ładnych i miłych, a nie o tym, co dawniej. Ale jeśli zaczną znów gadać o pisaniu do ojca, to trzeba będzie jednak coś wymyślić!

Postanowili mniej jadać, lecz niestety! Wykonanie tego świetnego pomysłu okazało się nader trudne, gdyż Colin budził się co rano z wilczym apetytem, stół zaś przy sofie zastawiony był śniadaniem składającym się z pieczonego w domu chleba, ze świeżego masła, świeżutkich jajek, marmolady i gęstej śmietany. Mary jadła razem z nim. Kiedy zasiadali do stołu, z rozpaczą spoglądali sobie w oczy, zwłaszcza gdy woń gorącej szynki wydobywała się spod srebrnej pokrywki naczynia.

- Wiesz, zdaje mi się, że na razie jeszcze wszystko to zjemy - mawiał w końcu Colin. - Za to odeślemy do kuchni trochę z drugiego śniadania i cośkolwiek z obiadu.

Lecz, niestety! Nigdy im się to jakoś nie udawało, a do czysta wyjedzone półmiski wywoływały liczne komentarze w kredensie.

- Wolałbym, by plasterki szynki były trochę grubsze - mawiał też Colin. - Taka porcyjka na każde z nas to stanowczo za mało.

- Właściwie to dosyć dla kogoś, kto ma niedługo umrzeć - odpowiadała Mary - ale za mało dla kogoś, kto ma żyć. Pewnie zjadłabym ze trzy takie porcje, gdy przez okna napływa to wspaniałe powietrze i zapach idzie od wrzosowiska...

Tego rana, gdy Dick po dwugodzinnej wspólnej zabawie wyniósł zza wielkiego krzewu różanego dwa blaszane naczynia, z których jedno było napełnione świeżym mlekiem, a w drugim znajdowały się jeszcze gorące, zawinięte w czystą serwetę bułeczki z rodzynkami, okrzyków radości było co niemiara. Jak to miło ze strony pani Sowerby, że o nich pomyślała! Co za gospodyni! Jakie te bułeczki są wyborne! A to mleko, jakie pyszne!

- Ona uprawia czary jak Dick - mówił Colin. - To czary nasuwają jej dobre pomysły i każą czynić ładnie. To stanowczo czary. Powiedz, Dicku, matce, że jesteśmy jej ogromnie

wdzięczni.

Colin lubił mówić jak dorośli. Miał w tym pewne upodobanie i dlatego postanowił wyrazić się jeszcze doroślej.

- Powiedz matce, że jesteśmy wzruszeni jej dobrocią i niewymownie wdzięczni.

Ale potem, zapominając o swej powadze, dopadł baniek i począł opychać się bułeczkami i pić chciwie mleko wielkimi łykami, jak by to zrobił każdy chłopiec, który się wyhasał do woli na świeżym powietrzu, a był już ze dwie godziny po śniadaniu.

To zapoczątkowało szereg miłych wydarzeń. Przede wszystkim dzieci od razu doszły do przekonania, że pani Sowerby, zmuszona myśleć co dzień o nakarmieniu czternastu domowników, nie może żywić jeszcze ich dwojga bez uszczerbku dla siebie. Poprosili ją zatem, by na ten cel pozwoliła sobie przysyłać ich zaoszczędzone szylingi.

Dick uczynił nadzwyczajne odkrycie, a mianowicie, że w lesie - tam gdzie go Mary po raz pierwszy ujrzała przygrywającego zwierzętom na fujarce - znajdowała się nieduża, lecz głęboka jama, w której można było zrobić z kamieni świetny piecyk i piec kartofle i jaja. Pieczone jaja były nieznanym a wykwintnym przysmakiem, zaś pieczone bardzo gorące kartofle z solą i świeżym masłem były potrawą godną samego króla lasów, poza tym można się było znakomicie nimi najeść. Dzieci mogły sobie nakupić jaj i kartofli, ile dusza zapragnie, i najeść się za wszystkie czasy, nie wyrzucając przy tym sobie, że krzywdzą kogokolwiek w chacie na wrzosowisku.

Każdego pogodnego poranka zgromadzenie „czarowników” odprawiało czary pod śliwą, której baldachim gęstniał coraz bardziej, gdyż listki rozrastały się po krótkich dniach kwitnienia. Po tej ceremonii Colin zaczynał swe ćwiczenia w chodzeniu, potem zaś w ciągu dnia powtarzał je jeszcze kilkakrotnie. Z każdym dniem nabierał więcej sił, co dzień robił coraz dalsze przechadzki, a przychodziło mu to z coraz większą łatwością. Jego wiara w czary rosła - i nic w tym dziwnego. Próbował różnych ćwiczeń, jednego po drugim, w miarę jak mu przybywało sił, Dick zaś uczył go coraz to nowych rzeczy.

- Wczoraj - opowiadał pewnego ranka po dniu nieobecności w tajemniczym ogrodzie - poszedłem do Thwaite coś załatwić dla matki i koło oberży widziałem Boba Hawortha. To najsilniejszy człowiek w naszej okolicy. Jest pierwszym we wsi lekkoatletą, skacze najwyżej ze wszystkich i najlepiej umie rzucać młotem. Jednego roku wyjechał na zawody sportowe do Szkocji. Mnie znał, gdy jeszcze byłem całkiem mały, a że jest przystępnym człowiekiem, więc go zapytałem o kilka rzeczy. Nazywają go tu wszyscy atletą, więc sobie zaraz pomyślałem o paniczu i mówię mu: „Co ty robisz, Bob, że masz takie silne i twarde mięśnie? Może jakieś specjalne ćwiczenia?”. A on mówi: „Ano naturalnie, chłopcze, żem ćwiczył. Był

tu raz w Thwaite taki jeden siłacz, co sztuki pokazywał, i on mnie nauczył, jak wyrabiać sobie siłę w rękach, nogach i w całym ciele”. A ja mówię: „Czy delikatny chłopiec mógłby się w ten sposób też wzmocnić?”. Na to on roześmiał się i mówi: „To ty niby masz być tym delikatnym chłopcem?”. A ja mówię: „Nie, ale znam jednego młodego panicza, który po długiej chorobie zaczyna przychodzić do zdrowia, i chciałbym znać twoje sposoby, żeby i jego nauczyć”. Nie wymieniałem mu nazwiska a on się też nie pytał. Mówiłem już, że to pocziwy chłop: wstał, pokazał mi kilka ćwiczeń, a ja je powtarzałem, ażem się ich wyuczył.

Colin pochłaniał każde słowo.

- I możesz mi pokazać?! - wołał. - Czy byłbyś taki dobry?

- Ma się rozumieć - odparł Dick powstając z miejsca. Ale on mówił, że najpierw trzeba to robić wolno i uważać, żeby się nie zmęczyć. Trzeba od czasu do czasu wypoczywać i głęboko oddychać.

- Będę ostrożny - rzekł Colin - tylko mi pokaz! Dicku, jesteś największym czarodziejem na świecie!

Dick stanął na trawniku i wykonał starannie szereg ćwiczeń gimnastycznych. Colin przyglądał mu się z rosnącym zainteresowaniem. Siedząc mógł wykonywać niektóre ruchy. Potem ostrożnie wykonał kilka stojąc. Mary naśladowała chłopców. Sadza przyglądała się im ciekawie, ogromnie podniecona. Sfrunęła ze swej gałęzi i skakała dokoła niestrudzenie, nie mogąc naśladować ruchów dzieci.

Od tej pory ćwiczenia, tak jak i czary, weszły do codziennych zajęć. Colin i Mary wprawiali się coraz bardziej i tak im to pobudzało apetyt, że skonaliby z głodu, gdyby nie koszyk stawiany co dzień przez Dicka za krzewami. Tak więc piecyk w lesie i to, że pocziwa pani Sowerby o nich nie zapomniała, uratowało ich od głodowej śmierci. Pani Medlock, pielęgniarka i doktor Craven nie posiadali się ze zdumienia. Można zaiste nie ruszyć śniadania i zdawać się lekceważyć zupełnie obiad, gdy się jest najedzonym po uszy pieczonymi jajami i kartoflami, świeżym mlekiem i plackami owsianymi, bułkami, miodem i śmietaną.

- Jedzą tyle co nic - mówiła pielęgniarka. - Umrą z głodu, jeśli im nie wytłumaczymy, że muszą przecież przyjmować trochę pokarmu. A jednak niech pani spojrzy, jak wyglądają!

- Właśnie! - zawołała z najwyższym oburzeniem pani Medlock. - Oj! Już mnie te bębny na śmierć zamęczyły! To istne diablęta. Jednego dnia ubranie na nich pęka z przejedzenia, a drugiego nosem kręcą na najlepsze potrawy, jakie tylko kuchnia wymyślić potrafi. Nie spróbowali ani kęsa tej młodej, wybornej perliczki. Kucharka wymyśliła nowy budyń, a one go odesłały nietkniętego do kuchni. Aż się biedaczka popłakała. Boi się, że na

nią wina spadnie, jeśli się na śmierć zgłódzą.

Doktor Craven przyjechał i przyglądał się Colinowi długo i uważnie. Miał znękaną twarz, gdy pielęgniarka po rozmowie z nim pokazała mu nietknięte niemal śniadanie, które w tym celu schowała, lecz był jeszcze bardziej znękanym, gdy usiadł przy Colinie i począł mu się przyglądać...

Swego pacjenta nie widział dwa tygodnie, ponieważ musiał wyjechać do Londynu załatwić jakąś sprawę.

Dzieci nabierają sił bardzo prędko. Woskowa bladość na twarzy Colina ustąpiła miejsca ciepłym, różowym tonom; jego piękne oczy patrzyły jasno na świat, a zapadnięte policzki i skronie ładnie się wypełniły. Ciemne loki, opadające ciężko na czoło, stały się jedwabiste i jakby żywe. Wargi zrobiły się pełne i nabrały zdrowego koloru.

Naprawdę, nie mógł uwierzyć, że to był ów skazany na śmierć inwalida.

Doktor Craven ujął chłopca pod brodę i przyglądał mu się z uwagą.

- Bardzo się martwię, że nic teraz nie jesz - powiedział. To niedobrze. Cała poprawa znów pójdzie na marne, a wydobrzałeś w niepojęty sposób. Miałeś taki dobry apetyt jeszcze niedawno...

- Przecież mówiłem, że to apetyt nienaturalny - odparł Colin.

Mary siedziała obok nich i nagle z jej ust wydarł się jakiś dźwięk, który usiłowała tak gwałtownie stłumić, że aż dostała czkawki.

- Co się stało? - zapytał doktor Craven odwracając się ku niej.

Mary spoważniała.

- Coś pomiędzy kichnięciem a kaszlnięciem - oświadczyła z obrażoną godnością - coś mi wpadło do gardła.

- Trudno - mówiła później do Colina - nie mogłam się po prostu powstrzymać od śmiechu. Parsknęłam, bo sobie nagle przypomniałam, jak zabawnie wyglądałeś z tym ogromnym kartoflem w ustach lub wtedy, kiedy miałeś buzię wypchaną kromką chleba z szynką.

- Czy istnieje możliwość, że one gdzieś potajemnie dostają jeść? - pytał doktor Craven panią Medlock.

- Żadnej takiej możliwości nie ma, chyba żeby sobie same coś wykopały lub zerwały z drzew - odparła pani Medlock. Cały boży dzień siedzą na dworze, i ciągle tylko we dwoje.

Zresztą, gdyby chciały czegoś innego niż to, co dostają, toby przecież zaraz dostały.

- Więc dobrze - rzekł doktor Craven. - Jeśli niejedzenie tak im służy, to nie ma się czym trapić. Przecież Colin to teraz całkiem inny chłopak.

- I panienka Mary też się zmieniła - dodała pani Medlock. - Wszak to zupełnie ładne dziecko, odkąd się zaokrągliła oraz straciła ten cierpki, niemiły wyraz twarzy. Włosy jej urosły i wzmocniły się i cerę ma zdrową. Dawniej była ponura i zła, a teraz oboje z paniczem śmieją się z byle czego jak szaleni. Może to im tak służy.

- Może - zgodził się doktor Craven. - Więc niech się śmieją!

ROZDZIAŁ XXV

ZASŁONA

Tymczasem tajemniczy ogród rozkwitał coraz bardziej i co dzień nowe ukazywał cuda. W gniazdku rudzika były jajeczka, a samiczka siedziała na nich, ogrzewając je swym drobnym, pierzastym ciałkiem i osłaniając troskliwie skrzydełkami. Z początku była ogromnie nerwowa, a rudzik wprost nieprzyzwoicie podejrzliwy. Nawet Dick nie podchodził w tym czasie do gęsto ocienionego zakątka ogrodu; czekał, aż jego tajemny wpływ oddziała uspokajająco na ptasią parkę i przekona ją, że w ogrodzie wszystko jest im przyjazne - że nie ma tam nikogo, kto by nie rozumiał całej doskonałości tego, co się działo w ich gniazdku, i zakłócił ową wielką, czułą i uroczystą tajemnicę. Nie było w tym ogrodzie nikogo, kto nie byłby przeświadczony, że naruszenie spokoju gniazda lub stłuczenie jajka byłoby czymś podobnym do końca świata. Nie było nikogo, kto by nie czuł tego i nie postępował odpowiednio do tej świadomości, bo wtedy zniknęłoby szczęście nawet w tej najpiękniejszej, złotej porze wiosennej. Wszyscy wiedzieli o tym, a para ptaszków też wyczuwała chyba te nastroje dzieci.

Z początku rudzik przyglądał się Colinowi i Mary z niekłamanym lękiem. Dla jakiejś niewytłumaczonej przyczyny wiedział, że nie potrzebuje obawiać się Dicka. Od pierwszej chwili zrozumiał, że Dick nie jest kimś obcym, ale kimś podobnym do rudzika, chociaż bez dzióbka i piórek. Dick bowiem umiał mówić po „rudzikowemu” (mową całkiem odrębną, której z żadną inną mylić nie należy). Mówić po rudzikowemu do rudzika to znaczy to samo, co mówić po francusku do Francuza. Dick zawsze przemawiał do rudzika jego językiem, toteż ptaszek się nie przejmował, że chłopiec mówił do ludzi jakąś ludzką gwarą. Widocznie nie byli oni dość inteligentni, by rozumieć ptasią mowę. Ruchy chłopca również były „rudzikowe”. Nie płoszyły, gdyż były spokojne, i nigdy nie wydawały się niebezpieczne. Każdy rudzik mógł Dicka rozumieć, więc jego obecność nie przeszkadzała.

Lecz przed dwojgiem tamtych należało się mieć na baczności. Przede wszystkim ten drugi chłopiec nie wszedł sam do ogrodu, lecz wepchnięto go tu na czymś, co miało koła. Leżały też na nim narzucone skóry zwierząt, co już samo przez się było mocno podejrzane. Potem gdy zaczął stawać i poruszać się, czynił to w dziwny sposób. Wydawało się, że tamci muszą mu w tym pomagać. Na ich widok rudzik zwykle chował się w krzaki i stamtąd przyglądał się wystraszony, przechylając główkę to na jedną, to na drugą stronę. Myślał bowiem, że owe powolne ruchy były przygotowaniem do skoku, jak to bywa u kotów. Kot,

przygotowujący się do skoku, czołga się bardzo wolno po ziemi. Rudzik dużo na ten temat rozmawiał ze swoją żoną, lecz potem zdecydował, że nic już mówić nie będzie, gdyż przerażenie jej było tak wielkie, że lękał się, by to nie zaszkodziło jajeczkom.

Toteż rudziki odczuły wielką ulgę, gdy chłopiec zaczął chodzić o własnych siłach. Lecz długo jeszcze - w każdym razie rudzikowi zdawało się to długo - Colin był źródłem pewnej obawy. Nie robił wszystkiego tak jak inni ludzie. Zdawał się bardzo lubić chodzenie, ale miał taki niepokojący sposób siadania lub kładzenia się, nagłego wstawania i znów chodzenia na nowo.

Pewnego dnia rudzik przypomniał sobie, że gdy rodzice zaczynali uczyć go latać, postępował podobnie. Wzlatywał na kilka łokci i zaraz zmuszony był odpoczywać. Zrozumiał zatem, że ten chłopiec uczy się latać - czyli właściwie chodzić. Wspomnił o tym samiczce, a gdy dodał, że piskłeta po wykluciu się i wypierzeniu będą postępowały w ten sam sposób, uspokoiła się zupełnie, a nawet zainteresowała się tym, co Colin robi, i ze szczerą przyjemnością z gniazda przyglądała się chłopcu. Co prawda, była przekonana, że jej piskłeta będą zdolniejsze i uczyć się będą prędszej. Potem jednak pomyślała z pobłażaniem, że ludzie są zawsze ciężsi i powolniejsi od piskłat, a większość z nich robiła istotnie wrażenie, jak gdyby się nigdy nie uczyła latać. Nigdy nie spotykało się ich w powietrzu ani na wierzchołkach drzew.

Po pewnym czasie chłopiec zaczął poruszać się jak reszta, lecz wszyscy troje robili czasem rzeczy niezwykle. Stawali pod drzewem i poruszali rękami, nogami i głowami w taki sposób, że nie było to ani chodzeniem, ani bieganiem, ani siedzeniem. Ruchy te wykonywali codziennie, systematycznie, a rudzik nie umiał wytłumaczyć samiczce, co robili czy usiłovali robić. Był tylko zupełnie pewny, że jego piskłeta nigdy nie będą w taki sposób wymachiwać skrzydełkami, a ponieważ ów chłopiec, mówiący płynnie po „rudzikowemu”, robił to samo, co tamci, zatem ptaszki mogły być spokojne, że ruchy te nie są niebezpieczne. Co prawda, ani rudzik, ani jego żona nie słyszeli nigdy o ćwiczeniach Boba Hawortha wyrabiających siłę. Rudziki, w przeciwieństwie do ludzi, wyrabiają sobie mięśnie od początku w sposób naturalny, bez żadnych nadzwyczajnych ćwiczeń. Gdy trzeba nieustannie latać po każdy okruszek pożywienia, mięśnie same się wyrabiają (zanikają zwykle przez brak ruchu).

Gdy chłopiec zaczął biegać, chodzić, kopać i pieścić jak pozostali, w gniazdku zapanował spokój i zadowolenie. Obawy o jajka minęły bez śladu. Świadomość, że jajeczkom nic nie grozi, w połączeniu z możliwością przyglądania się tylu ciekawym rzeczom, uczyniła wysiadanie sympatycznym zajęciem. W słotne dni, gdy dzieci nie było w ogrodzie, pani rudzikowa odczuwała nawet pewnego rodzaju nudę.

Jednakże Mary i Colin nawet w słotne dni nie nudzili się. Pewnego ranka, gdy deszcz lał jak z cebra i Colin zaczynał już się niepokoić i denerwować, że musi siedzieć na sofie, gdyż chodzenie mogłoby go zdradzić, Mary przyszła genialna myśl do głowy.

- Teraz, gdy jestem zdrowy, normalny - mówił Colin - trudno mi usiedzieć na miejscu. Ciągłe chciałbym się ruszać. Wiesz, Mary, kiedy obudzę się bardzo wcześnie rano, a ptaki czynią wesoły rozgwar i wszystko zdaje się krzyczeć z radości - nawet drzewa, choć ich nie słyszymy - to mam wrażenie, że powinienem wyskoczyć z łóżka i także krzyczeć ze szczęścia. Pomyśl, co by to było, gdybym tak zrobił!

Mary wybuchnęła niepowstrzymanym śmiechem.

- Wpadłaby tu zaraz pielęgniarka i pani Medlock przekonane, żeś zwariował, i posłałyby po doktora.

Colin śmiał się serdecznie. Wyobrażał sobie miny „bab” jak byłyby przerażone tym, że wyskoczył z łóżka, i jak zdumione, widząc go stojącego o własnych siłach.

- Chciałbym, żeby ojciec już wrócił - mówił. - Chcę mu sam wszystko powiedzieć. Wciąż o tym rozmyślam, że dłużej już trudno będzie nam wytrzymać. Nie mogę ciągle leżeć i udawać, a przy tym wyglądam zupełnie inaczej niż dawniej. Tak bym chciał, żeby dziś była pogoda!

I w tym właśnie momencie pannie Mary strzeliła do głowy owa genialna myśl.

- Colinie - rzekła tajemniczo - czy wiesz, ile w tym pałacu jest pokoi?

- Myślę, że z tysiąc - odparł.

- Około stu, do których nikt nigdy nie wchodzi - rzekła Mary. - Pewnego słotnego dnia poszłam i zajrzałam do kilku. Nikt o tym nie wie, choć o mało co nie natknęłam się na panią Medlock. Zbłądziłam i zatrzymałam się w końcu twego korytarza. Słyszałam wtedy twój płacz po raz drugi.

Colin podskoczył na sofie.

- Sto pokoi, do których nikt nie wchodzi - powiedział. To coś tak jakby drugi tajemniczy ogród. A gdybyśmy tak wybrali się i obejrzeliby te pokoje? Powiozłabyś mnie na fotelu i nikt by niczego nie podejrzewał.

- Pomyślałam o tym samym. Oby tylko nikt nie ważył się iść za nami. Tam są długie galerie, gdzie moglibyśmy się gonić. Jest też mały pokój indyjski, w którym znajduje się gablota pełna małych słoni z kości słoniowej. Są najrozmaitsze pokoje.

- Proszę cię, zadzwoń - rzekł Colin.

Gdy weszła pielęgniarka, Colin wydał jej dyspozycję:

- Proszę o mój fotel. Panienka Mary i ja pójdziemy do nie zamieszkanego części domu.

John może mnie zawieźć do wejścia do galerii obrazów - tam są małe schody. Potem ma odejść, zostawić nas samych i wrócić dopiero wtedy, gdy go zawołam.

Począwszy od tego ranka, deszczowe dni przestały być dla nich postrachem.

Lokaj przytoczył fotel do galerii i zgodnie z rozkazem zostawił ich samych. Colin i Mary spojrzeli na siebie rozpromienieni. Skoro tylko Mary się upewniła, że John zszedł na dół do służbowych pokoi, Colin zszedł ze swego fotela.

- Najpierw przebiegnę kilka razy galerię wzdłuż - mówił - potem sobie poskaczemy, a potem będziemy robili ćwiczenia Boba Hawortha.

Po ćwiczeniach zwiedzili galerię, wśród portretów znaleźli i ową małą, nieładną dziewczynkę, w sukni z zielonego brokatu, trzymającą na ręku papugę.

- To wszystko są chyba moi krewni - mówił Colin. - Żyli bardzo dawno temu. Ta z papugą to, zdaje się, jakaś moja pra - pra - pra - praciotka. Ona jest bardzo do ciebie, Mary, podobna, to znaczy do tej Mary, jaką byłaś, kiedy tu przyjechałaś. Teraz jesteś o wiele pełniejsza i ładniej wyglądasz.

- I ty także - rzekła Mary i oboje się roześmieli.

Poszli potem do indyjskiego gabinetu i bawili się słoniami. Odnaleźli buduar ze ścianami obitymi różową brokatelą i poduszkę z dziurą wygryzioną przez myszy, ale myszki już wyrosły i poszły sobie, a gniazdo było puste. Obejrzelі więcej pokoi i porobili więcej odkryć, niż uczyniła to Mary w czasie swej pierwszej wędrówki. Znaleźli nowe korytarze i zakręty, i schody, i inne bardzo stare obrazy, które podobały im się ogromnie, i wiele starych, dziwnych rzeczy, których zastosowania nie znali. Był to niezwykle zajmujący poranek, a uczucie, że mieszkają w jednym domu z tyloma innymi ludźmi, a równocześnie są jakby o setki mil od wszystkich oddaleni, było pełne uroku.

- Bardzo jestem zadowolony, że tu przyszedliśmy - rzekł Colin. - Nie wiedziałem zupełnie, że mieszkam w takim ogromnym, dziwnym, starym domu. Podoba mi się tu bardzo. Będziemy spędzać tutaj wszystkie słotne dni i za każdym razem odkrywać coś nowego.

Tego ranka odkryli także po powrocie do pokoju Colina, że mają taki bajeczny apetyt, iż nie zdobyli się na odesłanie drugiego śniadania.

Pielęgniarka zniosła tacę na dół i postawiła ją w kredensie z takim hałasem, że kucharz Loomis natychmiast zauważył opróżnione doszczętnie półmiski i talerze.

- Proszę tylko spojrzeć! - zawołała. - Ten dom stanowczo pełen jest zagadek, a tych dwoje dzieci są największą zagadką.

- Jeśli tak dalej pójdzie - rzekł młody i silny lokaj John to ten mały ważyć będzie dwa razy tyle co przed miesiącem. Będę musiał prosić o zwolnienie z obowiązku, żeby się nie

podźwignąć.

Tego popołudnia Mary stwierdziła, że w pokoju Colina zaszło coś nowego. Już poprzedniego dnia zauważyła zmianę, lecz sądziła, że był to tylko przypadek. I dzisiaj nic nie powiedziała, lecz usiadła przyglądając się uporczywie portretowi nad kominkiem. Mogła mu się przyjrzeć, gdyż zasłonę odsunięto na bok. To była właśnie owa zmiana.

- Wiem, czego oczekujesz - rzekł Colin, gdy przyglądała się czas jakiś obrazowi. - Zawsze wiem, gdy chcesz, bym ci coś powiedział. Zasłona jest odsunięta i chcę, żeby tak już zostało.

- Dlaczego? - spytała Mary.

- Bo teraz już mi nie jest przykro, gdy widzę, jak mama się uśmiecha. Onegdaj w nocy obudziłem się, księżyc jasno świecił, a ja miałem wrażenie, że czary napęniają cały pokój i że wszystko jest tak cudowne, iż nie mogłem uleżeć. Wstałem więc i wyjrzałem przez okno. W pokoju było jasno. Plama księżycowego światła kładła się na tej zasłonie i to sprawiło, że podszedłem i pociągnąłem za sznur. Wtedy mama spojrzała prosto na mnie, jakby się uśmiechając z radości, że mnie widzi na nogach. Zacząłem z przyjemnością patrzeć na nią. I teraz miło mi jest widzieć ją taką uśmiechniętą. Myślę, że musiała być pełna uroku.

- Jesteś teraz ogromnie do niej podobny - rzekła Marytak bardzo podobny, iż nieraz sobie myślę, że może jesteś jej duchem zaklętym w chłopca.

Myśl ta zawładnęła umysłem Colina. Zamyślił się głęboko, po czym z wolna odrzekł:

- Gdyby tak było, ojciec kochałby mnie.

- Czy chciałbyś, żeby cię kochał? - spytała Mary.

- Dawniej nienawidziłem mamy, bo to przez nią ojciec mnie nie kochał. Gdyby mnie pokochał, to może opowiedziałbym mu o czarach. Może byłby trochę mniej smutny.

ROZDZIAŁ XXVI

„TO MATKA”

W swoje „czary” dzieci wierzyły wytrwale. Po rannych „obrzędach” Colin miewał czasem wykłady o czarach.

- Lubię to - tłumaczył - bo gdy dorosnę i będę robił odkrycia naukowe, będę także miewał wykłady, więc już teraz nabieram wprawy. Moje prelekcje obecnie nie mogą być długie, bo po pierwsze, nie jestem jeszcze duży, a po wtóre, Benowi Weatherstaffowi znów będzie się zdawać, że jest w kościele, i znów uśnie.

- To wygląda tak - twierdził Ben - że ten, co wyklada, może wstać i mówić, co mu ślina na język przyniesie, a ci, co słuchają, nie mogą mu nic odpowiedzieć. Od czasu do czasu to nawet lubiłbym sam wygłosić takie kazanie.

Gdy Colin wygłaszał mowę stojąc pod śliwą, stary Ben pożerał go wprost oczyma. Przyglądał mu się badawczo, lecz z miłością. Interesował się nie tyle wykładem, ile raczej nogami chłopca, które wyglądały coraz silniej i bardziej sprężysto; jego młodzieńczą, dumnie podniesioną głową, niegdyś ze spiczastą brodą i zapadłymi policzkami, teraz ładnie zaokrąglonymi; oczami nabierającymi blasków, przypominającymi Benowi inne, znane niegdyś oczy. Czasami Colin wyczuwał w surowym wzroku Bena tak wielkie przejęcie, że ciekaw był bardzo, o czym stary rozmyśla. Pewnego razu, gdy Ben wydawał się po prostu wniebowzięty, zapytał go:

- O czym tak myślicie, Benie?

- Myślę, że paniczowi w tym tygodniu przybyło najmniej trzy do czterech funtów. Przyglądam się panicza nogom i ramionom. Bardzo bym chciał postawić panicza na wadze.

- To wszystko zasługa czarów, a także bułeczek, mleka i innych przysmaków pani Sowerby - odparł Colin. - Widzicie więc, że moje doświadczenie naukowe udało się.

Tego ranka Dick spóźnił się na wykład. Przyszedł cały zarumieniony od biegu, a jego zabawna twarz promieniała bardziej niż zwykle. A że po deszczu dużo było pielenia, zabrali się zaraz do roboty. Zawsze mieli mnóstwo pracy po takim ciepłym, rześystym deszczu. Wilgoć i ciepło dobre były zarówno dla kwiatów, jak i dla chwastów, które zaraz zaczęły się pojawiać. Należało te chwasty wyrwać, zanim wyrosną i rozkrzewią się. Colin pełł na równi z innymi, co mu nie przeszkadzało wygłaszać nauk.

- Czary działają najlepiej w czasie pracy - powiedział tego ranka. - Można je odczuć w sobie, w kościach i w mięśniach. Zabiorę się do czytania książek o tym, a o czarach sam

napiszę książkę. Właśnie się nad tym zastanawiam i przychodzą mi na myśl nowe rzeczy.

W chwilę po wypowiedzeniu tych słów podniósł się z ziemi i przez kilka minut milczał. Wszyscy się domyślali, że układa przemówienie, jak to zwykł czynić. Mary i Dickowi zdawało się, że opanowała go jakaś nagła a silna myśl. Wyprostował się, jak tylko mógł, i radośnie rozpostarł ramiona. Twarz okryła się rumieńcem, a źrenice rozszerzyły się radością. Widać coś sobie nagle uprzytomnił.

- Mary! Dicku! - wołał. - Spójrzcie na mnie!

Przestali pracować i spojrzeli.

- Pamiętacie ten pierwszy ranek, kiedy przyprowadziliście mnie tu? - zapytał.

Dick bystro przyjrzał się Colinowi. Jako „zaklinacz” zwierząt, dostrzegał więcej niż inni, choć o wielu sprawach nie mówił. Teraz też dostrzegł niejedną zmianę.

- Pamiętamy, a jakże - odparł.

Mary przyglądała się bystro kuzynowi, ale nie odzywała się.

- Właśnie przypominałem sobie tę chwilę - rzekł Colin - jak spojrzałem na swoją rękę trzymającą motykę. Aż musiałem wstać, żeby się upewnić, że to nie sen. A to wszystko prawda!

Jestem zdrow!

- No pewnie, że panicz zdrow - przyświadczył Dick.

- Jestem zdrow! Naprawdę zdrow! - powtórzył Colin, a twarz oblał mu rumieniec.

Od pewnego czasu czuł to, żywił nadzieję i myślał o tym, lecz dopiero w tej chwili dokonało się w nim coś, co go przejęło dreszczem. Uświadomił to sobie tak ostro, że już nie mógł dłużej w sobie tłumić radości.

- Będę żył! - zawołał na cały głos. - Odkryję tysiące rzeczy. Odkryję różne prawdy o ludziach, o zwierzętach i o wszystkim, co rośnie - tak jak czyni to Dick, i zawsze będę robił czary. Jestem zdrow! Jestem zdrow! Muszę o tym wołać, krzyczeć z wdzięczności i szczęścia!

Ben Weatherstaff, pracujący w pobliżu przy krzaku róży, spojrzał na niego.

- Powinien panicz zaśpiewać jakiś psalm - zaproponował z przekąsem.

Ben nie miał właściwie zdania na temat psalmów, samą zaś propozycję uczynił bez szczególnego szacunku. Lecz Colin miał umysł dociekliwy, pieśni nabożnych zaś nie znał.

- Jaki psalm? - dopytywał się.

- Dick zna jakiś na pewno, ręcę za to - powiedział Ben Weatherstaff.

Dick zaś odparł z wszystkowiedzącym uśmiechem czarodzieja:

- Znam taką pieśń. Matka mówi, że skowronki ją śpiewają, gdy się rankiem ze snu

budzą.

- Jeżeli mówi to twoja matka, to ta pieśń musi być ładna - odparł Colin z przekonaniem. - Zaśpiewaj, Dicku. Chciałbym posłuchać.

Dick przystał z prostotą. Pojmował, co czuł Colin, lepiej niż on sam. Pojmował instynktownie, nie zdając sobie z tego sprawy, dlaczego tak jest. Zdjął czapkę i rozejrzał się dokoła z uśmiechem.

- Musi panicz zdjąć czapkę - rzekł do Colina - i Ben także. I musicie powstać, tak się należy!

Colin zdjął czapkę i w skupieniu patrzył na Dicka. Słońce grzało jego gęstą czuprynę. Weatherstaff dźwignął się również z kolan, odkrył głowę ze zdziwionym i trochę rozzłoszczonym wyrazem starej twarzy, jakby nie wiedział, dlaczego właściwie czyni rzecz tak niezwykłą. Dick zaś stojąc wśród drzew i kwiatów zaczął śpiewać z prostotą i spokojem ładnym chłopięcym głosem:

Ciebie my wiecznie wyznawać będziemy
I Twoje cuda świata opowiemy,
A Ty nam szczęście będziesz nasze sprawy
Boże łaskawy!*

Gdy skończył, Ben Weatherstaff stał spokojnie, zacisnąwszy szczęki, i wzrokiem pełnym rozrzewnienia patrzył na zamyślonego Colina.

- To śliczna pieśń - powiedział Colin. - Podobała mi się. Wypowiada chyba to, co ja odczuwam, gdy mam ochotę wołać, że jestem wdzięczny czarom. - Zamilkł i rozmyślał zadumany. - A może to jest to samo, tylko my inaczej to nazywamy? Zaśpiewaj jeszcze raz, Dicku. Mary, dołącz do niego, a ja też spróbuję, bo to jakby moja pieśń. Jak to się zaczyna?

I zaczęli śpiewać jeszcze raz; Mary i Colin dostrajali głosy, jak umieli, a głos Dicka płynął miękko i donośnie. Przy drugiej zwrotce Ben Weatherstaff energicznie odkaslnął, a przy trzeciej zaczął wtórować takim głosem, że można się było przerazić. Gdy skończył, Mary spostrzegła, że stało się z nim to samo, co wtedy, gdy się przekonał, że Colin nie jest kaleką: broda mu się trzęsła, powieki drżały, a pergaminowa twarz wilgotna była od łez.

- Dawniej nie mogłem się w tej pieśni dopatrzeć wiele sensu - wyrzekł ochryplym głosem. - Pewnie mi się z czasem w głowie odmieniło. A paniczowi to najmniej z pięć funtów wagi w tym tygodniu przybyło najmniej pięć.

Colin tymczasem patrzył w ogród na coś, co przykuło jego uwagę. Na twarzy chłopca

* Psalterz Dawidów PSALM 75

odmalowało się zdumienie.

Furtka w bluszczowej zasłonie otworzyła się z wolna i ukazała się w niej kobieta. Weszła przy ostatniej zwrotce pieśni i stała słuchając i przyglądając się dzieciom. Na tle bluszczu, pośród płam słońca padającego przez gałęzie na jej błękitną suknię, z ładną, świeżą twarzą, okraszoną miłym uśmiechem wyglądała jak barwna ilustracja w jednej z ksiązek Colina. Miłe, serdeczne spojrzenie kobiety zdawało się obejmować wszystko i wszystkich, nawet Bena Weatherstaffa i stworzonka, i każdy pączek kwiatu. Choć weszła zupełnie niespodzianie, nikomu nie przyszło na myśl, że jest tu intruzem.

Dick rozpromienił się.

- To matka! Moja matka! - zawołał i pobiegł do niej przez trawnik.

Colin także ruszył ku niej. Mary szła z nim razem. Obojgu poczęły bić żywiej serca.

- To matka - zawołał znów Dick, gdy się spotkali w połowie drogi. - Wiedziałem, że panicz chciał ją zobaczyć, więc jej powiedziałem, gdzie jest ukryta furtka.

Colin, zarumieniony z radości, wyciągnął rękę, oczyma zaś wprost pochłaniał jej postać.

- Nawet gdy byłem jeszcze chory, chciałem panią zobaczyć - powiedział - panią, Dicka i tajemniczy ogród. Przedtem nie chciałem widzieć nikogo i nic.

Widok zwróconej ku niej twarzy chłopca wywołał nagłą zmianę. Matka Dicka zarumieniła się, kąciki jej ust zadrżały, a oczy przesłoniła jakby gęsta mgła.

- Moje drogie dziecko! - zawołała drżącym głosem. - Drogie dziecko!

Nie powiedziała: paniczu, ale po prostu: dziecko, nie zdając sobie z tego sprawy. Tak samo odezwałaby się do swojego Dicka, gdyby ujrzała na jego twarzy coś, co by ją do tego stopnia wzruszyło. Colin się z tego ucieszył.

- Czy pani się dziwi, że jestem całkiem zdrow? - zapytał.

Oparła mu ręce na ramionach, a uśmiech rozjaśnił mgłę przesłaniającą jej wzrok.

- Pewno, że się dziwię - odparła. - Ale panicz taki do swej matki podobny, że mi się na płacz zebrało.

- Czy pani myśli - zaczął Colin nieśmiało - że mój ojciec będzie mnie kochał?

- Na pewno, moje dziecko - odparła, gładząc go delikatnie po ramieniu. - Tylko jaśnie pan musi nareszcie wrócić do domu.

- Susan Sowerby - rzekł Ben podchodząc do niej. - Spójrzcie no na nogi tego chłopca - a co? Dwa miesiące temu były jak dwa patyki w pończochach. Sam słyszałem, jak ludzie mówili, że jest koślawy i kuternoga... A teraz? Spójrzcie no!

Susan Sowerby zaśmiała się radośnie.

- Jeszcze trochę, a będzie miał nogi silne, jak przystało młodemu - odparła. - Niech tylko dalej bawi się, pracuje w ogrodzie, dobrze się odżywia i pije dużo dobrego mleka, a nie znajdziecie w całym Yorkshire zdrowszej pary nóg. Bogu dziękować!

Teraz położyła dłonie na ramionach Mary i przyglądała się jej z macierzyńską troskliwością.

- I panienka także! - rzekła. - Panienka wyrosła zdrowo jak nasza Lizbeth. Ręczę, że i panienka będzie podobna do swej matki. Martha słyszała od pani Medlock, że była to podobno śliczna pani. Panienczka też podobna będzie do rozkwitłej róży, gdy dorośnie - dałby Bóg!

Nie wspomniała o tym, że już wtedy, gdy Martha przysłała do domu w swoje wychodne i opisywała brzydkie, żółte dziecko, powiedziała, że nie wierzy w opowiadanie pani Medlock. „Przecież uwierzyć w to trudno, żeby taka piękna kobieta mogła być matką takiego brzydkiego dziecka” - twierdziła uparcie.

Mary nie miała czasu zajmować się swą urodą. Wiedziała tylko, że wygląda teraz „inaczej” i że włosy ma dużo gęściejsze i dłuższe. Niemniej miło jej było usłyszeć, że kiedyś może będzie podobna do matki, gdy sobie przypomniła, z jaką przyjemnością przyglądała się jej kiedyś.

Susan Sowerby obeszła z nimi tajemniczy ogród. Opowiedzieli jej całą historię ogrodu, pokazywali każdy krzak, każde uratowane drzewo. Colin szedł przy niej z jednej strony, Mary z drugiej. Oboje nie przestawali zaglądać w jej dobre oczy, nie pojmując dziwnego uczucia, jakie im sprawiała jej obecność, a było to uczucie spokoju i ufności. Zdawało się, że rozumiała ich tak, jak Dick rozumiał swoje stworzonka. Nachylała się nad kwiatami i przemawiała do nich jak do dzieci. Sadza dreptała za nią, kilka razy zakrakała do niej i usiadła jej na ramieniu jak Dickowi.

Gdy jej opowiedzieli o rudziku i o pierwszej próbie lotu piskłat, roześmiała się ciepłym, macierzyńskim śmiechem.

- Przypuszczam, że nauczyć ptaka latać to to samo, co nauczyć dziecko chodzić, ale ogromnie byłabym niespokojna, gdyby moje dzieci miały skrzydła zamiast nóg - powiedziała.

Była tak miła i miała taki uroczy, pełen prostoty sposób bycia, że dzieci zdecydowały się opowiedzieć jej o czarach.

- Czy pani wierzy w czary? - rzekł Colin, skończywszy mówić o fakirach. - Mam nadzieję, że pani wierzy!

- Naturalnie, że wierzę - odparła - choć ja to inaczej nazywam. Zresztą różnie to ludzie nazywają. Ale wciąż widzimy tyle czarów i cudów dokoła! Ta sama moc, która sprawia, że

rośliny żyją i kwitną i słońce świeci, uczyniła z panicza dobrego i zdrowego chłopca - bo zbudziła w nim chęć do życia, a wola działa cuda, i tutaj także zdziałała. I to właśnie są czary. Niech panicz nigdy nie przestanie wierzyć w dobro i niech panicz wie, że na świecie jest go pełno.

- Taki jestem szczęśliwy - rzekł Colin, patrząc na nią swymi pięknymi oczyma. - Nagle uprzytomniłem sobie, jak się odmieniłem, jak się wzmocniły moje ręce i nogi, wie pani? Uprzytomniłem sobie nagle, że mogę stać i kopać ziemię, a nawet skakać, i miałem ochotę wołać o tym do każdego, kto by mnie tylko chciał słuchać.

- Słuchał was wielki czarodziej, gdyście śpiewali. Wszystkiego wysłuchał, ale najważniejsza dla niego była wasza radość. O dziecko, dziecko! - znów pogładziła go po ramieniu.

Przygotowany przez nią koszyk zawierał tego dnia całą ucztę. Gdy nadszedł czas na posiłek i Dick wyjął koszyk ze schowka, matka usiadła wraz z nimi pod drzewem i przyglądała się, jak pochłaniali jej przysmaki śmiejąc się i żartując. Pani Sowerby była w świetnym humorze i rozśmieszała ich różnymi żartami. Mówiła im rozmaite rzeczy rozwlekłą gwarą jorkszyrską i uczyła nowych wyrażeń. Śmiała się do rozpuku, gdy jej opowiadali, ile trudności ma Colin w udawaniu rozkapryszzonego kaleki.

- Widzi pani, my się musimy ciągle śmiać, gdy jesteśmy razem - mówił Colin. - A ten śmiech nie zgadza się z chorobą. Usiłujemy więc go stłumić, on jednak wybucha, a wtedy to jeszcze gorzej.

- Jedna rzecz często mi na myśl przychodzi - mówiła Mary - i jak nagle o tym pomyślę, to już naprawdę trudno mi się powstrzymać od śmiechu. Jest prawdopodobne, że Colin będzie rychło wyglądał jak księżyc w pełni. Jeszcze tak nie jest, ale on z dniem każdym robi się okrąglejszy. No, więc przypuśćmy, że pewnego pięknego poranka będzie taki - co wtedy zrobimy?

- No tak! Widzę dobrze, że musicie grać komedię - rzekła Susan Sowerby. - Ale to udawanie już nie będzie trwało długo. Pan Craven wróci niebawem do domu.

- Myśli pani, że wróci? - spytał Colin. - Skąd pani wie?

Susan Sowerby uśmiechnęła się domyślnie.

- Paniczowi byłoby chyba okropnie przykro, gdyby ojciec miał się o wszystkim dowiedzieć od innych osób. Pewnie panicz sobie to spotkanie układał przez niejedną bezsenłą noc.

- Nie zniósłbym, gdyby go ktokolwiek inny o tym zawiadomił - powiedział Colin. - Myślę codziennie, jak mu to powiedzieć. I wymyśliłem, żeby wbiec po prostu do jego pokoju.

- To by dopiero była niespodzianka - rzekła Susan Sowerby. - Chciałabym wtedy wiedzieć naszego jaśnie pana. Jak Boga kocham! Powinien wkrótce wrócić do domu, powinien!

Potem omówiono szczegółowo wizytę Colina i Mary u Dicka. Ułożyli wszystko. Pojadą przez wrzosowisko, śniadanie zjedzą pod gołym niebem, wśród wrzosów. Poznają wszystkie dzieci i obejrzą ogród Dicka. A wrócą dopiero wtedy, jak się poczują zmęczeni.

Susan Sowerby wstała wreszcie, by ruszyć do domu. Po drodze chciała jeszcze zajść do pani Medlock. Czas też już był zawieźć Colina z powrotem. Lecz zanim chłopiec usadowił się w fotelu, stanął blisko przy Susan, popatrzył na nią z uwielbieniem i nagle chwycił za fałdy jej błękitnej sukni.

- Pani jest taka, właśnie taka, jak sobie wymarzyłem - powiedział. - Chciałbym, żeby pani była moją matką tak samo jak matką Dicka.

Susan Sowerby pochyliła się, objęła go i przytuliła do swego gorącego serca, tak jakby był bratem Dicka. Łzy przesłoniły jej oczy.

- Moje drogie dziecko! - rzekła. - Twoja matka jest tu, w tym ogrodzie. Wierzę w to mocno. Nie może być daleko od ciebie. A twój ojciec musi wrócić do ciebie, musi!

ROZDZIAŁ XXVII

W OGRODZIE

Od początku świata każdy wiek miał swoje wynalazki. W ostatnim stuleciu uczyniono więcej zadziwiających odkryć niż w wiekach poprzednich, i to odkryć coraz wspanialszych. Początkowo ludzie nie chcą uwierzyć, że można dokonać czegoś nowego, później zaczynają ufać, że można tego dokonać, później widzą, że się już dokonuje, a gdy odkrycie jest dokonane, ludzkość dziwi się, że nie zrobiono tego już przed wiekami. Zauważono ostatnio, że myśl - po prostu myśl - może być silna jak prąd elektryczny, dobroczynna jak promienie słoneczne lub zabójcza jak trucizna. Dopuszczanie do siebie myśli smutnych lub złych jest tym samym, co zakażenie organizmu, na przykład zarazkiem szkarlatyny. Skoro więc dopuści się do osiedlenia takiej myśli na stałe, może to mieć zgubny wpływ na całe życie.

Dopóki umysł Mary pełen był nieprzyjemnych myśli, złego mniemania o ludziach, nieliczenia się z tym, czy ją będą lubić i czy się będzie podobać, oraz obojętności na wszystko, co ją otaczało, dopóty była ona dzieckiem niemiłym, niedobrym, o cerze żółtej, chorobliwej. Okoliczności jednak były dla niej przychylne, choć nie zdawała sobie z tego sprawy. W miarę jak uwagę jej zaczęły zaprzętać ptaki i chata pełna dzieci, stary ogrodnik o pomarszczonej twarzy i prosta dziewczyna wiejska, wiosna i tajemniczy ogród ożywający z dnia na dzień, a także chłopiec z wrzosowiska i jego stworzonka, zabrakło w jej głowie miejsca na myśli nieprzyjemne, które by oddziaływały ujemnie na jej organizm, powodując żółtość cery oraz zmęczenie.

Dopóki Colin zamykał się w swoim pokoju i myślał tylko o swoich lękach i chorobie, nienawidząc tych, którzy ją widzieli, dopóki godzinami całymi rozmyślał o kalectwie i wczesnej śmierci, dopóty był histerycznym, ogłupiałym hipochondrykiem, który nie znał, co to promienie słoneczne i wiosna, który nie wiedział, że może być zdrow i że może chodzić, jeśli tylko spróbuje. Ale gdy nowe, dobre i piękne myśli i wrażenia poczęły brać górę nad dawnymi, zaczęło w niego wstępować nowe życie, krew zdrowo krążyć w żyłach, a siła i tężyźna napływały weń potężną falą. Jego „doświadczenie naukowe” było bardzo proste i praktyczne i nie było w nim nic nadziemskiego. Dziwniejsze jeszcze rzeczy dziać się mogą z kimś, kto w czas umie się spostrzec, że złe myśli, które go nachodzą, należy oddalić, zastąpić zaś dobrymi, które dają otuchę i siłę. Dwie rzeczy nie mogą znajdować się równocześnie w jednym miejscu.

Gdzie róże, chłopcze, posiejesz,

Nie mogą zakwitnąć osty.

Podczas gdy tajemniczy ogród powracał do życia, a wraz z nim dwoje dzieci, pewien człowiek wędrował daleko po świecie, przebywał na obczyźnie - wśród fiordów norweskich, w górach i dolinach Szwajcarii. Człowiek ten od dziesięciu lat poddawał się czarnym, rozpaczliwym myślom. Nie był odporny i nie próbował nigdy zastąpić swych ponurych myśli innymi, pogodnymi. Wędrował nad pięknymi brzegami błękitnych jezior - ale złe myśli szły za nim, spoczywał na stokach gór pokrytych kwieciami i oddychał balsamicznym, górskim powietrzem - a złe myśli go nie opuszczały. Okrutny ból złamał go w chwili największego szczęścia, mrok ogarnął jego duszę, nie dopuszczając nigdy jaśniejszego promyka. Porzucił i zaniedbał dom i obowiązki. Podróżny ten wyrządzał krzywdę innym ludziom samym swym widokiem, taki bowiem unosił się nad nim smutek, że smętkiem tym zatruewał atmosferę koło siebie. Ludzie obcy przypuszczali, że musi to być albo melancholik, albo ktoś, kto ma jakąś ukrytą zbrodnię na sumieniu. Był to człowiek wysoki, o pociągłej twarzy i przygarbionych plecach. W hotelach zapisywał się jako Archibald Craven, z Misselthwaite Manor, Yorkshire, Anglia.

Swoje podróże po szerokim świecie podjął znów od owego dnia, gdy widział Mary w swym pokoju i powiedział jej, że może mieć własny „kawałek ziemi”. Zwiedził najpiękniejsze miejscowości Europy, choć nigdzie dłużej niż kilka dni nie bawił. Wybierał najcichsze i najbardziej oddalone zakątki. Wdrapywał się na wierzchołki gór, których szczyty kryły się w obłokach, i spoglądał na inne szczyty, gdy słońce wstawało i oblewało je takim światłem, jakby świat się rodził na nowo.

Lecz cuda te pozostawiały go obojętnym aż do pewnej chwili, gdy uprzytomnił sobie, że po raz pierwszy od dziesięciu lat dzieje się z nim coś dziwnego. Stało się to w przepięknej dolinie Tyrolu, wśród widoków zdolnych pocieszyć i podźwignąć każdą najsmutniejszą nawet istotę. Wędrował długo, lecz ukojenie nie nadchodziło. Wreszcie poczuł znużenie i by odpocząć, rzucił się na kobierzec z mchu nad brzegiem strumyka. Przezroczysty, mały strumień biegł radośnie swym wąskim łóżyskiem pośród przepychu wilgotnej zieleni. Jego wody szemrały jak wesóły śmiech, bijący po kamkach i o zielony brzeg. Ptaki stały nad brzegiem, pochylały główki i piły, a potem rozwijały skrzydła i odlatywały. Strumyk robił wrażenie czegoś żyjącego, choć jego delikatne szemranie czyniło ciszę głębszą. Dolina była pełna spokoju.

Archibald Craven siedział, przyglądając się przezroczystemu nurtowi, a jego myśli i ciało z wolna zaczęły wypełniać spokój i cisza doliny. Był to jakby sen bez snu. Siedział i patrzył na odbijającą słońce wodę, a oczy jego zaczęły dostrzegać rosnące nad brzegiem

kwiaty. W jednym miejscu rozkwitło całe pole niezapominajek - tak blisko wody, że listki ich kąpały się w strumieniu. Patrząc na nie pan Craven uprzytomnił sobie nagle, że przed wielu laty lubił się im przyglądać. Myślał z rozczuleniem, że te tysiące rozkwitających kwiatów były błękitnym cudem. Z początku nie czuł, że to proste spostrzeżenie poczęło z wolna rozrastać się w jego umyśle, aż usunęło zeń smutne myśli. Było to tak, jakby słodka, promienna wiosna zaczęła się budzić nad sennymi wodami bagien i z wolna przemieniała je w kryształową toń. Lecz Archibald Craven nie zdawał sobie z tego sprawy; wiedział tylko, że dolinę wypełnia coraz głębsza cisza, on zaś siedzi i przygląda się jasnym, błękitnym kwiatkom. Nie pamiętał, jak długo tam siedział i co się z nim działo, wreszcie drgnął, jakby się zbudził ze snu, powoli się podniósł i stanął na puszystych mchach oddychając głęboko. Coś w nim jakby łagodnie, spokojnie dojrzało i wyzwoliło się.

- Co mi jest? - rzekł szeptem i przesunął ręką po czole. Czuję, jakbym powracał do życia.

Nie mam dostatecznej wiedzy o niezwykłościach rzeczy nieznanych, by móc wytłumaczyć, jak to się stało. I trudno w ogóle to wytłumaczyć. On sam tego pojąć nie mógł, lecz przypomniał sobie ową dziwną godzinę w kilka miesięcy potem, gdy znów znalazł się w Misselthwaite i doszedł do wniosku, że stało się to w tym samym dniu, kiedy Colin znalazł się po raz pierwszy w tajemniczym ogrodzie i zawołał:

„Będę żył! Zawsze! Zawsze!”

Ów dziwny spokój pozostał w panu Archibaldzie przez resztę wieczora i sprowadził nań ożywczy sen. Niestety, nie trwało to długo. Nie wiedział, jak zachować ten spokój. Już następnej nocy dał znowu folgę smutnym myślom, które napłynęły falą i ponownie go opanowały. Pożegnał dolinę i puścił się w dalszą wędrówkę. Lecz rzecz dziwna - bywały minuty, a nieraz i godziny, gdy, z niewiadomych przyczyn, ów przytłaczający go ciężar zdawał się ustępować, a pan Archibald miał uczucie, że powoli, sam nie wiedząc jak, wraca do życia.

Gdy złote lato zamieniło się w barwną jesień, udał się pan Craven nad jezioro Como. Było tu pięknie jak we śnie. Dni całe spędzał nad brzegiem błękitnych wód lub błądził aż do znużenia wśród bogatej zieleni wzgórz. Równocześnie zaczął lepiej sypiać, a straszne koszmary przestały go dręczyć.

„A może - myślał - zaczynam po prostu wracać do zdrowia?”

Zaczynał odzyskiwać siły, ponieważ dzięki owym godzinom, gdy umysł jego wypoczywał, ciało zaczęło znowu nabierać mocy. Począł myśleć o Misselthwaite i o tym, czy nie wrócić do domu. Od czasu do czasu myślał o synu, zadając sobie pytanie, co by odczuwał

teraz, stojąc nad łóżem z baldachimem na czterech kolumnach i patrząc na ostro, jak w kości słoniowej rzeźbioną twarz i na ciemne rzęsy, ocieniające mocno zaciśnięte oczy chłopca. Wstrząsnął się.

Pewnego dnia pan Archibald poszedł na spacer tak daleko, że gdy wracał, księżyc stał już wysoko na niebie i srebrzył swą poświatą wszystko dokoła. Cisza jeziora i lasu była tak przejmująca, że żał mu było wracać do willi, w której mieszkał. Udał się więc na mały taras nad brzegiem wody, usiadł na ławeczce i wdychał zapach nocy. Czuł dziwną ciszę nad sobą - ciszę, która stawała się coraz głębsza, tak głęboka, że zaczął śnić.

Jego sen był realny niczym jawa. Później sobie przypomniał, jak był przekonany, że zbudził się i jest przytomny. Gdy tak siedział w swym śnie i wdychał woń jesiennych róż, słuchając plusku fal u swych stóp, usłyszał nagle, że ktoś go woła. Głos był słodki i czysty, szczęśliwy i bardzo daleki, lecz pan Archibald słyszał go tak dokładnie, jakby to było tuż obok.

- Archi! Archi! Archi! - wołał głos, po czym znów wyraźniej i czulej niż przedtem: - Archi! Archi!

Zdawało mu się we śnie, że skoczył na równe nogi, lecz nawet się nie zdziwił.

Głos dobiegał tak wyraźnie, że odpowiedział:

- Liliast, Liliast! Gdzie jesteś, Liliast?

- W ogrodzie! - zadźwięczał głos jak złota lutnia. W ogrodzie!

Sen się skończył, lecz pan Craven się nie zbudził. Przespał głęboko i słodko całą tę cudowną noc, a gdy otworzył oczy, był już słoneczny ranek. Nad nim stał służący, Włoch, przyjmujący bez zdziwienia, jak cała służba willi, wszelkie kaprysy gości. Nikt nie wiedział, kiedy pan Craven wyjdzie, kiedy wróci, kiedy zechce spać, czy zechce chodzić po parku, czy leżeć przez całą noc w łodzi na jeziorze. Służący trzymał tackę z listami i czekał spokojnie, aż pan Craven odbierze korespondencję. Gdy odszedł, pan Craven siedział kilka chwil, trzymając listy w ręku i patrząc w zamyśleniu na jezioro. Był w nim dziwny spokój i coś więcej jeszcze - poczucie, jakby owo tragiczne wydarzenie nie istniało i jakby nagle coś się odmieniło. Przypomniał sobie swój sen.

- W ogrodzie! - rzekł zdziwiony niezmiennie. - W ogrodzie! A przecież furtka jest zamknięta, a klucz zakopany głęboko!

Gdy chwilę później rzucił okiem na trzymane w ręku listy, spostrzegł, że jeden list jest z Anglii, z Yorkshire. Zaadresowany był nie wyrobionym, nie znanym mu pismem kobiecym. Otworzył go, nie zastanawiając się, kto pisze, lecz pierwsze zaraz słowa przykuły jego uwagę.

Jaśnie Wielmożny Panie!

Jestem Susan Sowerby, która niegdyś miała śmiałość zaczepić JW Pana na wrzosowisku. Chodziło wtenczas o pannę Mary. Ośmielam się niepokoić JW Pana, ale gdybym to ja była na miejscu JW Pana, tobym wróciła do domu. Myślę, że JW Pan byłby szczęśliwy, gdyby wrócił, a - proszę mi moją śmiałość wybaczyć - myślę, że gdyby JW Pani żyła, toby też prosiła, żeby JW Pan wrócił.

Uniżona służa

Susan Sowerby

Pan Craven przeczytał list dwa razy, zanim go z powrotem włożył do koperty. Wciąż myślał o owym śnie.

- Wracam do Misselthwaite - powiedział. - Tak jest, wracam niezwłocznie.

Po czym poszedł do willi i kazał Pitcherowi przygotować wszystko do powrotu do Anglii.

Kilka dni później był znów w Yorkshire. W czasie długiej podróży rozmyślał o swym synu, jak nigdy przedtem przez całe lat dziesięć o nim nie myślał. Dotychczas pragnął tylko zapomnieć o nim. Teraz, choć nie zamierzał o nim myśleć, myśli tłoczyły mu się do głowy same. Przypominał sobie te straszne dni, gdy odchodził od zmysłów, że dziecko żyje, a matka umarła. Nie chciał go wtedy wcale widzieć, a gdy wreszcie poszedł je zobaczyć, ujrzał wątłe, brzydkie maleństwo, tak słabe, że wszyscy wróżyli mu zaledwie kilka dni życia. Lecz ku zdumieniu tych, którzy mieli nad nim pieczę, dni upływały, a dziecko żyło, wszyscy byli jednak przekonani, że wyrośnie na kalekę.

Pan Archibald nie uważał się za człowieka złego, pomimo że nie żywił dla syna uczuć ojcowskich. Sprowadził mu doktorów, pielęgniarki, otaczał wygodami, lecz wzdragał się na samą myśl o zobaczeniu chłopca i zasklepiął się we własnej rozpacz. Gdy po roku nieobecności powrócił do Misselthwaite, a drobne, nędzne stworzenie podniosło ku niemu zmęczoną i obojętną twarzyczkę z wielkimi, szarymi oczami w ciemnej oprawie, tak podobnymi, a jednak różnymi od owych oczu, które bezgranicznie kochał, nie mógł znieść tego widoku i odwrócił się od syna śmiertelnie blady. Potem rzadko kiedy go widywał, chyba śpiącego, a wiedział o nim tylko to, że był nieuleczalnym kaleką, o złym, przewrotnym i histerycznym usposobieniu. Szkodliwym dla jego zdrowia wybuchom złości zapobiegać było można jedynie ustępowaniem mu we wszystkim.

Te wspomnienia nie dodawały panu Archibaldowi otuchy, ale gdy pociąg wioził go pomiędzy wzgórzami i przez złociste równiny, człowiek „powracający do życia” myślał i zastanawiał się.

„Może przez te wszystkie lata myliłem się. Dziesięć lat to kawał czasu. Chyba już za późno, by cokolwiek naprawić. O czym ja przez cały czas myślałem?”

Colin byłby mu powiedział, że zaczynać coś od słowa „za późno” to magia zła, czarna. Lecz pan Craven nie wiedział nic o magii, ani o białej, ani o czarnej. Tego będzie się musiał dopiero nauczyć. Zastanawiał się, czy Susan Sowerby odważyła się na list dlatego, że - sama mając dzieci - spostrzegła, iż jego chłopcu jest gorzej. Może jest bardzo chory. Gdyby pan Craven nie był we władzy owego dziwnego uczucia spokoju, czułby się bardziej przygnębiony niż zwykle. Spokój przyniósł jednak z sobą odwagę i nadzieję. Złapał się na tym, że zamiast poddawać się złym myślom, usiłował uwierzyć w to, że będzie lepiej.

„Czy Susan Sowerby przeczuła, że będę mógł dobrze wpłynąć na syna? Jak to możliwe? - myślał. - Pojadę i zobaczę się z nią po drodze do Misselthwaite”.

Lecz gdy w drodze przez wrzosowisko kazał zatrzymać powóz przed chatą, siedmioro lub ośmioro dzieci, bawiących się opodał, zbiło się w gromadkę i kłaniając się grzecznie, objaśniło, że ich matka udała się na drugi koniec wrzosowiska, aby pomóc chorej znajomej.

- A nasz Dick - dodały - chodzi do Misselthwaite i tam pracuje w ogrodzie przez kilka dni w tygodniu.

Pan Craven spojrzał na tę gromadkę silnych dzieciaków, o pyzatyh rumianych twarzyczkach, uśmiechniętych każde na swój sposób, i pomyślał, jaka to zdrowa, miła gromadka. Uśmiechnął się do nich, wyjął z kieszeni złotego suwerena i wręczył go „naszej Lizbeth” jako najstarszej.

- Jak to podzielicie na osiem części, każde z was otrzyma pół korony - powiedział.

Potem odjechał wśród radości, ukłonów, trącania się łokciami i wesołych podskoków dzieciarni.

Jazda przez wrzosowisko działała nań kojąco. Dlaczego jednak tym razem odczuwał szczególnie silne wzruszenie, do którego, jak sądził, nie będzie już zdolny? Czuł urodę ziemi i nieba i serce mu biło z miłości do starego gniazda, w którym od sześciu wieków żyli jego przodkowie. Jakże uciekał stąd ostatnim razem, wzdrygając się na myśl o zamkniętych pokojach i o chłopcu leżącym na łożu z baldachimem wspartym na czterech rzeźbionych kolumnkach! Czy to możliwe, że u syna nastąpiła jakaś drobna zmiana na lepsze? Czy będzie umiał opanować drżenie na jego widok? Jakże realny był tamten sen, jak piękny i wyraźny był głos, który do niego wołał: „W ogrodzie! W ogrodzie!”.

„Spróbuję odszukać klucz - pomyślał - i otworzę furtkę. Muszę, choć nie wiem dlaczego”.

Gdy stanął przed domem, służba przyjmująca go ze zwykłymi honorami zauważyła,

że jasnie pan lepiej wygląda i że nie udał się zaraz do swych apartamentów, w których zamykał się z Pitcherem. Poszedł do biblioteki i posłał po panią Medlock. Zjawiała się natychmiast, podniecona, ciekawa, niespokojna.

- Jak się miewa panicz? - spytał.

- Proszę pana - odparła pani Medlock - panicz... panicz jest... inny, że tak powiem...

- Gorzej? - dopytywał się.

- Proszę pana - usiłowała tłumaczyć - ani doktor Craven, ani pielęgniarka, ani ja nie możemy go zrozumieć.

- Dlaczego?

- Tak po prawdzie, żeby powiedzieć, sir, to paniczowi może jest lepiej, a może mu się odmienia na gorsze. Jego apetyt przechodzi wszelkie wyobrażenie, a zachowanie...

- Czy zrobił się z niego jeszcze większy dziwak? - spytał pan Craven, marszcząc brwi z przestachem.

- Otóż to, sir! Zrobił się bardzo dziwny, gdy go porównać z tym, jaki był dawniej. Kiedyś nic nie jadł, a potem naraz zaczął jeść - no, coś niebywałego! A potem nagle znów przestał i odsyłał potrawy nietknięte jak dawniej. Przedtem panicz nigdy nie chciał wychodzić na powietrze. Co trzeba było przecierpieć, jak go się namawiało, aby wyszedł... Jak wspomnę, ciarki mnie przechodzą. Doprowadzał się do takiego stanu, iż doktor Craven mówił, że go nie będzie namawiał, bo nie może brać na siebie odpowiedzialności. No, a potem, sir, bez niczyjej namowy, po jednym z najgorszych napadów, nagle zażądał, żeby go co dzień wywozić do ogrodu z panną Mary i Dickiem, synem Susan Sowerby, który pcha wózek. Upodobał sobie ich oboje, pannę Mary i Dicka. Dick przyprowadził mu swoje oswojone zwierzęta i panicz, aż trudno w to uwierzyć, przebywa od rana do wieczora na dworze.

- Jak wygląda? - brzmiało następne pytanie.

- Gdyby odżywiał się normalnie, można by myśleć, że utył, ale lękamy się, że to może jakieś obrzmienie. Czasami tak się śmieje, jak są sami z panną Mary... Dawniej nigdy się nie śmiał. Jeśli pan pozwoli, to przyjdzie tutaj doktor Craven. Nigdy w życiu nie był tak zdeorientowany.

- Gdzie jest teraz Colin? - spytał pan Craven.

- W ogrodzie. On ciągle jest w ogrodzie, ale nikomu nie pozwala się zbliżać, aby na niego nie patrzono...

Pan Craven ledwo dosłuchał ostatnich słów.

- Colin jest w ogrodzie - powiedział, a gdy odesłał panią Medlock, stanął i powtórzył:

- W ogrodzie!

Musiał zrobić wysilek, żeby się ocknąć. Po chwili wyszedł z pokoju. Skierował się tą samą drogą, co kiedyś Mary: przez furtkę w żywopłocie, laurową aleją koło fontanny. Woda z fontanny tryskała, a wokoło pełno było pysznych kwiatów jesiennych. Poszedł przez gazon i zawrócił wielką aleją wzdłuż skrytego bluszczem muru. Szedł wolno z oczyma utkwionymi w ścieżkę. Jakaś moc ciągnęła go, nie wiedzieć czemu, ku miejscu, w którym od dawna nie był. W miarę jak się do tego miejsca zbliżał, zwalniał kroku. Wiedział, gdzie znajduje się furtka, choć bluszcz gęsto ją zarósł, lecz nie przypominał sobie dokładnie, gdzie został zagrzebany klucz.

Stanął i zaczął rozglądać się. W tejże chwili począł nasłuchiwać, zadając sobie pytanie, czy to wszystko nie jest snem.

Bluszcz wisiał gęstymi splotami nad zamkniętą furtką, klucz został zagrzebany w ziemi, żadna istota ludzka od lat dziesięciu furtki tej nie przestąpiła - a jednak w ogrodzie rozbrzmiewały ludzkie głosy. Słysząc było bieganie i tupot nóg, jakby gonitwę między drzewami, słysząc było też jakieś szepty, okrzyki i tłumione wybuchy śmiechu. Był to śmiech istot młodych, nie krępowany niczym śmiech dzieci, które starały się, by ich nie było słyszać, lecz w pewnym momencie nie mogły się powstrzymać, aby się nie zaśmiać głośniejsze. Czy to sen? Na miły Bóg - co to znaczy? Czyżby postradał zmysły i coś mu się roi? A może o tym mówił wtedy ten cichy, słodki głos?

Nadeszła chwila, kiedy dalsze panowanie nad wesołością staje się niemożliwe. Coraz szybszy tupot zbliżał się do furtki w murze - słysząc było młode zdyszane głosy, wybuchy niepowstrzymanego śmiechu, gałązki bluszczu pofrunęły do góry, furtka rozwarła się na oścież i wybiegł z niej pędem chłopiec, który nie widząc przybysza, wpadł prosto w jego objęcia.

Pan Craven w samą porę rozpostarł ręce, aby uchronić chłopca od upadku z powodu nieprzewidzianego zderzenia. Potem przyjrzał mu się zdumiony i począł z trudem chwytać oddech z wielkiego wzruszenia. Chłopiec był wysoki i bardzo ładny. Tryskało z niego życie, a szybki bieg zabarwił mu twarz rumieńcem. Odrzucił z czoła gęste włosy i podniósł ku panu Cravenowi parę wielkich, szarych oczu - pełnych chłopięcego śmiechu i wesela, ocienionych długimi, czarnymi rzęsami. Widok tych oczu wstrząsnął sercem pana Cravena.

- Kto to?... Co?... Kto?... - wyjąkał.

Colin inaczej wyobrażał sobie i układał spotkanie z ojcem. A jednak to, że wpadł na niego wśród gonitwy, dobiegając pierwszy do mety, było może nawet lepsze. Wyprostował się i wyciągnął tak, że Mary, która goniąc go, wypadła za nim, nabrała przekonania, iż Colin dotąd umyślnie się kurczył, a teraz dopiero wyprostował na całą swą wysokość.

- Ojcie, to ja, Colin - powiedział. - Pewnie w to nie wierzysz. Ja sam ledwo mogę uwierzyć.

Tak jak pani Medlock, Colin nie mógł pojąć, co znaczą powtarzane przez ojca słowa: „W ogrodzie! W ogrodzie!”.

- Tak, tak - trzepał Colin. - Ogród to działał i Mary, i Dick, i stworzonka, i czary. Nikt o tym nie wie. Trzymaliśmy to w tajemnicy, żeby tobie, tatusiu, najpierw o tym powiedzieć. Jestem zdrow, mogę prześcignąć Mary. Będę atletą.

Mówił to wszystko jak normalny i zdrowy chłopiec - twarz mu pałała, słowa padały jak grad, a dusza pana Cravena drżała ze szczęścia.

Colin położył dłoń na ramieniu ojca.

- Czy tatuś się cieszy? - pytał. - Czy tatuś zadowolony? Będę żył! Zawsze, zawsze!

Pan Craven objął chłopca i milczał. Przez chwilę nie mógł odzyskać mowy.

- Zaprowadź mnie do ogrodu, dziecko - wyrzekł wreszcie. - I opowiedz mi wszystko od początku.

Colin wprowadził ojca do tajemniczego ogrodu.

Ogród pełen był jesiennych uroków: złota, purpury, fioletu i szkarłatu. Wokoło kwitły snopy białych i biało - purpurowych lilii. Pan Craven pamiętał, że odkąd je tu zasadzono, o tej właśnie porze roku roztaczały swe wonie. Późne, jesienne róże pięły się i zwieszały, a promienie słońca czyniły odbłask pożółkłych liści jeszcze bardziej złocistym. Stojąc pod drzewem, miało się wrażenie przebywania w złotej, sklepionej świątyni.

Przybysz stał cichy i zapatrzone. Tak samo jak dzieci, gdy po raz pierwszy ujrzały szarość drzew i krzewów.

- Myślałem, że ogród zmarniał - powiedział rozglądając się dokoła.

- Mary też tak z początku myślała, ale on wrócił do życia - odparł Colin.

Potem zasiedli pod ich drzewem wszyscy prócz Colina, który chciał opowiedzieć swą historię stojąc.

Była to najdziwniejsza opowieść, jaką Archibald Craven w życiu słyszał, a wypowiedziana została z chłopięcym zapałem i fantazją. Czary, zwierzątka, niezwykle nocne spotkanie, nadejście wiosny, obrażona duma, która małemu radzy pozwoliła stanąć po raz pierwszy na własnych nogach, by zadać kłam Benowi Weatherstaffowi, niezwykle towarzystwo, odgrywanie komedii, wielka, starannie strzeżona tajemnica...

Sir Archibald śmiał się do łez, lecz chwilami miał łzy w oczach, choć się nie śmiał. Atletą, prelegent, naukowiec, wszystko to było zabawne, urocze, zdrowe, śliczne.

- Teraz jednak - dodał na koniec Colin - już tajemnicy nie będzie. Boję się, że jak

mnie zobaczą, to zemdleją, ale już w fotelu nigdy nie pojadę. Pójdę z tobą, tatusiu, do domu.

Obowiązki Bena Weatherstaffa rzadko pozwalały mu oddalać się z ogrodu, lecz dzisiaj wymówił się koniecznością zanieśienia do kuchni warzyw; że zaś pani Medlock zaprosiła go do kredensu na szklankę piwa, zatem i on był świadkiem - jak tego pragnął - najbardziej wstrząsającego wydarzenia w ostatnim pokoleniu rodu Cravenów z Misselthwaite Manor.

Przez okno, wychodzące na dziedziniec, widać było kawał trawnika. Pani Medlock spostrzegła, że Ben idzie od strony ogrodu, pomyślała więc, że może widział pana, a może nawet był przy jego spotkaniu z paniczem.

- Widzieliście którego z nich, Weatherstaff? - spytała.

Ben odjął od ust kufel, dłonią otarł usta i odparł ze znaczącym uśmiechem:

- Naturalnie, że widziałem!

- Obu? - dopytywała się pani Medlock.

- Obu - odparł Ben. - Dziękuję pani, napiłbym się chętnie jeszcze.

- Razem? - mówiła pani Medlock, śpiesznie napełniając kufel.

- Aha, razem! - i Ben jednym haustem wypił pół kufła.

- Gdzie był panicz? Jak wyglądał? Co do siebie mówili?

- Nie słyszałem, bom stał za murem na drabinie. Ale pani powiem, że działały się tam takie rzeczy, o jakich wy wszyscy w całym domu nie macie wyobrażenia. A czego się macie dowiedzieć, tego się dowiecie niedługo.

I nie upłynęła minuta, gdy pustym kuflem skinął triumfująco w stronę okna, przez które widać było trawnik.

- Niech no pani spojrzy! A co, czy to nie ciekawe? Niech pani patrzy, kto idzie przez trawnik.

Pani Medlock spojrzała, rozpostarła ręce i krzyknęła przeraźliwie, a na ten krzyk cała służba rzuciła się ku oknu patrząc tak, że im oczy na wierzch wylaziły.

Przez trawnik szedł pan na Misselthwaite, a wyglądał tak, jakim go większość służby nigdy nie widziała. U jego zaś boku, z podniesioną głową i roześmianymi oczami, kroczył pewnie i rześko jak najzdrowszy chłopiec w Yorkshire - panicz Colin!